

GENIUSZ MIESZKA W DZIECKU

>34

PRZE KROJ

NR 22 3388 / 1 CZERWCA 2010 / CENA 4,95 ZŁ

(W TYM 7% VAT)

FESTIWAL
W GDYNI:
KROK
DO TYŁU

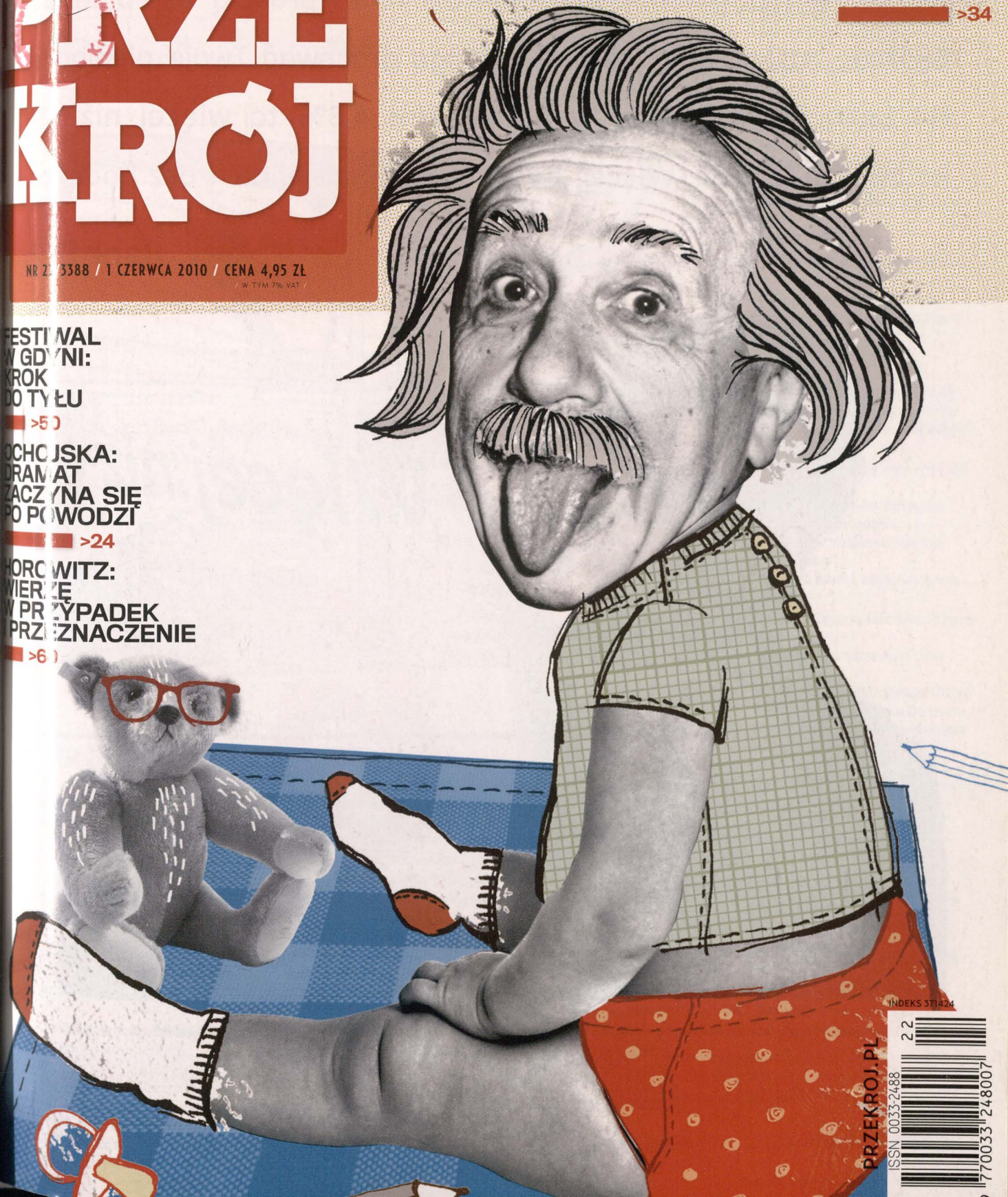
>53

OCHCISKA:
DRAMAT
ZACZYNA SIĘ
PO POWODZI

>24

HOROWITZ:
WIERZE
W PRZYPADEK
PRZYZNACZENIE

>61



INDEXS 371424

PRZEEKROJ.PL

ISSN 0033-2488



22 4770033 248007

Weekendy mam wolne. Ale moje pieniądze pracują bez przerwy. Będziesz zaskoczony, jak ciężko mogą pracować Twoje pieniądze. Na Lokacie Pracowitej w Banku BPH 4,8% to więcej niż 6% na zwykłej lokacie. Więcej, bo zarabiasz codziennie i bez podatku.

Inwestujemy w relacje



Więcej niż 6%
na zwykłej lokacie

Oprocentowanie 4,8% na Lokacie Pracowitej z dzienną kapitalizacją odsetek na rachunek lokaty odpowiada 6,07% na zwykłej lokacie z kapitalizacją na końcu okresu lokowania środków. Oprocentowanie podane w skali roku. Szczegóły dostępne w placówce.

Oferta dotyczy lokaty na 12 miesięcy z kapitalizacją odsetek na rachunek lokaty. Sprawdź również lokaty na 3 i 6 m-cy. Pojęcie „zwykła lokata” jest rozumiane jako lokata z jednorazową kapitalizacją odsetek na koniec okresu lokowania, obciążona podatkiem od zysków kapitałowych. Użyte porównania do zwykłej lokaty nie odnoszą się do sytuacji, kiedy Lokata zostałaby zerwana przed upływem okresu umownego. Oprocentowanie podane w skali roku, jego wartość nie uwzględnia prowizji pobieranych zgodnie z Taryfą Opłat i Prowizji.

www.bph.pl

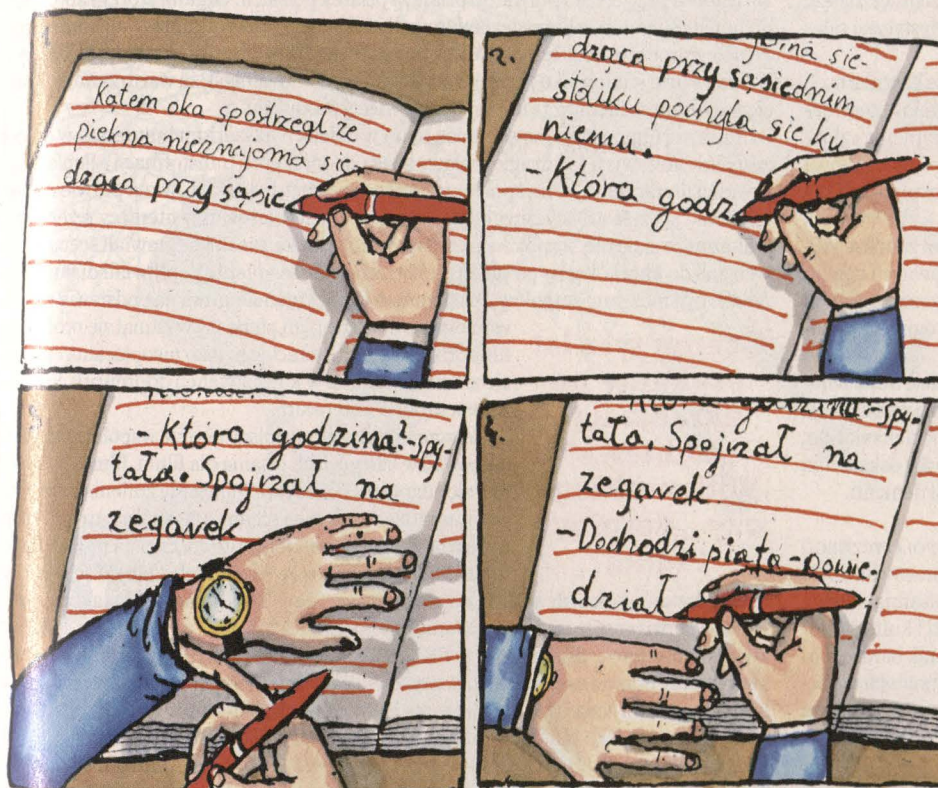
801 406 406

(koszt połączenia według taryfy operatora)

NA
POCZĄTEK

RACZKOWSKI

NARYSOWAŁ MAREK RACZKOWSKI



W TYM TYGODNIU Z NIEDOWIERZANIEM NIE PISZEMY...

...o niedobrych językach, co to wiary nie dają, że wódz Ojciec-Myśliwy, nie pytając o zdanie wodza Króla Futbolu, sam z siebie wodza Belkę do wigwamu Enbe-pu zaprosił – i o tych jatrzycielach, którzy wprost pokpiwają, że sam z siebie to Myśliwy nic uczynić nie może. Bo wodzowie nam przecież powiedzieli, jak było. Czyli buzia na kłódkę i amen, i howgh.

...o tańczących z duchami wojowników i wojowniczkach, którzy nazwali się „środowiskiem herbertowskim” („uformowało się” ono, podejmując „wiele inicjatyw, wśród nich wystawy, sesje naukowe, koncerty, spektakle,

konkursy recytatorskie”, a „wszystkie te wydarzenia stworzyły więzi między ich uczestnikami”) i „czując się wykonawcami poetyckiego testamentu Zbigniewa Herberta”, wezwali do głosowania na Jarosława Kaczyńskiego. Bo chociaż wierzymy, że Zmarły chętnie oddałby Kaczyńskiemu swój wampum, to za nic nie uwierzmy, że wskazówki w tej sprawie zapisalby aż tak marną prozą.

...o dobrych ludziach, których – jak się dowiadujemy – do żywego dotknęliśmy, nie pisząc w naszej rubryce o ich najnowszych sukcesach. Bo niesporo nam pojąć, jak ogromne być mu-

szą ich emocjonalne kłopoty, skoro się tak przejmują płochymi żartami (skoro już jednak cierpią, to na wszelką zgryzotę – za radą szamana – rekomendujemy świeże bobrze sadło).

...o białych twarzach z telewizji MTV, które perkalem i paciorkami zwabiły do swego pueblo zagubione squaw, spośród których po mękach wybrały zagubioną najbardziej i przeistoczyły w demona o imieniu Druga Doda. Bo wiedzieliśmy, że wielka jest przewrotność Białego Człowieka, aleśmy nie wierzyli, iż posunie się do mnożenia Dód.

Marcin Sendecki

PRZEKROJ

- 4 | Świat według „Przekroju”
Marka Zająca i Orbita
- „Przekroju” Piotra Mareckiego
- 6 | Ludzie listy piszą
- KRAJ I ŚWIAT
- 8 | Krótko
- 10 | Zoll kończy z aresztem
wytobyczym
- 14 | Mazowiecki prześwietla
kandydatów
- 16 | Natura nie jest zła, zwłaszcza
2000
- 18 | Euro na zakręcie
- 20 | Skutki uboczne nabycia dziewicy
- SYLWETKA
- 24 | Ochojska mówi Najszubowi,
do czego potrzebujemy gwardii
narodowej
- 28 | Rand Paul – segregator
z Kentucky
- 30 | Urodziny Pacmana kosztowały
ludzką sto milionów dolarów
- 32 | Fenomenalni ludzie „Przekroju”
- CYWILIZACJA
- 34 | Dzieci – koło napędowe rozwoju
ludzkości
- 38 | Wynalazek Ventera zatrzyma
globalne ocieplenie?
- 40 | Komary przestają się nas bać
- 41 | Też pytanie!
- 42 | Internet bawi i uczy. Korzystaj
- KULTURA
- 44 | Książki: Czytasz dzieciom? Czytaj
mądrze
- 48 | Książki: Nieznane bajki Erny
Rosenstein
- 50 | Film: Słabe polskie kino w Gdyni
- 53 | Film: Damon za blisko Bourne’a
- 55 | Sztuka: Zapraszamy na wystawę
pana od rysunków
- 56 | Muzyka: Faithless do tańca
- 58 | Fotografia: Mamy kanon. Prawie
- 60 | Lektura: O Schindlerze, tym
Schindlerze, z Ryszardem
Horowitzem rozmawia
Katarzyna Janowska
- OTWÓRZ OCZY
- 64 | Freud, wnuk Freuda, sprzedaje
się drogo
- ZAWSZE W „PRZEKROJU”
- 70 | Rozmaitości z krzyżówką, jolką
i felietonami
- 73 | Stopklatka
- 74 | Dziennik Jerzego Pilcha
- 70, 72 | Raczkowski

LAST MINUTE

+ Krzysztof Plyta +

Na Dzień Dziecka po senackiej
debacie: karom cielesnym
mówimy pas!

ŚWIAT „PRZEKROJU”



Fala na salonach

Bądźcie ostrożni: polityczny wir zaczyna wciągać już nawet postronnych

MARK ZAJĄC – Z-CA REDAKTOR NACZELNEJ

POLITYCY TAKTYCZNIE WAŻĄ SŁOWA, CELUJĄ W EUFEMIZMACH, wykonują uniki. Ale przecież wiadomo, że wojenne nastroje muszą wreszcie gdzieś wypełznąć na powierzchnię, znaleźć ujście. I znalazły. Polityczna fala zagarnęła artystyczne salony, rodzinny parnas.

Koszmarny wiersz wybitnego literata. Kilka koszmarnych wierszy literatów zdecydowanie gorszych. Zamiast konwencji z balonikami w amerykańskim stylu wystąpienia członków komitetów honorowych. Ogłoszona wojna domowa – zresztą nawet nie tyle ogłoszona, ile po prostu wywołana z lasu, gdzie trwa przecież w najlepsze.

W popularnym programie publicystycznym zamiast polityków oglądaliśmy aktorów popierających głównych konkurentów do Pałacu Namiestnikowskiego. Tego samego dnia zobaczyliśmy ich też w innym popularnym programie publicystycznym.

I jeszcze najnowsza awantura – o dystrybucję filmu fabularnego nakręconego przez autorkę dokumentu rozpalającego na wskroś polityczne emocje. Zaczęły się dociekania, kto, co i dlaczego napisał w pewnym e-mailu. Padły oskarżenia o goebbelsowską cenzurę. Dystrybutor ogłosił dementi.

NIE MOŻNA TWÓRCOM ODMAWIAĆ PRAWA DO POLITYCZNEGO zaangażowania. Ich prawo i ich ryzyko. Zapracowali sobie na autorytet, ich decyzją pozostaje, jak nim szafują. Można i trzeba natomiast oczekiwać, że ludzie sztuki i kultury (nomen omen) będą trzymali standardy, których tak bardzo brakuje wśród zawodowych polityków. I tego, że polityka nie będzie przynosiła uszczerbku ich dziełu. Naprawdę wystarczy nam złe wiersze pisane przez nieuleczalnych grafomanów.

ALE JEST JESZCZE JEDEN PROBLEM. POLITYCZNY WIR STAŁ SIĘ tak silny, że zaczyna już wciągać postronnych. Żal mi Romana Gutka. Może się zakłinać, że filmu „Nie opuszczaj mnie” nie chciał dystrybuować wyłącznie z przyczyn po części artystycznych, po części finansowych. Może powtarzać, że uważa jednak ten obraz za na tyle interesujący, by pokazać go w lipcu na festiwalu Era Nowe Horyzonty. Nic tu już nie pomoże i Roman Gutek doskonale o tym wie. Zawsze znajdują się tacy, którzy ironicznie pokiwiają głową i powiedzą: „Tak, jasne...”

Polityka potrafi pograżać w oparach absurdu. Zamiast o artystycznych aspektach „Nie opuszczaj mnie” czytam dziś w prasie rozważania, co się kryje za tym, że „Reczpospolita” film skrytykowała, a „Gazeta Wyborcza” filmu broni. Jak widać, oczywista przestała być już odpowiedź, że komuś się spodobał, a komuś innemu nie.

ORBITA „PRZEKROJU”



Drodzy filmowcy, do książek!

Trzeba wrócić do modelu polskiej szkoły filmowej, kiedy ważne nowe pozycje od razu były przenoszone na ekran

PIOTR MARECKI

SZEFEM JURY TEGOROCZNEGO FESTIWALU POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH W GDYNI BYŁ reżyser Andrzej Barański, najbardziej konsekwentny adaptator rodzimej literatury. Na festiwal przyjechało prawie 50 pisarzy i pisarek polskich. Organizatorzy zaprosili ich do hotelu Sheraton w Sopocie, podarowali im karnety oraz zorganizowali konferencję. Po ubiegłorocznych sukcesach „Wojny polsko-ruskiej” według Masłowskiej i „Rewersu” według Barta środowisku filmowemu w końcu zaświtała myśl, że warto zainteresować się współczesną literaturą i na niej oprzeć więcej produkcji.

Pisarze i filmowcy stanowili jeden team w dziejach naszej kinematografii w okresie zespołów filmowych (od drugiej połowy lat 50. do momentu transformacji). Funkcją kierownika literackiego, którą sprawowali czynni literaci, była traktowana prawie na równi z funkcją szefa artystycznego czy szefa produkcji. Kierownicy literaccy rezerwowali ukazujące się tytuły współczesne, adaptowali klasykę, pisali i poprawiali scenariusze, wciągali do kina kolegów po piórze, jeśli trzeba było, na planie poprawiali dialogi. Nierzadko byli mózgowi zespołów. Po zorganizowaniu kinematografii na podstawie modelu

Czemu tyle lat czekamy na ekranizacje „Lubiewa” Witkowskiego czy „Heroiny” Piątka?

wolnorynkowego na plan pierwszy wysunął się producent, funkcję kierownika literackiego jako nieopłacalną całkowicie zredukowano, co w konsekwencji doprowadziło do zejścia się kina z literaturą.

Jeszcze kilka lat temu polscy pisarze współcześni nie rozmawiali w kategoriach pisania dla filmu, filmowcy z kolei bali się adaptacji. Dzisiaj ta sytuacja się zmienia, wielu literatów uczy się w szkołach scenariopisarskich, tworzy adaptacje własnej prozy, niektórzy producenci na powrót zaczęli zatrudniać kierowników literackich. Odbiło się wiele debat, warsztatów, ukazały się książki, pojawiły się filmy. Trend zauważyła także Gdynia. Krok wykonany przez organizatorów należy pochwalić, inaczej z wykonaniem. Fenomen związku literatów z filmowcami w PRL polegał na obustronnym czytaniu i oglądaniu swoich dzieł oraz na towarzyskich kontaktach, wspólnym jedzeniu obiadów i piciu wódki. Można zatem zadać pytanie, dlaczego literaci zostali zakwaterowani w Sopocie, podczas gdy środowisko filmowe mieszkało w Gdyni? Ostatnie busy wyjeżdżały dość wcześnie, a na konferencję literacką do Sopotu przyjechała zaledwie garstka festiwalowiczów. Trochę zdezorientowani literaci szukali kontaktu, jak poznać producenta czy reżysera, jednak nigdy nie zostali oficjalnie „środowisku” przedstawieni.

Jeszcze inaczej sprawa wyglądała z odbiorem filmów. Po raz pierwszy na festiwal przyjechało tak wiele osób reprezentujących inną dziedzinę sztuki i obejrzało filmy nie tylko te, które wchodziły do kin. Ton SMS-ów i kulturalnych rozmów wyrażał gigantyczne zniechęcenie poziomem. Należy dodać, że literatura czy teatr są naprawdę w innym miejscu niż nasze kino. Niewiele także padło wskazówek „co robić” w kinie z literatury. Chciałoby się wrócić do modelu polskiej szkoły filmowej, kiedy dyskutowane książki od razu były rezerwowane i przenoszone na ekran. Czy trzeba czekać aż kilkanaście lat na ekranizację, by wymienić dla przykładu „Heroiny” Piątka, „Lubiewa” Witkowskiego, „Cukru w normie” Shutego, „Niech żyje wolność” Masternaka czy „Toksyml” Rejmer? Wszyscy wspomniani byli obecni na festiwalu, ich książki aż proszą się o adaptację. Drodzy filmowcy! Idźcie tą drogą!

Autor jest wydawcą, promotorem młodej literatury.
O 35. Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni piszemy też na stronach 50–52.

PRZEKROJ

Założył w roku 1945 w Krakowie Redaktor Marian Elie
Olga Woźniak (szef), Milena Rachid (cheb), Piotr Stanisławski; stale współpracują: Łukasz Drewniak, Sebastian Frąckiewicz, Mariusz Herma, Jacek Sieradzki, Jarosław Szubrycht, Bartek Winczewski
PRACOWNIA GRAFICZNA: Władysław Buchner (wicedyrektor, art.), Adam Szymański, Krzysztof Zakrzewski
PROJEKT GRAFICZNY: Marek Knap
STRONA INTERNETOWA: Marcin Cichoński
KOREKTA: Dorota Dul, Tatiana Hardej
ARCHIWUM: Dominika Bok
OBROBKA ZDJEĆ, PRZYGOTOWANIE DO DRUKU: Andrzej Tchórzewski

GREMI
GRUPA

WYDAWCA: GRZEGORZ HAJDAROWICZ, WYDAWNICTWO PRZEKROJ SP. Z O.O., UL. NOWOGRODZKA 47 A, 00-695 WARSZAWA, TEL. 22 525 99 33, FAKS 22 525 99 88, WWW.PRZEKROJ.PL, E-MAIL: redakcja@przekroj.pl lub imie.nazwisko@przekroj.pl
PREZES WYDAWNICTWA: Jan Godłowski
P.O. DYREKTOR WYDAWNICTWA: Artur Rumiński
PROMOCJA I MARKETING: promocja@przekroj.pl, Agata Stremiecka (szef), Jakub Maszkowski
BIURO REKLAMY „PRZEKROJU”: reklama@przekroj.pl, Grzegorz Wilczek – dyrektor, tel. 22 525 99 17, Małgorzata Skórna tel. 22 525 99 16, 22 525 99 51
DYREKTOR DYSTYBUCJI: Elżbieta Maciążek
DRUK: RR Donnelley
PRENUMERATA: PRZEZ WYDAWNICTWO – należy dokonać przelewu na konto: Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o., ul. Nowogrodzka 47a, 00-696 Warszawa, Deutsche Bank Polska SA oddział w Warszawie nr: 34 1880 0009 0000 0011 0112 4002 i wysłać dowód wpłaty faksem: 22 525 99 88 lub e-mailem: prenumerata@przekroj.pl
Cena prenumeraty: rocznej – 202,80 zł, półrocznej – 101,40 zł. Informacji udziela Dział Dystrybucji, tel. 22 525 99 69
PRZEZ RUCH SA – RUCH SA prenumerata krajowa – 804 200 600, prenumerata zagraniczna – 22 532 88 16; 22 532 88 23, www.ruch.pol.pl

ZAANGAŻOWANIE PONAD TWOJE OCZEKIWANIA.

DHL Express to nie tylko szybkość i nieograniczony zasięg. To osobiste zaangażowanie, dzięki któremu zyskuje Twoja firma, sieć Twoich współpracowników i globalna społeczność. Codziennie pracujemy nad tym, żeby nasze ekspresowe usługi pomagały Ci osiągać sukces w biznesie. W każdym terminie i z każdą przesyłką możesz zawsze polegać na DHL.

www.dhl.com/zaangazowanie

EXCELLENCE. SIMPLY DELIVERED. **DHL**

przekroj.pl
CZYLI SPIS TREŚCI INTERNETULeć do radioaktywnej
biedronki

Kaszany już przekwitły, matury są już zdane (albo jeszcze nie), a emocje związane z obecnością królowej nauk nie gasną, czego dowodem dyskusja pod wywiadem z profesorem Łukaszem A. Turskim o przydatności matematyki w życiu („Przekrój” 19/2010)

I oto byliśmy świadkami sytuacji kuriozalnej – matematyka wraca na matury, w telewizji na okrągło emitowane są reklamy studiów technicznych uświadczone wszechobecność matematyki, a egzamin gimnazjalny nazywający się „matematyczno-przyrodniczy” nie zawiera matematyki... No, prawie nie zawiera matematyki. Czyli wszystko, o czym mówią i piszą autorytety, z ministerstwem włącznie, to nic nieznaczące bzdy w rozumieniu Centralnej Komisji Egzaminacyjnej... Ona wie lepiej i nikt jej nie będzie mówił, co jest ważne... Sytuacja jest o tyle poważna, że oczekując wprowadzenia matematyki na maturę, nauczyciele spodziewali się szczególnego nacisku na matematykę już na egzaminie gimnazjalnym i pod tym kątem uczniów przygotowywali. Spodziewali się, że przynajmniej 1/3 objętości egzaminu będzie powiązana z matematyką, z matematyki organizowali dodatkowe zajęcia, ćwiczenia, konkursy

KOMENTARZE INTERNAUTÓW

przygotowujące do egzaminu. No i wszyscy się poślizgnęli. Świetnie przygotowanym matematycznie uczniom zafundowano „radioaktywne biedronki”. Pojęcie to weszło już do mowy potocznej jako synonim bzdury... Co bardziej podejrzliwi zastanawiają się, czy przypadkiem któryś z członków przeszacowanej komisji nie ma w rodzinie gimnazjalisty z dyskalkulią... Bo naprawdę trudno znaleźć sensowne wyjaśnienie takiego doboru pytań egzaminacyjnych w czasie uśmiałego nakłaniania młodzieży do podejmowania studiów technicznych...

– Ee 2010.05.26 12:02

Dobrze, że matematyka powraca, ale nie chciałbym, żeby tę zmianę wprowadzał ktoś bezkrytycznie zakochany w cyferkach. Nie trzeba znać logarytmów i całek, ale proporcje znać trzeba. Bo przydatnym jest policzyć, czy słoik majonezu 230 mililitrów za 3,50 jest tańszy od słoika 350 mililitrów za 4,30. Dobrze jest w miarę sprawnie obliczać skalę mapy, ale objętość kuli wpisanej w coś tam jest obojętna. Matematyka jest przydatna, ale na pewno nie na poziomie proponowanym przez profesora Turskiego. Pewnie inny profesor, na przykład od muzyki, stwierdziłby, że w XXI wieku człowiek nieodróżniający ksylofonu od wibrafonu jest po prostu prostakiem. I być może również powinien zamieszkać na drzewie, na którym nie zabrakłoby zapewne wielu profesorów kierunków niemuzycznych.

– siouxie 2010.05.27 08:20

Trzecia okładka

Po raz kolejny umieszczono na okładce „Przekroju” podobiznę Józefa Stalina (tylko po co ta czarna opaska?). Ukazał się też tekst poświęcony zanikaniu kultu Stalina w Rosji. Stalin był Gruzinem, a Gruzja jest dzisiaj niezbyt mile widzianym krajem w Rosji, szczególnie wśród przywódców. W grudniu 1949 roku z okazji 70. rocznicy urodzin ukazał się numer „Przekroju” poświęcony przywódce ZSRR. Po raz drugi cały numer o Stalinie wydano w marcu 1953 roku, po jego śmierci. Ostatnie większe zdjęcie Stalina ukazało się w „Przekroju” w pierwszą rocznicę jego śmierci, w 1954 roku, na stronie drugiej. Pozdrawiam

Czesław Żyliński

Żeby Robin był Robinem

Od ulegania wpływom opinii z Internetu po pełne poparcie – komentarzy do recenzji ostatniego filmu o Robin Hoodzie („Przekrój” 20/2010) pióra Marcina Sendeckiego mamy bez liku. Co prawda nie ma jeszcze tego ponadstulionowego, ale kto wie, co przed nami...



Witam. Jeszcze nigdy żadna recenzja w moim ukochanym „Przekroju” mnie tak nie zawiódła. (...) Uważam, że pan Marcin za bardzo sugerował się niezbyt pochlebną opinią na temat nowego filmu Scotta, która zdążyła pojawić się na różnych stronach internetowych. Chciałabym odnieść się do jakże profesjonalnego rzeczownika „gniot”, jakim to posłużył się pan Marcin w swej opinii. Czemu porządny film w pana mniemaniu zasługuje na tak krytyczną opinię? Oczywiście w tekście możemy przeczytać, jak to kiedyś było lepiej i jakie to fantastyczne filmy kręcono na temat bohatera w kapturze. Jednakże, jak sam pan zauważył, wszystkie te filmy oraz najnowsze dzieło Scotta różnią się od siebie jedną podstawową sprawą – czasem akcji. Ridley zrealizował jakby prolog do opowieści, które zostały wyprodukowane we wcześniejszych latach. Jakże więc można porównywać te starsze filmy do najnowszego? Twierdzi pan, nieco sarkastycznie, że „jeśli chodzi o aktualnie obowiązujące oddanie kolorytu epoki, [Scott] dobrze i sprawnie wykorzystał swój ponadstulionowy liczony

w dolarach budżet”. Dysponował dużymi środkami z oczywistych (...) powodów. Nie wyobrażam sobie jednak, jak mógłby zrealizować tak barwną opowieść niskim kosztem. Nie wspomnę o tym, że mało obiektywnie ocenił pan grę Russella Crowe’a chociaż, co pana nie usprawiedliwia, rzeczywiście było tam pewne podobieństwo do gladiatora. Reasumując, proponuję panu przeanalizowanie tekstu i filmu raz jeszcze. (...) – ridiculus 2010.05.25 18:52

(...) Generalnie błędem wielkim było obsadzenie pana Gladiatora w tytułowej roli – Russell Crowe robi dokładnie to samo, co w wiadomym filmie, czaruje tym samym zestawem min, obmacuje grunt przed walką, mknąc na Wiernym Rumaku, łapie przypadkowo porzucone oręże i dekapituje przeciwników. W dodatku niechętnie strzela z huku – czyni to w filmie z razów dwa. Sceny batalistyczne nie robią większego wrażenia – są pozbawione absolutnie jakiegokolwiek brutalności, zapomnijcie o tryskającej krwi i odrąbanych kończynach. (...) Sytuację ratuje odrobinę galeria postaci drugoplanowych. Kompania Robina jest zaiste wesoła, mało ich, ale jak już się pojawiają, to z fasonem. Świetny Max von Sydow w roli sir Waltera z Locksley. Oraz gwiazda na firmamencie – Marion. Umówmy się, są kobiety piękne i wyjątkowe, ale pani Blanchett jest jedyna i niepowtarzalna. Sama wesoła Anglia pokazana jest sielankowo, kolorowo, pięknie wręcz i zapewne nijak ma się do rzeczywistego obrazu tamtych czasów. Ładny Londyn – prawdziwa metropolia. Reasumując: można, ale niekoniecznie, a tak po prawdzie, to lepiej powalić się w barłogu i sącać miód pitny, przeczytać „Wesołe przygody Robin Hooda”. 6/10 wyłącznie ze względu na panią Blanchett. Weź pan urlop, panie Scott.

– D. 2010.05.23 19:27



PŁYTY ZA LISTY

Najciekawsze listy i e-maile, które do nas prześlecie, oraz wpisy umieszczone na „Przekrojowym” profilu w portalu społecznościowym Facebook nagradzamy płytami. W tym tygodniu do wzięcia jest krążek grupy Placebo „Covers”. Płyty funduje EMI Music Poland

CZAS
WYBORÓWPORTA
DRZWI

Drzwi dostępne wyłącznie w sieci Autoryzowanych Dealerów Porta oraz w ponad 1500 współpracujących z nimi Autoryzowanych Punktach Sprzedaży (APS).

Belchatów BALSA 44 633 24 31 • Białystok AWRUK – STOLARKA BUDOWLANA 85 653 93 23 • Bielsko-Biała MTB JASIŃSKI 33 816 33 36 • Błonie CENTROBUD 22 731 81 53 • Bolesławiec JAWA 75 732 05 24 • Busko Zdrój FONTIS 41 378 80 45 • Bydgoszcz DRZWI – TESSA 052 364 67 00 • Bydgoszcz STALREM 52 346 55 23 • Chełm PORTO 82 565 28 28 • Czaplinek-Sikory P.H.U. M&G GRZEGORZ KOTŁOWSKI 94 375 47 56 • Czechowice Dziedzice MTB JASIŃSKI 32 215 50 49 • Częstochowa BEL – POL 34 324 49 58 • Częstochowa FACHOWIEC 34 360 22 40 • Elk MURBET 87 620 06 20 • Gdańsk BEL – POL 58 301 78 39 • Gdańsk STALREM 58 340 69 50 • Gdynia STOREM 58 668 46 87 • Gdynia WOODCOTE POLAND 58 663 84 00 • Gliwice BEL – POL 032 232 87 58 • Gliwice MAT – BUD 32 331 37 20 • Gorzów Wlkp. BEL – POL 95 722 73 19 • Gorzów Wlkp. STALREM 95 725 03 66 • Grudziądz EKSPOL 56 461 37 78 • Jastrzębie Zdrój HADEX 32 478 81 10 • Jelenia Góra BEL – POL 75 767 83 88 • Kalisz BEL – POL 62 753 67 21 • Katowice BEL – POL 32 252 86 91-92 • Katowice BUDUS Grupa PHMB 032 608 87 87 • Katowice WOODCOTE POLAND 32 202 50 30 • Kielce APOLLOPLAST 41 346 10 11 • Kielce BEL – POL 41 362 68 66 • Kielce FONTIS 41 362 72 41 • Kłodzko STOLPLAST 74 867 46 74 • Kolobrzeg WIK 94 351 64 18 • Koszalin SEZAM 94 342 54 46 • Koszalin TOM – SAN 94 343 54 88 • Kościan EFLI 65 511 95 66 • Kraków BEL – POL 12 417 39 46 • Kraków DREWEX 12 622 88 60 • Kraków HEBAN 12 651 87 62 • Kraków KONSTRUKTOR 12 420 00 12 • Kraków STALREM 12 264 72 25/26 • Kraków WOODCOTE POLAND 12 417 13 00 • Legnica BEL – POL 76 856 03 00 • Lubin BUDUS Grupa PHMB 76 844 39 90 • Lublin INTER GIPS 81 441 72 27 • Lublin PORTO 81 444 60 25 • Łomża DW DOMEL 86 215 66 15 • Łódź BEL – POL 42 682 64 67 • Łódź EKOCENTR 42 656 73 34/35 • Łódź MATERIAŁY BUDOWLANE 42 674 82 44 • Łódź STALREM 42 653 51 44/45 • Maków Mazowiecki CENTROBUD 29 717 13 48 • Nowa Sól BEL – POL 68 356 33 20 • Nowy Sącz BOGDAŃSKI 18 444 24 13 • Nowy Sącz TOMEX 18 444 11 27 • Olsztyn ALTADOOR 89 533 21 07 • Olsztyn D.P. 89 532 02 17 • Opole BEL – POL 77 454 42 33 • Opole WOODCOTE POLAND 77 402 44 40 • Ostrów Wielkopolski INTAR 62 737 51 48 • Płock BUD – MAT 24 268 65 04 • Płock PIK 24 268 99 66 • Poznań BUDOM MARKET 61 859 83 00/23 • Poznań C.B. PROGRESS 61 873 33 00 • Poznań EKO 61 815 03 44 • Poznań STALREM 61 846 08 60-62 • Przemyśl MULTI-FORM II 16 678 48 31 • Pszczyna KRONODOM 32 738 77 77 • Radom FACHOWIEC 48 340 03 45 • Radom OKNO-BUD 48 381 17 95 • Rzeszów BOZ 17 850 51 33/34 • Rzeszów PORTO 17 853 27 15 • Rzeszów WEPA 17 864 22 80 • Sanok INSTAL – BUD 13 493 24 11 • Słupsk ROLBUD 59 842 34 95 • Słupsk TOM – SAN 59 842 03 22 • Słupsk WOODCOTE POLAND 59 848 59 75 • Suwałki ALMAT 87 563 16 31 • Szafłary TOMEX 18 275 40 64 • Szczecin HIPER-GLAZUR 91 485 64 51 • Szczecin STALREM 91 484 73 99 • Szczecinek KPPD Szczecinek 94 372 95 55 • Świdnica BEL – POL 74 856 38 30 • Tarczyn CENTROBUD 22 727 87 67 • Tarnów TRANSBUD 14 629 80 73 • Toruń DRZWI – TESSA 56 655 92 60 • Toruń MS PROFI 56 660 52 95 • Tychy MULTI-FORM II 32 227 27 27 • Wałbrzych BEL – POL 74 886 95 00 • Wałbrzych SIBUD 74 666 88 88 • Warszawa CENTROBUD 22 756 72 36 • Warszawa BEL – POL 22 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 22 728 23 78 • Warszawa – Stara Miłosna SYKOMAT 22 773 38 06 • Warszawa WOODCOTE POLAND 22 796 00 76 79 • Warszawa – Grodzisk Mazowiecki FACHOWIEC 22 724 35 91 • Warszawa – Janki SYKOMAT 22 720 50 05 • Warszawa – Łomianki TECHNOBUD 22 751 70 41-44 • Warszawa – Piaseczno SYKOMAT 22 750 68 66 • Warszawa – Pruszków FACHOWIEC 22 728 23 78 • Warszawa – Stara Miłosna SYKOMAT 22 773 38 06 • Warszawa – Stare Babice TECHNOBUD – ALSTAL 22 382 41 01 • Warszawa – Zabki SYKOMAT 22 781 55 06 • Wejherowo BEL – POL 58 672 30 51 • Włocławek MAJSTER ATLAS KUJAWY 54 412 66 21 • Wrocław BEL – POL 71 325 27 77 • Wrocław BUDUS Grupa PHMB 71 373 19 90 • Wrocław WOODCOTE POLAND 71 346 79 90-91 • Zamość METBUD 84 639 10 09 • Zielona Góra CeMBe 68 320 33 00

Porta KMI Poland Sp. z o.o. należy do GRUPY BALTIS

www.porta.com.pl

Zapraszamy na stronę tygodnika, którą znajdziecie pod adresem www.przekroj.pl.

Szukajcie nas w portalu społecznościowym Facebook, wpisując do wbudowanej wari wyszukiwarki po prostu „Przekrój”.

Znajdziesz nas też na <http://www.myspace.com/przekroj>

KRÓTKO

Uznanie dla emerytury

Jeśli nie dajesz znaków życia, to umarłeś



RODZINA RATKO Mładecia, byłego dowódcy wojsk serbskich poszukiwanego za zbrodnie w Bośni w latach 1993–1995, chce, by uznano go za zmarłego. Jego żona jako wdowa dostawałaby generalską emeryturę Mładecia. Według serbskiego prawa jeśli ktoś ma 70 lat i od co najmniej pięciu nie daje znaków życia, można uznać, że zmarł. Mładecia skończy 70 lat za dwa lata, ale według rodziny siedem lat temu, gdy widziano go ostatni raz, czuł się tak źle, że nie przeżyłby roku. – syl

Kosztowny sen władzy

Premier Izraela miękko wylądował

PREMIER IZRAELA Benjamin Netanjahu kazał zamontować małżeńskie łóżko w samolocie, którym leciał do Francji i Kanady. Podniosło to koszt delegacji o ponad 300 tysięcy dolarów. Od kilku lat prezydent i premier Izraela latają wynajętymi samolotami, gdyż rządowy boeing 707 jest stary, a koszt jego użytkowania wysoki. Zwykle wypożyczają wąskokadłubowy boeing 757 i śpią w fotelach pierwszej klasy. Ale łóżko dla premiera i jego żony Sary zmieściło się dopiero w szerokokadłubowym boeingu 767, stąd różnica w cenie. – syl

Nie to tabu

W CIA nie udało się zorganizować orgii

PRZED INWAZJĄ W 2003 ROKU CIA chciała sfabrykować materiały oczerniające Saddama Husajna – donosi „The Washington Post”. Dziennik, powołując się na źródła w CIA, pisze o planach nakręcenia filmu, w którym sobowtór Saddama bierze udział w orgii homoseksualnej. Film miał wyglądać jak kręcony ukrytą kamerą. Planu nie zrealizowano, bo – jak mówi anonimowy oficer – pomysł wyszedł od ludzi, którzy nie znają realiów Bliskiego Wschodu: – Saddam zabawiający się z facetami nikogo by nie oburzył. Tam to nie jest tabu. – mac

Dom dla niedowiarków

Nie zaśniesz tam, jeśli wierzysz w duchy

ZNANY Z FILMU „AMITYVILLE Horror” dom został wystawiony na sprzedaż. To tu w 1974 roku Ronald DeFeo Junior zamordował swoją sześcioosobową rodzinę. Rok później do budynku w Amityville (stan Nowy Jork) wprowadziła się rodzina Lutzów, ale po 28 dniach uciekli, twierdząc, że dom jest nawiedzony. Następni właściciele spotykali tylko tłumy turystów, zwykle w Halloween. Dom kosztuje 1,15 miliona dolarów. – fieda



W tej bazie przed wojną z USA stacjonował radziecki żołnierz. Oni też przyjechali z własnymi rakietami

WYWIAD ANNA SZULC

Szpieg w krainie jezior

Za rakietami Patriot i amerykańskimi żołnierzami do Morąga zjeżdżają agenci obcych wywiadów nawet z odległych kontynentów

OBAW NIE KRYJE TADEUSZ SOBIERAJSKI, burmistrz Morąga, który nie miał wpływu na sprowadzenie do miasteczka rakiet Patriot oraz ponad setki żołnierzy US Army. Umowę z Amerykanami zawarło bowiem polskie MON bez konsultacji z samorządem. Burmistrz obawia się między innymi „napływu różnych wywiadów agenturalnych”. – Morąg faktycznie może się znaleźć w kręgu zainteresowań południowo-amerykańskich i południowoafrykańskich wywiadów – potwierdza Janusz Pałubicki, były minister koordynator służb specjalnych.

Dlaczego właśnie tych wywiadów? Bo kraje z tamtych rejonów świata nie dysponują podobnymi rakietami, a chciałyby (według informacji innych wywiadów). Chodzi głównie o zdobycie informacji na temat organizacji i warunków pracy w bazie w Morągu, a także danych o sposobie aktywowania wyrzutni, który jest ściśle tajemnicą Amerykanów. Nawet polscy wojskowi nie wiedzą, kiedy bateria osiąga pełną zdolność działania.

Być może gdybyśmy bardzo chcieli to wiedzieć, znalazłby się sposób na wydobycie tych danych. Przecież w latach 80. to agenci wywiadu PRL wykradli Amerykanom plany konstrukcyjne rakiet Patriot i przekazali je Związkowi Radzieckiemu. Dlatego sama tech-

nologia budowy tych urządzeń jest obcym państwom dobrze znana.

Egzotyczni agenci nie przyjadą wprost z Afryki lub Ameryki Południowej – w Morągu zbyt łatwo byłoby ich rozpoznać. To raczej polscy rezydenci agencji wtopią się w społeczność, na przykład pracując na stanowiskach technicznych w firmach obsługujących bazę. Najprawdopodobniej są to osoby spoza Morąga, choć werbowani bywają też tubylcy, o ile mają dostęp do przydatnych informacji.

A z dostępem od początku jest trudno: w ubiegłą środę, podczas uroczystego powitania Amerykanów przez ministra obrony Bogdana Klichę, mieszkańcy miasteczka, którzy tłumnie przybyli pod garnizon, nie zostali wpuszczeni do bazy, w której zresztą już kiedyś stacjonowały rakiety, ale radzieckie.

Jak w tych tłumach mieszkaniec Morąga znajdzie szpiega? – Nie znajdzie, z namierzeniem agentów ma przecież problem nawet kontrwywiad wojskowy – tłumaczy Janusz Pałubicki.

Nasz kontrwywiad doskonale wie, gdzie i kiedy powinien być czujny – uspokaja poseł Konstanty Miodowicz z PO, były szef kontrwywiadu, a w latach 90. współtwórca polskich służb specjalnych. – Zapewniam, że pan burmistrz, jego rodzina i cały Morąg mogą spać spokojnie.

SIŁOWNIE

Uzasadnione, bezpieczne, niewykonalne

Rosja proponuje Polsce postawienie wspólnej elektrowni atomowej

PÓŁNOCNO-WSCHODNIA POLSKA TO NAJGORZIEJ zaopatrzona w energię elektryczną część kraju, dlatego właśnie w Żarnowcu (Pomorskie) ma stanąć za 10 lat pierwsza polska siłownia jądrowa. Ale z nieoczekiwaną propozycją wystąpił w zeszłym tygodniu rząd Rosji: w obwodzie kalininradzkim, 60 kilometrów od Polski, miałaby stanąć wspólna (po 50 procent udziałów w kosztach) elektrownia jądrowa zaopatrująca w prąd odbiorców po obu stronach granicy. Rosyjski pomysł analizuje Ministerstwo Gospodarki, które pilotuje program polskiej energetyki jądrowej. W resorcie nie chcieli jeszcze komentować tej sprawy.

Doktor Stanisław Latek z Państwowej Agencji Atomistyki jest przekonany, że rosyjska koncepcja nie ma szans realizacji. – Powody są, nazwijmy je, polityczno-psychologiczne. Czyli trudne relacje polityczne z Rosją, a także uraz po katastrofie w Czarnobylu – mówi i dodaje, że reaktory typu czarnobylskiego nie są produkowane od lat, a poziom rosyjskich technologii w energetyce jądrowej nie odbiega od zachodnich. – Rosjanie są uznanymi eksporterami tych technologii. Ostatnio umowę z Rosją zawarła Turcja – podkreśla doktor Latek. Rosyjskie bloki energetyczne są przy tym o kilkanaście procent tańsze od konkurencji.

Do tej pory zainteresowanie udziałem w budowie polskich siłowni jądrowych wyraziły firmy energetyczne z Francji, USA, Kanady i Korei Południowej. – iggy



Przez urazy i animozje nie ziści się sen o energii jądrowej przekraczającej granice

Terapie

PAŃSTWO OBNIŻY POPĘD

70 PROCENT OSÓB, KTÓRE SKOŃCZYŁY odsiadanie wyroku za pedofilię, wraca do molestowania nieletnich – wynika z polskich statystyk. 8 czerwca, przed końcem kary pedofila zbadał seksuolog. Jeśli stwierdza, że wciąż wykazuje wcześniejsze skłonności, sąd wyśle go na przymusową

psychoterapię połączoną z przyjmowaniem leków obniżających popęd płciowy. Resort zdrowia w końcu zeszłego tygodnia przedstawił listę placówek, które zajmują się takimi osobami. Zamknięte lecznice będą w Kłodzku, Starogardzie Gdańskim oraz w podlaskiej Choroszczy. Wyposażone zostaną w monitoring telewizyjny i czujniki otwarcia drzwi oraz okien. W kolejnych pięciu miastach – Gorzowie Wielkopolskim, Krakowie,

Warszawie, Wągrowie oraz Kościanie – skazani będą leczyć się w ośrodkach otwartych. Ale jeśli nie zgłoszą się na terapię, sąd przeniesie ich do lecznicy zamkniętej. Koszty terapii oraz funkcjonowania ośrodków (około pięciu milionów złotych rocznie) w całości pokryje NFZ. Rocznie za pedofilię skazywanych jest blisko 600 osób. W więzieniach przebywa teraz około dwóch tysięcy. Pierwsi skazani trafią na leczenie najwcześniej w 2011 roku. – rk

REKLAMA

Książka dostępna w salonach **empik**

ULRIKE, NIEMCY:

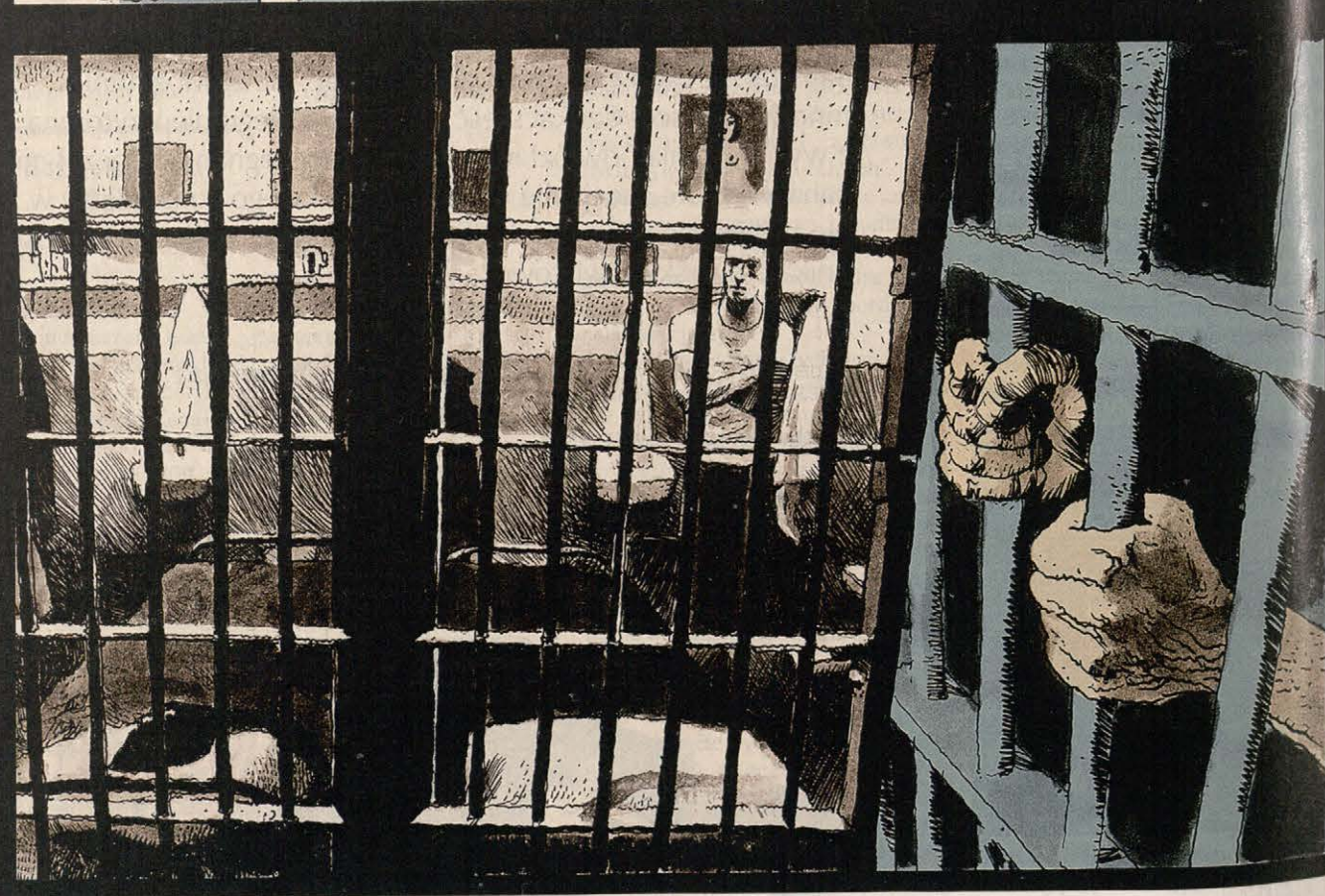
„Uważam, że polska gościnność jest unikatem w skali światowej”

Kolega namówił mnie kiedyś do wzięcia udziału w Biegu Piastów. Sam zachorował i nie mógł wystartować, ale zawiózł mnie rano na miejsce. Cekał sześć godzin. Po biegu nieprzytomną z wycieńczenia odwiózł na pociąg. Na pożegnanie wręczył mi kanapki, które specjalnie dla mnie zrobiła jego żona. Nigdy w życiu nie jadłam nic równie dobrego. Uważam, że polska gościnność jest unikatem w skali światowej.

WIĘCEJ HISTORII O TYM, ZA CO CENIĄ NAS OBCOKRAJOWCY, ZNAJDZIESZ W KSIĄŻCE „SWEGO NIE ZNACIE... CZYLI POLSKA OCZAMI OBCOKRAJOWCÓW”.

MECENASEM PROJEKTU JEST TYSKIE.





REWOLUCJA IDZIE DO ARESZTU

PRAWA CZŁOWIEKA TEKST AGNIESZKA FIEDOROWICZ, ILUSTRACJE TRUST

LENIWY PROKURATOR MIESIĄCAMI TRZYMA NIEWINNYCH W ARESZCIE, A **ŁUDZIE BEZ WYROKÓW LATAMI SIEDZĄ ZA KRATKAMI**, BO DZIĘKI TEMU SĄ POD RĘKĄ ŚLEDZCZYCH. TO NIE REPUBLIKA BANANOWA, TO POLSKA. LEKIEM NA NADUŻYWANIE PRAWA DO TYMCZASOWEGO ARESZTOWANIA MA BYĆ REWOLUCJA W PRAWIE KARNYM, KTÓRĄ SZYKUJE PROFESOR ANDRZEJ ZOLL

Do drzwi Karola S. CBA zapukało o godzinie 6 nad ranem w maju 2009 roku. – Pozwolił się ubrać, ale nie spakować. Nie wziął nawet szczoteczki do zębów. Aby dostarczyć mi ją w paczce, żona musiała potem dostać zgodę prokuratora – wspomina S., menedżer z Warszawy. Tego samego dnia trafił do aresztu na warszawskiej Białoleśce z podejrzeniem wręczania łapówek. – Prokurator od ręki dostał zgodę na areszt, bo zachodziła obawa, że „będę mataczył”. Na czym niby to mataczenie miało polegać, nie wiem do dziś – dodaje mężczyzna. W areszcie spędził ponad pół roku.

Również nad ranem, tyle że w marcu 2007 roku, policja zatrzymała Grażynę Szoltyś, była wiceprezydent Katowic i ówczesną szefową miejskiej spółki Estrada Śląska zajmującej się organizacją imprez kulturalnych. – Przewieziono ją do najgorszej izby zatrzymań, a policjanci drwili, że wiozą „damę do Hiltona”. Grażyna miała wtedy okres, ale nie pozwolono jej nawet zabrać ze sobą podpasek. Kolejne dwie noce spędziła w zimnej celi, półsiąc na podłodze – opowiada jej przyjaciel Tadeusz Donocik, prezes Regionalnej Izby Gospodarczej w Katowicach.

Media krzyczały o aferze, wprowadzeniu setek tysięcy złotych z podległej Szoltyś Estrady. Prokuratura postawiła byłej wiceprezydent rekordowe 1678 zarzutów (niegospodarności i przekroczenia uprawnień). Szoltyś miała szczęście – spędziła w areszcie tylko dwie doby (wyszła za kaucją). Pytanie: czy

w ogóle należało ją aresztować, skoro rok później prokuratura umorzyła wszystkie zarzuty?

Siostra zatrzymanego w kwietniu 2003 roku Norberta Stępnia pierwsze 48 godzin po tym zdarzeniu zapamięta jako najgorsze w życiu. – Nie wiedziałam, co się stało z bratem – wspomina Marta Stępień. – Bezszykownie obdzwaniałam policję, okoliczne szpitale, znajomych.

Dopiero po dwóch dniach prokuratura poinformowała rodzinę, że Norbert, mieszkaniec Sosnowca, został tymczasowo aresztowany. – Grupa antyterrorystyczna wywlekła go z auta w centrum miasta jak najgorszego mafioso. Wraz z nim zatrzymano ośmiu innych mężczyzn, którzy byli podejrzani o udział w grupie przestępczej wydłużającej kredyty pod zakup sprzętu AGD i RTV.

Dopiero po miesiącu aresztu prokurator zezwolił Marcie na widzenie z bratem. – Norbert twardo przekonywał mnie o swojej niewinności. Zapytałam więc prokuratora wprost, co mam robić, jak poważna jest sprawa, czy załatwiać adwokata. Usłyszałam, że nie trzeba, bo brat za chwilę i tak wyjdzie. Potem z tego „zaraz” zrobiły się ponad cztery lata – opowiada Marta.

Odpowiedzialnością podzieleni

Problem zbyt chętnego stosowania tymczasowego aresztu rósł w Polsce od końca lat 90. W 1997 roku zmieniła się bowiem procedura – decyzja z gestii prokuratora przeszła w ręce sądu. Prokuratura wnioskuje o areszt i według statystyk w 90 procentach przypadków otrzymuje zgodę. – W efekcie rozmyśla się odpo-

wiedzialność. Dziś w razie wpadki jedni zrzucają odpowiedzialność na drugich, bo „prokurator wnioskował”, ale „sąd przyklepał” – tłumaczy Adam Bodnar z Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka.

Lawinowo liczba aresztowanych zaczęła rosnąć po 2001 roku (tylko od stycznia do maja wzrosła z 22 do 25 tysięcy), ponieważ ówczesny minister sprawiedliwości Lech Kaczyński tą właśnie liczbą mierzył jakość pracy prokuratur. Praktykę kontynuowano po odejściu ministra, zaś do perfekcji doprowadził ją Zbigniew Ziobro, za którego rządów w resorcie sprawiedliwości polityka aresztowań była wykorzystywana do bieżących rozgrywek politycznych.

To wtedy do języka prawników na trwałe weszło określenie „areszt wydobywczy”, czyli przetrzymywanie ludzi latami w celu wymuszenia zeznań, a medialne aresztowania, takie jak afera doktora G., afera gruntowa czy próba zatrzymania Barbary Blidy (zakończona jej samobójstwem), miały pokazać skuteczność rządu PiS.

Problem pozostał – z drobną korektą, że obecnie areszt jest wykorzystywany jako symbol skutecznego działania państwa (w aresztach przebywa teraz około 10 tysięcy zatrzymanych).

Poprawa na papierze

– Tę praktykę nazywamy w środowisku prawniczym „populizmem karnistycznym” – wyjaśnia profesor Andrzej Zoll, były rzecznik praw obywatelskich. – Państwo, aresztując podejrzanego, daje społeczeństwu sygnał, że szybko i sprawnie walczy z przestępcami. Szybki to powinien być proces i wyrok, a nie areszt.

– Wiele zmienia się na lepsze – przekonuje mnie jednak Cezary Kisza ze Stowarzyszenia Prokuratorów Rzeczypospolitej Polskiej. – Obecnie areszt tymczasowy stosowany jest wtedy, gdy dowody są naprawdę mocne, i to w sprawach o zabójstwo, wyłudzenia. Takich ludzi nie można na czas śledztwa pozostawić na wolności, bo zachodzi obawa, że będą mataczyć, niszczyć dowody, zastraszać świadków lub zwyczajnie uciekną – wylicza prokurator.

– To poprawa głównie na papierze – zaprzecza Adam Bodnar. Liczba aresztów spadła do nieco ponad ośmiu tysięcy w 2008 roku, ale w 2009 wzrosła do 9416. – Wbrew zapewnieniom Ministerstwa Sprawiedliwości i prokuratorów areszty wciąż stosowane są rutynowo, także w sprawach, w których jako środek zapobiegawczy wystarczyłoby poręczenie majątkowe. Areszty są przedłużane i bywa, że trwają po dwa, nawet pięć lat. →

→ Z mecenasem Jackiem Dubois spotykam się w kancelarii w biurowcu w centrum Warszawy. Adwokat rozkłada notatki z ostatnich spraw. – Jestem optymistą co do poziomu sądownictwa w naszym kraju. Jednak problem wnioskowania i stosowania nieprzemyślanego oraz nadmiernego aresztu pozostaje niezmienny – ocenia.

Klient 1. Aresztowany na podstawie zeznania jednego świadka. W ciągu czterech miesięcy prokurator nie przeprowadza podstawowej czynności – nie pokazuje aresztowanego świadkowi. Adwokat, gdy przejmie sprawę, składa wniosek o okazanie. Kobieta stwierdza: to nie ten facet. Nazwisko się zgadza, ale aresztowano nie tę osobę. – Niewinny człowiek przesiedział cztery miesiące, bo prokurator nie znalazł czasu, by pokazać go świadkowi – mówi mecenas Dubois.

Klient 2. Aresztowany pod zarzutem handlu narkotykami. Nic nie znaleziono podczas przeszukania w jego mieszkaniu. Adwokat podważa słuszność aresztu, twierdząc, że ktoś pomógł klientowi, że jego wina nie została w dostatecznym stopniu uprawdopodobniona. – Ależ została – ripostuje decydujący o przedłużeniu aresztu sąd i powołuje się na przeszukanie. To samo, podczas którego nic nie znaleziono. Absurd? Z pewnością.

Prawo zakłada, że areszt nie powinien trwać dłużej niż trzy miesiące. Ten czas ma wystarczyć prokuratorowi na zabezpieczenie dowodów, przesłuchanie świadków. – Niestety, zamiast mobilizować, spowalnia prace prokuratury. Bo przecież podejrzany siedzi, nie ucieknie, więc nie trzeba się spieszyć – tłumaczy profesor Andrzej Zoll.

System nie łapie

Karol S. przez pierwsze trzy miesiące aresztu ani razu nie został przesłuchany. Potem sąd przedłużył areszt, bo prokurator stwierdził, że „sprawa jest bardziej skomplikowana, niż przewidywał”. – Przypadków, w których areszt trwa powyżej roku i dłużej, jest zaledwie kilka procent – zapewnia Luiza Salapa, rzecznik Centralnego Zarządu Służby Więziennej. Dokładnych statystyk nikt nie prowadzi, bo areszt przedłużony to często wynik aresztu międzyinstancyjnego, gdy strony odwołują się od wyroku – system tego nie wyłapuje.

Europejski Trybunał Praw Człowieka od lat wskazuje, że Polska najczęściej (obok Turcji, Rumunii i Rosji) przewleka areszt, łamiąc tym samym prawa człowieka. Nasze państwo przegrało przed trybunałem w ciągu ostatnich ośmiu lat ponad sto spraw wytoczonych przez polskich aresztowanych. – W większości areszt trwał ponad dwa lata, ale raz przekroczył siedem – wyjaśnia Adam Bodnar.

W związku z rosnącą liczbą wyroków w 2007 roku Komitet Ministrów Rady Europy przyjął rezolucję, w której wezwał Polskę do wprowadzania środków prawnych ograniczających stosowanie tymczasowego aresztowania, a także do zwiększenia świadomości

w zakresie jego standardów w środowisku prokuratorów oraz sędziów.

Napomnienia te zbiegły się w czasie z wyrokami polskiego Trybunału Konstytucyjnego, do którego trafiały kolejne zaskarżane przepisy dotyczące aresztów. W 2006 roku bój przed trybunałem stoczono między innymi o przepis pozwalający na przedłużenie aresztu na podstawie „innych istotnych przeszkód, których usunięcie było niemożliwe”. Trybunał uznał, że nieprecyzyjność sformułowania narusza konstytucyjne prawo do wolności, i nakazał jego usunięcie.

Przygotowana trzy lata później przez ministerstwo nowelizacja zlikwidowała aż trzy przesłanki umożliwiające przedłużanie aresztu po-

łała go od nich gruba szyba), czy z adwokatem. Pisane do (i od) najbliższych listy (docierające z dwumiesięcznym opóźnieniem) przechodzą przez prokuratorską cenzurę (prokurator Karola miał zwyczaj zamazywać flamastem co bardziej niepoehlebne opinie na swój temat). Z książek, o które S. prosił, by zabić wszechogarniającą nudę, dostał tylko przysługującą wszystkim kodeks postępowania karnego. Przystudiował go od deski do deski. Z braku innego zajęcia pomagał innym aresztowanym pisać wnioski procesowe.

S. nie miał wątpliwości (bo zarówno przesłuchujący go prokurator, jak i oficerowie CBA tego nie ukrywali), że areszt ma być dla niego firmą



Areszt wydobywczy jest efektywny, bo prędzej czy później większość przyzna się do czegośkolwiek

nad kodeksowy czas, czyli rok w postępowaniu przygotowawczym i dwa lata w postępowaniu sądowym. Powodem przedłużenia nie mogą być od tej pory ani „inne istotne przeszkody”, ani też przeciągająca się obserwacja psychiatryczna oskarżonego lub oczekiwanie na opinię biegłego.

Koniec codzienności

Mijają pierwsze trzy miesiące aresztu menedżera Karola S. Potem kolejne. – Dla większości to szok – tłumaczy S. Bo zamiast mieszkać w domu, przenosisz się na 23 godziny na dobę (przysługuje godzina spaceru) do mikroskopiowej celi. Wszystko, co dotąd wydawało się codziennością: czyste ubrania, książki, gazety, telefon, rozmowy z najbliższymi, praca, zostaje człowiekowi odebrane. A dostępu do każdej z tych rzeczy broni prokurator. To od niego zależy, czy aresztowany będzie mógł porozmawiać z rodziną (Karol miesiącami nie widywał żony i małej córki, a gdy się to już udało, nie mógł ich nawet przytulić, bo oddzie-

kary, która zmusi go do złożenia zeznań i przyznania się do winy. – Padały mniej lub bardziej zawołowane stwierdzenia typu: powiedz cokolwiek, to jutro jesteś w domu. Jak nie, to posiedzisz. Ile? Tyle, ile będzie trzeba – opowiada menedżer.

– To, co najbardziej niszczące w nadużyciu tymczasowego aresztu, to niepewność jutra. Skazany odbywający karę w więzieniu ma przynajmniej pewność: zrobiłem to, za karę przesiedzę dwa lata, a potem wyjdę. Jest w stanie zaplanować przyszłość. Aresztowany nie wie nic – mówi profesor Andrzej Zoll.

– Ale areszt wydobywczy jest efektywny, bo prędzej czy później większość ulegnie i przyzna się do czegośkolwiek, byle wyjść. Czy jednak przyznanie do winy, które w ten sposób uzyskujemy, ma jakikolwiek związek z prawdą czy ze sprawiedliwością? Śmiem wątpić – dodaje mecenas Dubois.

Rok temu Ministerstwo Sprawiedliwości przygotowało nowelizację kodeksu postępowania karnego. Miała ona ograniczyć stosowanie aresztu wydobywczego. A dokładniej dwie najczęście stosowane metody nacisku – ograniczanie obecności adwokata przy przesłuchaniu klienta i nierozpatrywanie miesiącami zażaleń aresztowanego. Zmiana wprowadzała maksymalnie tygodniowy termin rozpatrzenia zażalenia przez sąd. Teraz o przesłucha-

niu sąd ma obowiązek informować adwokata, aby aresztowany nie był pozbawiony pomocy. A w praktyce? – Teraz rzeczywiście jestem częściej obecny przy przesłuchaniach klientów, ale bywają sytuacje, kiedy służby świadomie wprowadzają mnie w błąd co do terminu przesłuchania – mówi Dubois.

Trzecią metodą było uniemożliwianie obrońcom dostępu do akt na poziomie postępowania przygotowawczego. – Wchodziliśmy na salę rozpraw w ciemno, nie widząc, na jakiej podstawie aresztowano klienta – wspomina Jacek Dubois.

Inaczej, czyli zawsze

Tę ostatnią metodę Rzecznik Praw Obywatelskich zaskarżył do Trybunału Konstytucyjnego. To ograniczanie prawa do obrony – uznał już w czerwcu 2008 roku TK i nakazał zmienić prawo. Nowelizacja, którą uchwalił Sejm, pozwala obrońcy na wgląd do akt. Ale to teoria. Po pierwsze, wgląd mogą uzyskać wyłącznie ci adwokaci, których klienci zostali aresztowani. Po drugie, adwokat wciąż może poznać jedynie część dowodów mówiących o winie oskarżonego. Tych świadczących na korzyść nie zobaczy. A po trzecie, prokurator wciąż może odmówić dostępu do akt, jeśli na przykład ów dostęp będzie narażał zdrowie lub życie uczestników postępowania, groził zniszczeniem albo sfałszowaniem dowodów bądź utrudniał prowadzone postępowanie „w inny sposób”.

– „W inny sposób” może oznaczać „zawsze” – dezerwuje się mecenas Dubois. Nie dalej jak kilka dni temu prokuratura odmówiła mu dostępu do akt, powołując się na ten jakże enigmatycznie sformułowany przepis. Zdaniem Bodnara, by skutecznie walczyć ze zbyt długimi aresztami, należy wprowadzić maksymalny okres aresztu. Limit taki obowiązuje na przykład w Portugalii i na Węgrzech, gdzie tymczasowe aresztowanie wygasa automatycznie, jeśli osiągnie łączny okres trzech lat.

Dostęp do akt, szkolenia sędziów... Ministerstwo Sprawiedliwości chwali się, że wiele robi dla poprawy sytuacji aresztowanych. – Ale czy to realne zmiany? – pytam profesora Zolla. Właśnie został szefem działającej w resorcie sprawiedliwości stałej Komisji Kodyfikacyjnej Prawa Karnego. Ma przygotować reformę, która ukróci między innymi nadużycia aresztowe. – To zmiany kosmetyczne. Prawdziwa rewolucja dopiero nas czeka – zapewnia profesor. – Z jednej strony chcemy skrócić czas trwania postępowania przygotowawczego, z drugiej dać sędziom i prokuratorom narzędzia do stosowania zamiast aresztu. Komisja zastanawia się nad wykorzystaniem obrony elektronicznej oraz zabezpieczenia mienia (domu, firmy) jako gwarancji stawienia się na procesie.

Kontrowersje budzi pierwszy projekt. Komisja bowiem chce, aby podejrzany (także aresztowany) mógł wystąpić o umorzenie procesu, jeśli prace prowadzone przez prokuratora

trwają zbyt długo, na przykład powyżej roku. – To katastrofa – oburza się prokurator Kiszka. – Nie wszystkie śledztwa da się zakończyć w rok. Mam sprawy, w których proszę o pomoc kolegów z Ukrainy, a nawet z Ekwadoru. To trwa miesiącami. Albo czekam na ekspertyzy biegłych. Jak się nie zmieszczę w terminie, to mam wypuścić mafioso, a może pedofila?

– Spraw trudnych, które muszą długo trwać, jest kilka procent, więc niech prokuratorzy nie przesadzają – ucina profesor Zoll.

Inną kwestią jest sprawa odpowiedzialności prokuratora za postępowanie. – Dziś ta odpowiedzialność jest rozmyta – mówi profesor. – Jeden prokurator wnioskuje o areszt, drugi prowadzi śledztwo, trzeci, często kompletnie nieprzygotowany, odbębnia rozprawę w sądzie. Trzeba uczynić odpowiedzialnym za konkretną sprawę jedną osobę i konsekwentnie rozliczać ją nie z liczby aresztowanych, ale z wyników, czyli z liczby pozytywnie zakończonych spraw.

Dodatkowo, by odciążyć i sądy, i prokuraturę, komisja chce, żeby więcej spraw było załatwianych jeszcze przed salą rozpraw.

– Ogląda pani amerykańskie seriale? – pyta profesor Zoll.

– Czasem. – Tam często przed rozprawą prokurator z adwokatem „negocjują”. Jeśli oskarżony się przyzna, dostanie wyrok mniejszy lub w zawiasach. Tak uzgodnione sprawy mogą zakończyć się na jednej rozprawie.

Wszyscy płacimy

Prace trzeba podjąć natychmiast, bo rosną koszty przetrzymywania ludzi w aresztach. – Najważniejsze są koszty społeczne: ludzie tracą pracę, kontakt z rodziną, biznesmenom upadają też firmy – wylicza Zoll.

Do tego dochodzą koszty odszkodowań – ponad pięć milionów złotych rocznie pochłaniają wypłaty za tymczasowe aresztowania po decyzjach polskich sądów, do tego dochodzą koszty wyroków strasburskich (każdy po 3–10 tysięcy euro). – Ta liczba rośnie lawi-

Trzeba uczynić odpowiedzialnym za konkretną sprawę jednego prokuratora i rozliczać go z wyników, a nie z liczby aresztowań

nowo, zwłaszcza po wyroku z 3 lutego 2009 roku. Chodzi o wyrok w sprawie Kauczor przeciw Polsce. Jego areszt trwał rekordowe – nawet jak na polskie warunki – siedem lat. Europejski Trybunał Praw Człowieka wskazał wtedy, że nasze areszty są problemem systemowym. W tamtym czasie na rozstrzygnięcie czekało 145 polskich skarg, ale od tamtego wyroku niemal z automatu rozpatrywane są na korzyść skarżących się – tłumaczy Adam Bodnar.

Od tego roku także aresztowani mogą skarżyć się na przewlekłość postępowania przy-

gotowawczego (dotąd prawo to mieli tylko ci, w których sprawach toczył się już proces). I wielu z tego korzysta. Z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że od 1 stycznia do resortu wpłynęło 1661 skarg. W 196 sprawach sądy przyznały pokrzywdzonym – z powodu opieszalej pracy sądów i prokuratorów – w sumie ponad 530 tysięcy złotych odszkodowań.

Niewinnego nie trzymają?

Grażyna Szoltysik wycofała się z życia publicznego. – Najbardziej boli, że w tak perfidny sposób zniszczono reputację zasłużonej dla Śląska kobiety. Bo aresztowano ją z wielkim hukiem i w świetle reflektorów, a uniewinniono po cichutku – dodaje Tadeusz Donocik.

W grudniu 2005 roku Sąd Rejonowy w Sosnowcu skazał Norberta Stępnia na karę 3 lat i 10 miesięcy więzienia. Stępień złożył apelację od wyroku, więc po raz kolejny przedłużono mu areszt – tym razem do czerwca 2007 roku. Problem w tym, że zasądzony wyrok (który tak naprawdę odsiedział w areszcie, bo zalicza się go do czasu odbywania kary więzienia) skończył się Norbertowi już w styczniu i dalsze trzymanie go w zamknięciu było bezprawne. – Norbert w akcie protestu miesiąc głodował, wreszcie o sprawie powiadomiliśmy media – opowiada Marta. Jej brat wyszedł w marcu, po interwencji Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka. W czasie aresztowania stracił kontakt z żoną i małutkim synkiem. Jego żona zachorowała i zmarła na raka mózgu, a Norbertowi zaocznie ograniczono prawa rodzicielskie. Rodziną dla jego synka Adriana ustanowiono dziadków ze strony matki.

– Norbert powoli odbudowuje swe relacje z synem, dla którego po wyjściu z aresztu był obcym człowiekiem – opowiada Marta. Dziś Adrian, choć mieszka z dziadkami, wie, że ma tatę, na którego może liczyć. Stępień skarży Skarb Państwa o odszkodowanie za niesłuszne tymczasowe aresztowanie – jego sprawa toczy się w II instancji, ale jest przedłużana, bo świadek prokuratury jest poszukiwany listem gończym. – Nie chodzi o pieniądze – mówi Marta. – Bo jakie pieniądze zwrócą mojemu bratu życie żony czy rozłąkę z dzieckiem? Chcemy z ust prokuratury czy sądu usłyszeć tylko słowo „przepraszam”.

Karol S. opuścił areszt po sześciu miesiącach odsiadki, ale postępowanie w jego sprawie wciąż trwa: – Jestem pewien, że część znajomych jest przekonanych o mojej winie, bo skoro „trzymali go tyle czasu, coś musi być na rzeczy”. Niewinnego by nie trzymali. Paradoks tego państwa polega, na tym, że by trzymali. Oby ta praktyka jak najszybciej została ukrócona. Dla mnie, ale i dla tych wszystkich, których może to spotkać. W zasadzie każdego z nas.

Nie wybieramy prezydenta w ciemno

Polityczna „odmiana” Jarosława Kaczyńskiego jest najlepszą realizacją pisowskiej idei, że ciemny lud wszystko kupi. Choć to taki sam mit jak ten, że główni kandydaci nic nie mówią, więc nie znamy ich programów

Nieprawda, że kandydaci na prezydenta milczą. Nieprawda, że nie znamy ich programów. I nieprawda, że nie mamy na nic wpływu, więc nie warto zaprztać sobie głowy tymi wyborami.

Warto się najpierw zastanowić, kto w tej kampanii o co walczy i co naprawdę nam oferuje. Bo wbrew pozorom nie każdy z nich gra o to samo. W tych wyborach liczą się tylko dwaj kandydaci na prezydenta – Bronisław Komorowski i Jarosław Kaczyński. To pierwsza liga wyznaczająca od dawna oś głównego sporu politycznego w Polsce.

Szkoda wprawdzie, że nic się pod tym względem nie zmieniło od 2007 roku – czyli od czasu nowego rozdania między dwiema pravicowymi partiami. Trudno jednak winić PiS czy PO za to, że nie wyrosła im realna konkurencja, bo winni są temu przede wszystkim słabi rywale. Dzisiejszy, bardziej wyraźny podział polskiej polityki między PO a PiS wcale jednak nie oznacza tego samego co w roku 2007. Ani tym bardziej tego, co w roku 2005. Nie oznacza też, że w Polsce nic kompletnie przez ten czas się nie zmieniło.

W wypadku tych dwóch kandydatów wcale nie brakuje informacji programowych – wbrew powszechnemu utyskiwaniu dziennikarzy. Na dodatek są to nie tylko hasła, jak u większości ich rywali, ale przede wszystkim programy zweryfikowane doświadczeniem sprawowania realnej władzy, i to niedawno, bo w ostatnich pięciu latach.

Cztery ważne elementy

Co może prezydent? Nie tak znowu niewiele, jakby sugerowały wypowiedzi Donalda Tuska o żyrandolach. Nie jest to co prawda urząd numer jeden pod względem kompetencji władzy wykonawczej – w przeciwieństwie do premiera i Rady Ministrów – ale to bardzo ważne stanowisko i wiele taka osoba może złego lub dobrego zrobić dla skuteczności rządu. Przekonał się o tym podczas ostatniej kohabitacji, czyli współdziałania prezydenta i rządu z przeciwnych obozów politycznych. Nie był to okres udany, bo prezydent skutecznie blokował wiele jego inicjatyw, ten zaś zbyt często odpłacał mu się publicznym lekceważeniem.

Według konstytucji głównym obszarem działania prezydenta jest polityka zagraniczna i obronna oraz reprezentowanie państwa. I choć to nie on, lecz rząd ma tu zdanie decy-



23 maja, Warszawa, plac Teatralny, lecz pocałunek jak najbardziej spontaniczny

dujące – jak boleśnie dla Lecha Kaczyńskiego orzekł Trybunał Konstytucyjny – właśnie te dziedziny należy przede wszystkim brać pod uwagę, oceniając kandydata na prezydenta i jego program.

Niestety, nie tylko. Dzięki instrumentowi weta i przy słabej rządzącej większości w parlamencie, czyli poniżej 60 procent, prezydent może odgrywać istotną rolę praktycznie w każdej dziedzinie. Patrząc więc należy na charakter kandydata, jego skłonność do politycznych kompromisów lub jej brak oraz na te propozycje, które w przyszłości mogłyby spowodować wojnę z parlamentem. Zwłaszcza że konstytucja daje prezydentowi pewne uprawnienia kontrolne, na przykład pozwalając mu na skrócenie kadencji parlamentu przy nieterminowym uchwaleń budżetu, a terminy tego uchwaleń nie są zdefiniowane jednoznacznie.

Te cztery czynniki są więc decydujące dla oceny kandydata na prezydenta. Wizja polityki zagranicznej i polityki obronnej. Charakter człowieka. Potencjalne konflikty, które zapowiada, choćby w zawołany sposób.

Czytanie samego programu i słuchanie hasła to jednak za mało. Jeśli to możliwe, trzeba przede wszystkim sprawdzić rzeczywiste wcześniejsze dokonania kandydata i jego obozu w tych obszarach. Zwłaszcza jeśli miał okazję na szczeblu państwowym wprowadzać w życie swoje wcześniejsze hasła. W przeciwnym razie do poprzednich wyborów prezydenckich tym razem w odniesieniu do dwóch głównych kandydatów taka weryfikacja jest możliwa.

„Odmieniony” ten sam Kaczyński

Wyciszony po katastrofie smoleńskiej Jarosław Kaczyński to wywołująca powszechne współczucie osobista tragedia. Wyciszony kandydat na prezydenta Jarosław Kaczyński to już manipulacja i gra na ludzkich uczuciach.

Chaos powiększają media. Prezes PiS na ogół nic nie mówi, więc jeśli tylko coś skąpie mu z ust, dziennikarze przez cały dzień rozkładają na czynniki pierwsze kilka jego słów, poszukując na siłę ukrytych znaczeń i sensu. Tak upowszechnia się mit o wielkiej

odmianie Kaczyńskiego, i to wbrew niemu samemu. On sam przecież wyraźnie i szczerze mówi, że się nie zmienił: „Jestem taki, jaki byłem. (...) Każdy mógł zobaczyć, że moja rodzina po 10 kwietnia zaczęła być przedstawiana w mediach bardziej obiektywnie” („Rzeczpospolita”, 17 maja 2010). Więc to myśmy wszyscy się zmienili, nie prezes. Czemu nikt nie chce mu wierzyć?

„Odmiana” to tylko chwyt marketingowy, a Kaczyński zbyt głośno i zbyt często tego nie próbuje. Jego otoczenie zaś szerzy mit na całego w nadziei, że „ciemny lud to kupi”, jak mawiał Jacek Kurski. Ogólnikowość stwierdzeń, ucieczka od konkretnych i starej agresywnej retoryki mają niby być zanegowaniem IV RP. Czyżby?

„Polska jest najważniejsza”. „Polacy mają prawo do marzeń”. Równie pojemny, słuszny i jednoczący zarazem byłby teraz postulat, iż „woda” powinna być pitna, nie mówiąc już, że „po obiedzie należy nam się sja”. Lipa programowej odmiany skierowana jest na zewnątrz, bo przecież nie do elektoratu PiS. Ten otrzymuje wyraźne, choć jednak subtelne jak na Kaczyńskiego sygnały, że nie się nie zmienia.

Prezes PiS wyjaśnia, że tylko ze względów taktycznych pojęcie IV RP trzeba dziś odrzucić, bo straszy się nim „już nawet dzieci”. I na jednym oddechu dodaje: „Ale jeżeli pytają mnie państwo, czy w Polsce trzeba coś zmienić, to odpowiadam – tak”. Bo „każdy z nas chce uczciwego państwa stawiającego na pierwszym miejscu dobro jego obywateli, Polski, z której będziemy dumni”. Gdzie tu jest wyrzeczenie się starej idei, jak chcieliby nam wmówić dziennikarze tytułem „Zostawmy IV RP”? Propagandziści PiS zacierają tylko ręce, widząc to nowe opakowanie starego kodu.

Kaczyński broni dziś starych wojen PiS, na przykład na polu służby zdrowia, i zapowiada hamowanie tych reform w imię obrońców biednych. Groźnie brzmią jego słowa na temat polityki zagranicznej. Nie chcąc komentować wypowiedzi swoich zwolenników typu „Tusk ma krew na rękach” (a szkoda), nie ma problemu z natychmiastowym dodaniem: „Ale nie mam też najmniejszych wątpliwości, że katastrofa smoleńska powinna być wyjaśniona, i to w Polsce”.

Ta wypowiedź oraz nieustanne obecnie dezawuowanie przez PiS na forum Sejmu śledztwa w Rosji (które kontrolują przecież polscy przedstawiciele) przypominają starą „godnościową” politykę zagraniczną realizowaną przez Annę Fotygę i Lecha Kaczyńskiego. Godnościową, czyli konfliktową.

O polityce obronnej warto tylko tyle pamiętać, że wszyscy polscy politycy stawiają dziś na NATO. Ale nie wszyscy na tym forum szantażowali zachodnich partnerów straszakiem rosyjskim tak jak zmarły tragicznie prezydent domagający się działań na rzecz Gruzji, która przecież pierwsza za-

atakowała Rosję. A Jarosław uczciwie deklaruje, że chce realizować tylko testament najukochańszego brata.

Monopol, czyli równowaga

Mitowi odmiany Kaczyńskiego towarzyszy mit monopolu jednej partii, który według prezesa PiS miałby nam zagrażać ze strony PO, gdyby jej kandydat został prezydentem. Jakoś nikomu to w PiS nie przeszkadzało, gdy monopol ten mieli trzy lata temu bracia Kaczyńscy. Przeciwnie, według pravicowych publicystów był to jedyny okres po 1989 roku względnej równowagi politycznej.

Zdaniem Jarosława Kaczyńskiego to właśnie wtedy, „kiedy prezydentem był mój świętej pamięci brat, a ja premierem”, Polska była krainą mlekiem i miodem płynącą („rekordy, jeśli chodzi o napływ inwestycji zagranicznych”, „deficyt budżetowy szybko spadał”, „grubo ponad milion nowych miejsc pracy”, „obniżyliśmy podatki”, „płace szybko rosły”) i trzeba szybko do tego wracać. Przecież zaniechaniem reform finansów publicznych w tym okresie koniunktury, czego fatalne skutki odczuwamy do dziś, PiS się nie będzie chwalić. Odmawianie jednak Platformie podobnej szansy, której nie wykorzystali bracia Kaczyńscy, i nazywanie monopolu PO tego samego, co w wykonaniu PiS było tylko względną równowagą, jest po prostu nieuczciwe.

Nieodmieniony Komorowski

Program Komorowskiego to z kolei wszystkie plusy i minusy PO z ostatniego dwupółrocznego okresu jej rządzenia. Z jednej strony nicnierobienie, czyli brak inicjatywy na wielu polach, i obciążanie za to odpowiedzialnością Lecha Kaczyńskiego (bo i tak wszystko zawetuje). To także niezdolność do kompromisów z lewicą, jak przy ustawie medialnej czy wcześniej przy pakiecie zdrowotnym. I pewna arogancja, że wystarczy być tylko anty-PiS, a słupki popularności same urosną. Złośliwi mówią,

Hasło „Polska jest najważniejsza” jest równie pojemne jak postulat „woda powinna być pitna”

że ostatnie „wzmożenie moralne” na rzecz PiS dobrze zrobiło Platformie, która już zaczynała gnuśnieć.

Nie można jednak nie zauważać dużych osiągnięć. To przede wszystkim uspokojenie w polityce wewnętrznej i zewnętrznej po okresie burzy i naporu na wszelkich frontach rządu PiS. Poprawa wizerunku kraju na świecie i przywrócenie Polsce opinii partnera obliczalnego. Widoczne wzmocnienie naszej pozycji w UE, demonstracyjne ożywienie relacji z Niemcami, rozpoczęcie procesu poprawy stosunków z Rosją jeszcze przed katastrofą z 10 kwietnia. Trudne i skromne na razie, ale wykonane początki reformy finansów publicz-

nych poprzez likwidację części emerytalnych przywilejów – choć, niestety, wstrzymane.

Do tego można dodać ocenę charakteru Komorowskiego, który jest człowiekiem raczej bezkonfliktowym i kompromisowym (bardziej niż Tusk) – może z tego powodu nawet i nieco mdłym. To szkodzi pewnie jego PR-owi, zwłaszcza w oczach dziennikarzy, tyle że właśnie tych cech pozazdrościł mu Jarosław Kaczyński.

Idź na wybory

Dobrym chwytem marketingowym (w kategoriach politycznych, a nie osobistych) był powrót „odmienionego” posła Janusza Palikota, dyżurnego błazna PO. Przekaz był prosty: jeśli on (Kaczyński) mógł się odmienić, to i ja (Palikot) mogę; jeśli ja się nie odmieniłem, to dlaczego on miałby się odmienić? To wszystko, na co może sobie dziś pozwolić Platforma, by wykpić manipulację PiS. Poza tym musi udawać, że cieszy ją „odmiana” Kaczyńskiego.

Celem Jarosława Kaczyńskiego nie jest prezydentura (choć oczywiście nie zmartwiłoby go zwycięstwo w wyborach), lecz zmobilizowanie swojego elektoratu i natychmiastowe zagospodarowanie „wzmożenia moralnego”. Bitwa się toczy przede wszystkim o przejście prezesa PiS z dobrym wynikiem do drugiej tury. Platforma, choć jej kandydat ma jakąś szansę, przezwornie nie chce ogłosić, że jej celem jest zwycięstwo w pierwszej turze. Słusznie, bo skromność i nieokazywanie lekceważenia przeciwnika są w polityce ważne, a w tej kampanii szczególnie. Z powodu tragicznych zdarzeń obserwujemy teraz pozorne samoograniczenie się w formułowaniu celów i niezwykle skromność ekspresji, co błędnie jest odczytywane jako samoograniczenie programowe.

Powódz pokazała, jak łatwo obóz rządzący w każdej chwili może się wywrócić. Żywił chwilowo opanowany wzmacnia Komorowskiego. Ale spać spokojnie nie może.

Z drugiej strony niebezpieczeństwo czyha ze strony prezesa PiS. Wystarczy, że da hasło swoim harcomnikom do wojny domowej, sam nadal pozostając „odmienionym”. Tej groźby nie wolno lekceważyć, bo przy dotychczasowej taktyce Kaczyńskiego wzrost słupków popularności jednak się zatrzyma.

Nie ma dziś zalewu broszur programowych, choć pod kościołami są rozdawane zdjęcia prezydenckiej pary. Nie ma jeszcze spotów ani billboardów typu „mordo moja” czy „łodówka”, ale niedługo to pewnie się zacznie. To wcale jednak nie oznacza, że nie mamy materiału do wyciągnięcia wniosków programowych na temat głównych kandydatów. Przeciwnie, jest ich aż za wiele. I może dobrze, że nie giną w powodzi propagandy, która z natury swej ma tylko „odmienić” naszą zgromadzoną już wiedzę o kandydatach. W tych wyborach bardzo wiele zależy od tego, czy Polacy znów się zmobilizują i znów uwierzą, że od ich udziału bardzo wiele zależy, czy też dadzą się uspić pozornym odmianom. □



Wrocławskie osiedle Kozanów zniszczyła powódź w 1997 roku. Mimo to **pozwolono je rozbudować.** Odra znów je zalala

PO POWODZI AGNIESZKA FIEDOROWICZ, RENATA KIM

Niedobrze, bobrze

Politycy i samorządowcy jako jednego z winnych powodzi wskazują program „Natura 2000” i broniących go ekologów. W ten sprytny sposób chcą ukryć lata własnych zaniedbań w ochronie przeciwpowodziowej

Kulminacyjna fala powodziowa przechodzi przez Warszawę. Część wałów przesiąka. W „Kropce nad i” (TVN 24) prezydent Warszawy Hanna Gronkiewicz-Waltz wskazuje winnego: są nim ekolodzy i „Natura 2000”. Prezydent przekonuje, że ma w budżecie zagwarantowane ponad 10 milionów złotych na remonty wałów, ale nie może tych pieniędzy przekazać marszałkowi województwa, ponieważ prace blokuje właśnie ekolodzy. Dodaje, że „procedury są bardzo trudne”, a obszary wokół wałów są objęte programem „Natura 2000”.

Przypomnijmy: celem „Natury 2000” jest zachowanie określonych typów siedlisk przyrodniczych oraz gatunków uważanych za cenne i zagrożone w skali Europy. Polska zobowiązała się do wyznaczenia na swoim terytorium takich miejsc jeszcze przed wstąpieniem do UE. Dziś program obejmuje 11 procent kraju.

Ciężkie działa przeciw „Naturze 2000” wytacza też Michał Borowski, były naczelny architekt Warszawy mówiący „Przekrojowi”: – Nie

ma chyba drugiego kraju w Europie, w którym za rezerwat przyrody została uznana tak ogromna część terytorium. Do programu należy przecież cała dolina Wisły. Nie da się wykarzczać znacznej części drzew rosnących na jej brzegach, które zawężają bieg rzeki, bo cały obszar jest pod ochroną. Dbłość o środowisko nie może być zagrożeniem dla ludzi.

Natura, masoni i cykliści

– Te zarzuty są absurdalne. „Natura 2000” nie blokuje budowy zabezpieczeń przeciwpowodziowych – ripostuje hydrolog Piotr Nieznański, kierownik działu ochrony przyrody w WWF Polska (jedna z największych organizacji działających na rzecz ochrony środowiska) i członek Krajowej Rady Gospodarki Wodnej. Jego opinii potwierdza Małgorzata Makomaska-Juchiewicz z Centrum Natura 2000 Instytutu Ochrony Przyrody Polskiej Akademii Nauk: – W tym programie zapisano zasadę, że bezpieczeństwo człowieka ma zawsze pierwszeństwo przed wymogami ochrony przyrody. Mo-

wa o tym jest też między innymi w artykule 43. ustawy o ochronie środowiska. Na przykład dolina Noteci, choć jest w programie, podlega działaniom ochrony przeciwpowodziowej. – Skąd więc biorą się nagłaśniane problemy z „Naturą 2000”? – pytamy hydrologa z WWF. – Z lenistwa – odpowiada Nieznański. – Prawo w klarowny sposób reguluje procedurę uzyskiwania pozwoleń na inwestycje w obszarach „Natury 2000”. Wymagane jest między innymi przedstawienie raportu oddziaływania projektu na środowisko, który wskazuje możliwe konsekwencje i sposoby ich minimalizacji. Problemem w tym, że samorządy idą na skróty. Przedstawiają projekt, najprostszyszy, często też najtańszy, ale najbardziej szkodliwy, i nie chcą go modyfikować. Zamiast wymóc na projektantach zastosowanie zaleceń, tylko przeciągają sprawę lub chowają projekt do szuflady i winą za brak pozwolenia obarczają ekologów. – Co to znaczy: najbardziej szkodliwy? – Pokażę to na przykładzie. W przypadku ochrony przeciwpowodziowej pojawiają się

projekty wyprostowania, pogłębienia i obudowania brzegów rzeki. Taka regulacja jest katastrofalna zarówno dla przyrody, jak i dla ochrony przed powodzią.

– Nie ratuje ludzi?

– Regulacja rzek nie poprawia bezpieczeństwa. Woda, zamiast wytracać siłę w meandrach, pędzi prostą wodną autostradą. Zwiększa to zagrożenie niższych terenów. Takie działanie przesuwają tylko problem na sąsiednią gminę.

– Sugeruje pan, że powinniśmy rozbudować wszystkie wały, a rzeka niech sobie płynie i zalewa jak za króla Cwieczka?

– Wały powinny znajdować się tam, gdzie to konieczne – na terenach zabudowanych; tam, gdzie chronią życie i dobytek ludzi. Tymczasem w Małopolsce wyregulowano na przykład rzeczkę Stradomkę w miejscu, gdzie nie ma ani domów, ani dróg. Uregulowano kilometry rzek płynących przez lasy czy nieużytki. Tymczasem podstawowa zasada nowoczesnej ochrony przeciwpowodziowej mówi: tyle wody, ile się da, należy zatrzymywać w środowisku i spowalniać, a nie przyspieszać jej spływ. Powtarzam: wypychanie wody od siebie kończy się tym, że wylewa na gminę sąsiadów. To jest OK? Organizacje działające na rzecz ochrony przyrody sprzeciwiają się takiej filozofii. Kraje rozwinięte odeszły już od tych rozwiązań – zamiast podwyższać wały, odsuwa się je od rzeki.

Uczmy się od Niemców i Czechów

– Faktycznie, mamy najniższy w Europie wskaźnik retencjonowania wody. U nas w zbiornikach zatrzymywanych jest kilka procent wody, podczas gdy w innych krajach europejskich kilkanaście – potwierdza profesor Alfred Kaniecki z Instytutu Geografii Fizycznej UAM w Poznaniu.

Zatrzymują wodę (z powodzeniem) na przykład nasi sąsiedzi – Czesi czy Niemcy. Zwłaszcza ci ostatni wyciągnęli lekcję z powodzi stulecia w 1997 roku. Najbardziej we znaki dał się wtedy Ren, który po wyprostowaniu koryta w XIX wieku stał się bardzo niebezpieczny. Skróconą w górnym odcinku o 70 kilometrów rzeką woda płynęła trzy razy szybciej niż

dawniej. Naturalne tereny zalewowe zmniejszyły się prawie ośmiokrotnie. Gdy kolejne powodzie w latach 90. zniszczyły Bonn, Kolonię i Kobleniec, Niemcy radykalnie zmienili program ochronny. Jeden z pięciu punktów nowego, wdrażanego od 2002 roku systemu mówi o „odzyskiwaniu naturalnej retencji”. W praktyce oznacza to ograniczanie zabudowy na terenach zalewowych, odsuwanie wałów w głąb ładu i przekształcanie tych terenów w poldery. – To słuszny kierunek. Powodzie były, są i będą. Dlatego przede wszystkim nie wolno pchać się z zabudową na tereny zalewowe – potwierdza profesor Kaniecki.

Ale w Polsce wciąż – zamiast odsuwać ludzi od rzeki – pozwala im się podchodzić do niej coraz bliżej, także na tereny bezpośredniego zagrożenia powodzią. Wrocławskie osiedle Kozanów jest tu szczególnym przypadkiem – teren leży w dawnym polderze zalewowym, został tragicznie doświadczony w 1997 roku, tymczasem władze wydały zgodę na budowę kolejnych budynków.

– Obecna powódź pokazuje, że od 1997 roku nie zrobiono nic, by uporządkować chaos prawny w kwestii budownictwa na terenach zalewowych – uważa profesor Hubert Izdebski, ekspert prawa administracyjnego.

Pozwolenia na budowę są wydawane, ponieważ trudno jest tego zabronić. – Mamy częściowo opracowane mapy ryzyka powodziowego, ale nie są wiążące dla gmin. Lokalni dyrektorzy zarządów gospodarki wodnej mogą na ich podstawie tylko opiniować, a nie zakazywać budowy w strefach zagrożenia – tłumaczy Nieznański.

– Oznaczenia takich terenów powinny też znaleźć się w miejscowych planach zagospodarowania, których gminy nie robią, tłumacząc się brakiem pieniędzy. Gdyby takie plany powstawały, musiałyby zakazywać części budów, a to automatycznie obniżyłoby atrakcyjność działek w oczach inwestorów. I gminy, i właściciele działek na tym by stracili. Kto więc się na to odważy? – pyta profesor Izdebski.

Jednak za tegoroczną falą powodziową popłynęła też wreszcie fala propozycji zmian.



Woda w uregulowanej rzece pędzi jak autostrada. Wały gdzieś w końcu puszcza, a żywioł atakuje ze stukrotnie większą siłą

Zmianę ustawy o gospodarce przestrzennej, by uniemożliwić budowanie domów na terenach zalewowych, zapowiedział marszałek Sejmu Bronisław Komorowski. Podobny projekt szykuje PiS.

Trzy w jednym i bonus

24 maja: z wodą walczy województwo łódzkie. – To przez bobry. Zaimportowano je w ramach programu „Natura 2000”. Wały są w tragicznym stanie, bo bobry robią w nich dziury – dowodzi na łamach lokalnej prasy jeden z powodzian, a strażacy i samorządowcy potwierdzają. – Politycy znów idą na skróty, bo jedyną metodą rozwiązania problemu jest ich zdaniem odstrzał – uważa Piotr Nieznański. – Tymczasem okazuje się, że to nie bobry, ale decyzje dotyczące konserwacji i budowy wałów podejmowane przez ludzi wpływają na pojawienie się zagrożenia lub jego brak – ocenia.

Doktor Andrzej Czech z Instytutu Ochrony Przyrody PAN pisze bowiem w „Poradniku minimalizowania szkód wyrządzanych przez bobry”: „Grobłe i nasypy można zabezpieczyć za pomocą siatek i murków. Wały przeciwpowodziowe można o kilkanaście metrów odsunąć od starorzeczy lub na granicy z nimi zbudować dodatkową koronę umożliwiającą kopanie nor, a trwale odgradzoną od wału właściwego. Takie rozwiązania są standardowo stosowane we wszystkich budowach w Kanadzie i większości stanów USA”. Niestety, ta technologia podnosi koszt budowy wału, a u nas dominuje przecież myślenie, by budować jak najtaniej, a nie na jak najdłużej.

Piotr Nieznański uważa jednak, że władze samorządowe nie narzekają na „Naturę 2000” ze złej woli, lecz z niewiedzy: – Im często nikt nie pokazuje alternatywy. Korzystają z rozwiązań najprostszyszych, bo nie wiedzą, że nowe technologie są dostępne, mniej szkodliwe.

Władze powiatu wołowskiego (dolina Odry) z początku także były sceptyczne. Gdy ekolodzy z WWF pięć lat temu zaproponowali im uczestnictwo w pilotażowym projekcie odnowy terenów zalewowych na obszarze „Natury 2000” Łęgi Odrzańskie, najpierw pukali się w czoło. – Przekonali się, dopiero gdy zobaczyli takie przykłady nad Renem i Łabą. Pojechalibyśmy tam, gdzie gminy niemieckie już realizują podobne pomysły. Obejrzeliby, zapaliliby się i ruszyło – wspomina Nieznański.

W projekt udało się zaangażować Dolnośląski Zarząd Melioracji i Urządzeń Wodnych oraz Zarząd Gospodarki Wodnej we Wrocławiu. W miejscowym planie zagospodarowania gmina zarezerwowała teren pod odsunięcie wału od rzeki na odcinku siedmiu kilometrów. Przywróci to Odrze naturalną przestrzeń zalewową. Nowe obwałowanie będzie lepiej chronić mieszkańców, a na odzyskanych 600 hektarach wyrósłby unikalny las łęgowy, który przyjmie nadmiar wody. – Gmina ma trzy w jednym: ochronę powodziową, ochronę środowiska i atrakcję turystyczną, jaką jest łęgowy las. I jeszcze bonus – poldery ochronią także jej sąsiadów. □

Euro i 16 maszynistów

Unia niepotrzebnie ratuje Grecję. Ona i tak ogłosi bankructwo, a eurozona bez koniecznej reformy po prostu się rozpadnie

BLISKO DNA ŁUKASZ WÓJCİK



Po raz pierwszy obietnica stworzenia wspólnej waluty pojawiła się w 1992 roku, gdy Europejczycy podpisali w Maastricht Traktat o Unii Europejskiej. Dziś złośliwcy twierdzą, że bardziej pasowałoby inne holenderskie miasto – Arnheim. Tam w czasie II wojny światowej nadmiar ambicji przyniósł aliantom sromotną klęskę. O tamtej bitwie nakręcono film „O jeden most za daleko”. Na naszych oczach powstaje sequel – „O jedną obietnicę za daleko”.

Tydzień temu „Washington Post” tak podsumował problemy z euro: „Jedyne na dziś pytanie brzmi – czy już mamy wpadać w panikę, czy jeszcze za chwilę?”. Mimo zatwierdzonego 10 maja unijnego pakietu stabilizującego w wysokości 750 miliardów euro europejska waluta pikuje. Kolejna bariera pękła 25 maja, gdy za jedno euro trzeba było zapłacić 1,22 dolara. Jeszcze dwa lata temu było to 1,60 dolara.

Cud na torach

Euro spada, bo coraz mniej ludzi ufa, że nie rozleci się unia monetarna zawarta między 16 członkami UE. A strefa euro w obecnym kształcie rozleci się na pewno. Jest jak rozjeżdżony pociąg złożony z samych lokomotyw. Ich maszyniści (rządy narodowe) nie są w stanie na dłuższą metę utrzymać tej samej prędkości (wzrost PKB, deficyt budżetowy, inflacja). Albo któraś lokomotywa oderwie się od składu (Grecja? Portugalia?), albo wykolei się cały pociąg.

Jedynym ratunkiem byłby wybór naczelnego maszynisty, który sam ustalałby prędkość składu. Na świecie nie istnieje wspólny obszar walutowy bez centralnego zarządzania. Ponadnarodowa waluta wymaga nie tylko ponadnarodowego banku centralnego, ale też ponadnarodowego rządu. Dlatego to prawdziwy cud, że strefa euro przetrwała bez naczelnego maszynisty aż 11 lat.

Według unijnej mitologii wspólna waluta była naturalnym następstwem dążenia ogółu Europejczyków do budowy europejskiego superpaństwa. Według relacji ze szczytu w Maastricht obietnica stworzenia euro była następstwem dążenia wcale nie wszystkich, ale tylko dwóch Europejczyków – François Mitterranda i Helmuta Kohla – do zagwarantowania interesów swoich państw.

Umowa była jasna: w zamian za zgodę Francji na zjednoczenie Niemiec Berlin zrezygnuje ze swego największego powojennego osiągnięcia, czyli stabilnej marki, i przystąpi do europejskiej unii walutowej. Mitterrand bowiem obawiał się, że gospodarcza potęga zjednoczonych Niemiec wywinduje markę do rangi „europejskiego dolara”. Kohl przystał na francuską propozycję, pod warunkiem że zmieni się tylko sztyld – zamiast marki będzie euro, ale dyscyplina finansowa, która była źródłem niemieckiej stabilności, pozostanie taka sama. W 1999 roku mimo katastrofalnych prognoz euro wystartowało z impetem. Dwa lata później do 11 członków unii walutowej dołączyła Grecja. Dziś – po dekadzie dobrobytu – w eurozonie jest 16 państw.

Od samego początku w eurogrze nie chodzi przede wszystkim o ułatwienia dla turystów i biznesmenów, którzy podróżując po Unii, nie muszą już wymieniać waluty. Nie chodzi nawet o symboliczne znaczenie euro dla globalnych aspiracji UE. Chodzi o pożyczki. Racjonalnie rzecz biorąc, lepiej reformować państwo, niż się zapożyczać. Mimo to niemal każdy rząd, mając w perspektywie wybory i dostęp do taniego kredytu, zapożyczy się, żeby tylko posłodzić wyborcom, a nie drażnić ich reformami. A po wyborach niech się wszystko wali.

Piekła nie ma

Państwa zapożyczą się, sprzedając obligacje nominowane w swoich walutach – kupujący dostaje dokument, że państwo w określonym terminie odda zapłaconą sumę i jeszcze dorzuci bonus. Ten bonus w formie oprocentowania jest tym większy, im większe jest zagrożenie, że państwo nie będzie w stanie spłacić pożyczki, bo na przykład zbankrutuje. Im zdrowsza gospodarka, tym większe zainteresowanie obligacjami państwa i tym niższe oprocentowanie jego obligacji, bo chętni na nie i tak się znajdują.

Dlatego przed przystąpieniem do euro Grecja nie mogła sobie pozwolić na kredyty. Biorąc pod uwagę, że państwo to przez większość ze 170 lat niepodległości było niewypłacalne, pożyczkodawcy mieli ograniczone zaufanie do drachmy i nie byli skłonni kupować greckich obligacji bez odpowiednio wysokiego bonusu, na co z kolei nie było stać rządu w Atenach.

Wszystko zmieniło się wraz z wprowadzeniem euro. Zmyleni iluzją jednej europejskiej gospodarki pożyczkodawcy rzucili się na europejskie obligacje, które mógł sprzedawać każdy członek strefy euro. Kredyt w euro kosztował tyle samo zarówno dla stabilnych i silnych Niemiec, jak i dla słabej Grecji. Hulaj dusza, piekła nie ma – uznały Ateny. W ciągu ostatnich dziewięciu lat poziom greckiego zadłużenia względem PKB wzrósł z 6 do 115 procent.

Gdy w październiku 2009 roku nowy premier Jorgos Papandreu ujawnił prawdziwy stan greckiego zadłużenia i gigantyczny deficyt budżetowy, pożyczkodawcy zorientowali się, że tak naprawdę wciąż nie ma jednolitej i stabilnej strefy euro. Wciąż z jednej strony są zadłużone już po uszy Grecja i Portugalia, a z drugiej sta-

bilne i wypłacalne Niemcy. Mimo że i greckie, i niemieckie obligacje są nominowane w euro, ceny kredytu dla Aten wystrzeliły w górę, a Grecy stanęli przed wizją bankructwa.

Jedź, pij i popuszczaj pasa – taki model realizowała przez ostatnią dekadę cała tak zwana grupa PIIGS (Portugalia, Irlandia, Włochy, Grecja i Hiszpania). Grecja jest w najgorszym stanie i gdyby nie ratunkowa pożyczka z Brukseli i Międzynarodowego Funduszu Walutowego, prawdopodobnie musiałaby zbankrutować. Ale w kolejce po pomoc czeka już Hiszpania.

Ojcowie założyciele euro obawiali się takiej sytuacji i dlatego każdy kraj przystępujący do unii monetarnej musiał uznać trzy nienaruszalne zasady dyscypliny finansowej żywcem wzięte z niemieckiego modelu. Po pierwsze, każdy członek ma przestrzegać paktu stabilności i rozwoju trzymającego w ryzach krajowe budżety. Po drugie, żaden kraj nigdy nie przejmie długów innego, czyli zakaz tak zwanych bailoutów. I po trzecie, Europejski Bank Centralny (EBC), który dba o niski poziom inflacji, musi zachować bezwzględna niezależność.

Problem w tym, że nie przewidziano żadnych sankcji za złamanie tych zasad. W efekcie dziś wszyscy je łamią. Dwóch kryteriów paktu stabilności i rozwoju (deficyt budżetowy nie większy niż 3 procent PKB i dług publiczny nie większy niż 60 procent PKB) nie przestrzega żadne państwo strefy euro. Przejmowanie długów innych państw właśnie ma miejsce w postaci unijnych „pożyczek ratunkowych”.

Niezależność EBC też stała się bardzo wątpliwa. 10 maja, gdy europejscy liderzy zdecydowali się na 750-miliardowy pakiet stabilizacyjny, EBC zaczął skupować greckie i portugalskie obligacje, żeby nieco podnieść ich wartość. EBC zrobił coś, czego oczekiwali politycy, ale postąpił zupełnie wbrew swoim statutowym

celom – zamiast dusić inflację, zwiększył ją, wpompowując w rynek miliony euro.

Francuska solidarność

Kilka państw strefy euro pod przewodnictwem Francji uznało po prostu, że cel (ratowanie euro) uświęca środki (łamanie prawa) albo – jak to ujął sam Nicolas Sarkozy – „Solidarność ponad wszystko”. Choć ta francuska solidarność jest specyficznie rozumiana. Bo nowe ratunkowe pożyczki dla takich państw jak Grecja to jak dolewanie wódki pijakowi. Na jakiś czas go uspokoi, ale w końcu znowu zacnie rozrabiać.

Tym bardziej niepokojąca jest pewna niekonsekwencja logiczna. Wszyscy w Unii zgadzają się, że problemy Grecji to efekt dekady życia na kredyt, co doprowadziło do chronicznego

Nowe ratunkowe pożyczki dla zadłużonych po uszy krajów to jak dolewanie wódki pijakowi

braku konkurencyjności greckich firm. Ale receptą na problem długów w strefie euro ma być jeszcze więcej długu, bo do tego sprowadza się 750-miliardowy pakiet stabilizacyjny. Stabilne kraje eurolandu, które dołożą do tej sumy 440 miliardów euro, nie wyciągną tych pieniędzy z kieszeni, tylko je pożyczą.

Wszelkie wątpliwości co do takiego rozwiązania ucina jednak znany brukselski argument, że gdyby nie pomoc dla Grecji, a w przyszłości być może dla innych państw, mielibyśmy w Unii armagedon. Być może. Ale na razie wszyscy zaciągamy kilkaset miliardów euro pożyczki, która zamiast rozwiązać problem, tylko odsuwa go na bok. Znowu doskonale widać to na przykładzie

dzie Grecji. Ratunkowe 140 miliardów euro dla Aten jest obwarowane kilkoma zastrzeżeniami. Grecy muszą do 2014 roku zredukować deficyt z ponad 13 do 3 procent PKB. A to oznacza drastyczne cięcia budżetowe, podniesienie wieku emerytalnego i zmniejszenie emerytur, a przede wszystkim zwiększenie podatków.

Wyższe podatki to jeszcze mniejsza konkurencyjność greckich firm, a to z kolei oznacza niższy rozwój gospodarczy, niższe wpływy z podatków i konieczność kolejnych cięć wydatków, aby zdusić deficyt budżetowy. Przy obecnych nastrojach na greckich ulicach analitycy nie dają rządowi Papandreu więcej niż sześć miesięcy. Następniemu premierowi nie pozostanie już nic innego jak tylko ogłosić częściową „restrukturyzację” swoich długów, czyli częściowe bankructwo. A wtedy – z zgodzie z brukselskim argumentem – nastąpi armagedon, tyle że o 140 miliardów euro droższy.

Dla niektórych państw grupy PIIGS taka perspektywa jest już bardzo prawdopodobna. Resztę może jeszcze uratować pewna stara mądrość: „Dobry zwyczaj, nie pożyczaj”. Niemcy już tak zrobili. Poprawka uchwalona we wrześniu zmusza rząd federalny do obniżenia deficytu budżetowego do poziomu 0,35 procent PKB do 2016 roku. Nad podobnym rozwiązaniem zastanawiają się też Francuzi.

A euro? Tak jak integracja europejska – nie jest celem samym w sobie. Nie wystarczy postraszyć odrozdzeniem się niemieckiego ekspansjonizmu. Euro musi się opłacać. A jeśli już dla ratowania go musimy ratować eurobankrutów, zadłużając się przy tym na pokolenia, to biorąc pod uwagę bieżące trendy demograficzne, może warto się od razu zastanowić nad poprawką do konstytucji – „każdy obywatel jest zobowiązany mieć co najmniej trójkę dzieci”. Przynajmniej będzie miał kto oddać nasze długi. □

REKLAMA

ubezpieczenia

Jak mogę zadbać o bezpieczeństwo moich bliskich?

w AXA pomożemy Ci zaplanować stabilną przyszłość finansową

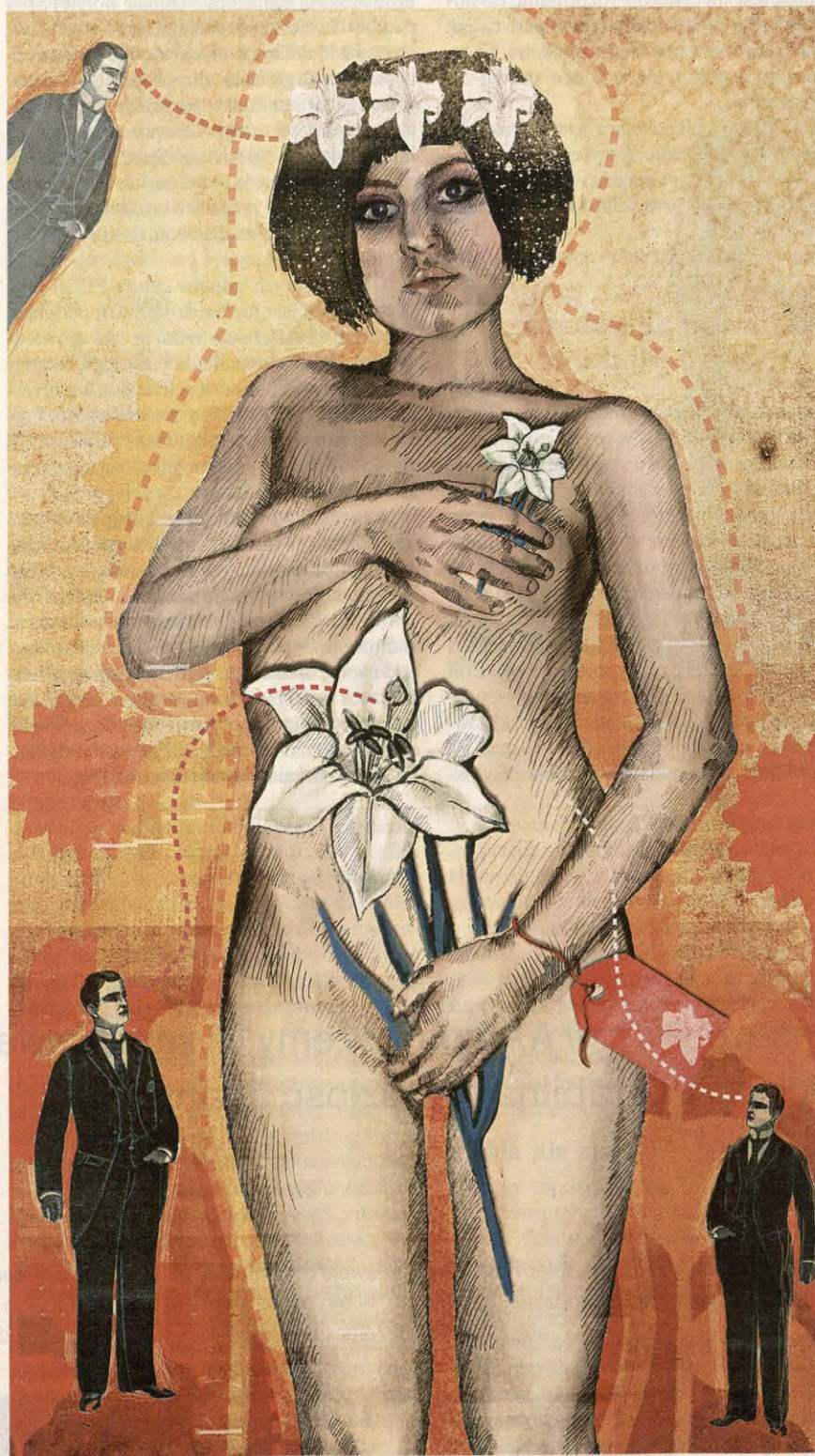
Podczas spotkania z Przedstawicielem AXA określisz swoje oczekiwania i potrzeby, a następnie dobierzesz odpowiednie rodzaje ubezpieczeń. W ten sposób będziesz mógł zadbać o to, aby zapewnić bezpieczną przyszłość sobie i swoim bliskim.

0801 200 200
axa.pl

więcej / niż standard



CNOTA Z DRUGIEJ RĘKI



ŁATWA W UŻYCIU, TESTOWANA KLINICZNIE, NIE DAJE SKUTKÓW UBOCZNYCH – TO BŁONA DZIEWICZA, KTÓRĄ MOŻNA KUPIĆ W INTERNECIE. NA RYNKU SĄ TEŻ OCZYWIŚCIE CAŁE DZIEWICE. O SKUTKACH UBOCZNYCH NABYCIA DZIEWICY WIADOMO TYŁE, ŻE SĄ. I SŁONO KOSZTUJĄ

Szatynka średniego wzrostu, puszysta. Jej ogłoszenie o sprzedaży cnoty wisi w Internecie od jesieni zeszłego roku. Sprawdzam, czy jeszcze aktualne. – Pogadamy? – pytam (jako mężczyzna). Nie wie o mnie nic (poza tym, że piszę krótkie e-maile bez błędów ortograficznych), mimo to natychmiast przysłała mi swoje zdjęcia w majtkach i bez majtek. – Jaki seks wolisz? – dopytuje. Ma na imię Alicja i studiuje medycynę. Tak twierdzi.

Nie targuje się o dziewictwo, nie podbija stawki w nieskończoność, jak to robią niektóre. Mam dać 10 tysięcy złotych i będzie dobrze. Cnotę – jak twierdzi – odda chętnie, bo chce „zasmakować ekscytującej zabawy”. A taka zabawa najlepiej by jej smakowała w czterogwiazdkowym hotelu w centrum Wrocławia (blisko rynek i Ostrów Tumski). Nocleg (w pokoju superior z szerokim łóżkiem typu King) można tu wykupić już za 380 złotych, ale można też za 485 złotych (nie licząc śniadania, a trzeba założyć, że Alicja będzie chciała coś wypić i zjeść tuż przed oraz tuż po, więc lepiej mieć ze sobą kilkaset złotych więcej). Jeżeli kogoś przerażają tak drobne wydatki, niech nie czyta dalej. Bo dalej będzie jeszcze drożej.

Niektóre dziewczyny życzą sobie za cnotę 20, 30, a nawet 50 tysięcy złotych (Aurelia spod Otmuchowa żąda nawet pół miliona, ale to już naprawdę rekord Polski). Do tego dziewice liczą na sfinansowanie atrakcyjnych weekendów nad morzem albo w górach. Po pierwszym spotkaniu chcą kolejnych. Spodziewają się prezentów i stałego zakupu ubrań, biżuterii, opłacania chesnego za studia. Trzeba przyznać, że Alicja nie ma tego typu oczekiwań – nie wchodzi w grę żaden długi weekend nad morzem, tylko Wrocław, najlepiej jedno spotkanie w „wiadomym celu”. Szybko, bo ma dużo zajęć. Nie ceregieli się z cnotą. Może dlatego, że sprzedaje ją hurtowo?

Najgorzej jest zacząć – przekonuje mnie e-mailowo śliczna 20-latka, której ogłoszenie też znalazłam w sieci. Zdjęcie: szczupła, długie włosy z jasnymi pasemkami, oczy duże, karmelowe. Skromnie twierdzi, że nie jest wyjątkowo piękna, ot, Kopciuszek taki. Przed pierwszym spotkaniem w sprawie sprzedaży dziewictwa Kopciuszek denerwował się, nie spał. Nawet nie tyle ze strachu, ile z niepewności, jak się zachować. – Co zrobić, gdy jego ręka zleci na moje kolano? Czy pocałować go na przywitanie? A jeśli pocałować, to jak? – wspomina.

Odrzucam wszystkich chamów

Pierwsza propozycja była kusząca: 20 tysięcy złotych. – Ale podziękowałam, przeprosiłam za zabrany czas i poinformowałam, że ktoś już zaoferował 30 tysięcy – tłumaczy Kopciuszek. Tego samego dnia usłyszała kolejną stawkę – 35 tysięcy. Każdemu kolejnemu mówiła, że otrzymała już ofertę o dwa-trzy tysiące wyższą. Ostatecznie udało się wyłowić panów, którzy proponowali powyżej 40 tysięcy. Z tymi Kopciuszek umawiał się na spotkania. Trochę się najeździł, ale trudno. – Od razu na dworcu wymiana: ja mu bilet, on mi razy dwa kwotę, jaka na nim jest, żeby było na powrót. Zresztą zawsze dostawałam więcej – mówi.

Później rozmowa w kawiarni (niektóre dziewczyny już tylko za to słono sobie liczą, ale Kopciuszek pozwalał płacić za siebie jedynie rachunek). – Wybierałam takich między 30. a 50. rokiem życia, młodszych i starszych mężczyzn skreślałam od razu – opowiada. Bo młody może ściemniać, że ma pieniądze, a ze starszymi panami woli nie mieć do czynienia. I choć pewien 60-latek z hakiem obiecywał Kopciuszkowi 60 tysięcy plus siedem tysięcy stałego sponsoringu (co miesiąc), to nie skorzystała. – Odrzucałam też chamów, którym się

wydawało, że skoro płacą, to wszystko im się należy.

Ostatecznie cnotę Kopciuszek nabył 47-latek, który miał rozmarzone, wręcz cielece spojrzenie i było wiadomo, że będzie się lepił jak plastelina. Od razu dał 50 tysięcy, do tego zdecydował się na trwający od grudnia zeszłego roku stały sponsoring – pięć tysięcy miesięcznie.

Kopciuszek naprawdę świetnie trafił, nie może narzekać. A jednak parę razy bliski był ponownego wystawienia się na sprzedaż. – Może ktoś dałby więcej? – takie myśli przychodziły dziewczynie do głowy, oj, przychodziły. Ach, dać się zaprosić na jakiś weekend, zabawić się nie za swoje i jeszcze dostać pieniądze na bilet do domu i na to, żeby wystarczyło do następnego spotkania.

Zaczyna się od niewysokich kwot. Tu sto złotych na jakiś drobniak, tam kolejne sto. – Później wstawa się kit, że coś strasznego się stało: choroba w rodzinie, pilny wydatek, potrzebna kasa. I kasę się dostaje – tłumaczy Kopciuszek. – Jeśli dziewczyna jest cwana, to nie od razu ściągają majtki. I nie poprzestaje na jednym panu, tylko szuka sobie następnego. Jeden nie wie o drugim, a obaj jedzą jej z ręki. Każdy liczy, że będzie tym pierwszym, najważniejszym w jej życiu. Poznała już trochę ten dziewczęcy rynek i wie, jak się facetów owija wokół palca. Jak się robi, żeby na samą myśl o dziewczynie dostawali małego rozum. Żeby kupowali ciuchy, buty, doładowali telefon. I to jeszcze zanim na dobre się upewnią, czy dostaną coś w zamian. Faceci – jak twierdzi Kopciuszek – potrafią beznamiętnie pożądać dziewczyn. Nawet tych, które dziewczynami nie są.

Można poudawać niewinną, zagubioną, oczekującą wprowadzenia w prawdziwe życie. Wystarczy miła minka, miły głosik. To ponoć rozbraja i kręci mężczyzn.

Skąd ten pęd? – Mężczyźni szukający kontaktu z dziewczynami chcą się dowartościować – wyjaśnia profesor Zbigniew Izdebski, seksuolog. – Pocieszają się, że robią wrażenie, zostają w pamięci. Są święcie przekonani, że pierwszy mężczyzna w życiu kobiety ma niebagatelne znaczenie. Nie zdają sobie sprawy, że mogą wcale nie być tymi pierwszymi.

Zainteresowania: bogaci panowie

W Internecie jest dwa razy więcej ogłoszeń o sprzedaży cnoty niż ogłoszeń o sprzedaży rękawiczek. Kto chce sprawdzić, niech sobie kliknie: w pierwszym przypadku wyskoczy 229 tysięcy wyników, w drugim – marne 105 tysięcy.

Anonse dziewczyn są rzeczowe, czasem wręcz bezosobowe: 19 lat, średni wzrost, wymiary 87/65/90. Chciałaby zasmakować rozkoszy seksu, ale nie odda się za darmo. Albo lepiej: „Mam 18 lat, duży biust i nie chcę być dziewczyną. Tylko poważne oferty!”. Można jeszcze krócej: „Sprzedam cnotę. Jestem z okolic Poznania”. Przedział wiekowy dziewczyn wystawiających się na sprzedaż jest imponujący – od gimnazjum po czterdziestkę.

Te najmłodsze zaczynają tak: „Hej, mam 14 lat. Jestem seksowna”. Starsze też piszą o seksowności, ale pomijają „hej”. Dalej leci niemal zawsze tak samo: Jestem ładna. Jestem otwarta. Jestem biseksualna. Lubię każdy rodzaj seksu (ciekawe, skąd taka dziewczyna to wie? I dlaczego to nie budzi zdziwienia u ewentualnych nabywców dziewictwa? – później będę się nad tym głowić z profesorem seksuologii). Na razie trzymajmy się internetowych ogłoszeń. Dziewczyny piszą, że mają bujne kształty albo bujne zainteresowania. Najczęściej wygląda to tak: „Interesują mnie bogaci panowie”; „Interesują mnie tylko panowie do 28. roku życia”; „Panowie tylko majątni, dyskretni, →

REKLAMA

inwestycje

jak będą wyglądać moje finanse
za 20 lat?

w AXA pomożemy Ci zaplanować
stabilną przyszłość finansową

Podczas spotkania z Przedstawicielem AXA określisz swoje potrzeby i zapoznasz się z ofertą AXA. Następnie będziesz mógł dobrać rozwiązania finansowe, które najlepiej spełnią Twoje oczekiwania.

0801 200 200
axa.pl

więcej / niż standard



→ zadbani, delikatni”. Na ogół od razu pada też deklaracja: „Chętnie zaspokoje twoje potrzeby”; „Jestem niezwykle otwarta na propozycje”; „Jestem gotowa na wiele”. W tej gotowości dziewczę idą naprawdę daleko. Seks analny albo oralny? Proszę bardzo. Wiązanie, kneblowanie, zakładanie kajdanek? Czemu nie? Seks grupowy? Niektóre zapewniają, że o niczym innym bardziej nie marzą.

– Widać w tym desperację, możliwość podbicia ceny. Więcej chcesz, więcej płacisz – mówi profesor Izdebski. Ten handel cnotą go zasmuca. Ale oczywiście nie zaskakuje. Temat wystawiania dziewictwa na sprzedaż nie jest nowy. I – jak sądzą niektórzy – wcale nie przywił go do nas wiatr ze „zgnilego Zachodu”. Choć wielu natychmiast zacznie odkurzać w pamięci niedawne głośnie przypadki ze świata: 20-letnia Raffaella Fico z Neapolu wyceniła swe dziewictwo na milion euro. Graciela z Peru już miała dostać od pewnego Kanadyjczyka półtora miliona dolarów, ale ostatecznie zmieniła zdanie i wycofała się z aukcji. Z kolei 22-letnia Amerykanka pod pseudonimem Natalie Dylan tak długo podbijała cenę, aż w internetowej licytacji padła kwota czterech milionów dolarów.

Ani wcześniej, ani później takie stawki za cnotę nikomu nawet się nie śniły. Mimo to myli się ten, kto sądzi, że Polki zaczęły ścigać włoskie, peruwiańskie czy amerykańskie wzory. U nas spienianie cnoty ma zdecydowanie dłuższą tradycję niż internetowe aukcje. W dziewiczym biznesie Polki wyspecjalizowały się na długo przed tym, nim w Europie zaczęła powstawać strefa euro. – Matki, szczególnie te ze Śląska, wywoziły swoje córki do Niemiec, to nie były wyjątkowe przypadki – opowiada profesor Izdebski. Transakcje, do których dochodziło w latach 90., sięgały 50 tysięcy marek. Wtedy raczej nikt nie myślał o tym, by raz sprzedane dziewictwo za chwilę sprzedać ponownie. Czas się jednak zmieniają.

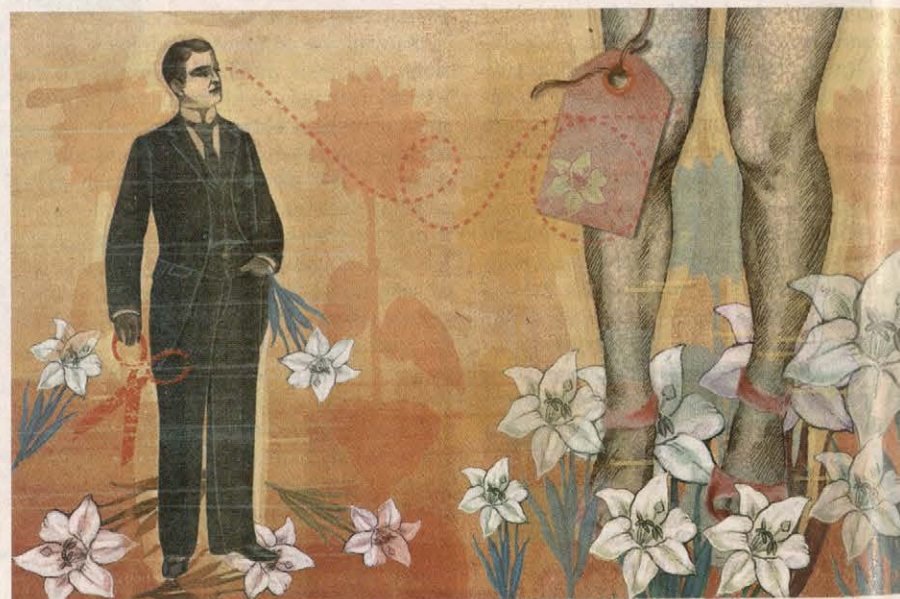
Pierwszy raz Alicji

To, że są Polki „wieczne dziewice” – wręcz specjalistki od obrotu cnotą – odkryję głównie dzięki Kopciuszce. To on zacznie opowiadać o dziewczynach „z dużym przebiegiem” i jeszcze większą przebiegłością. Jednak słowa Kopciuszka to tylko teoria. Na praktykę oczy otworzy mi tak naprawdę Alicja, która ostatecznie okaże się Heleną. I stanie się jasne, że dziewictwo, które jako Alicja chciała sprzedać we wrocławskim hotelu za 10 tysięcy złotych, już wcześniej – jako Helena – oddała dużo drożej i nad morzem.

Alicja vel Helena przynajmniej nie próbuje tego, co robi, ubierać w piękne słowa. – To prostytucja – przyznaje. Choć zaraz dodaje na swoją obronę: studia są kosztowne, trzeba zapłacić za wynajem mieszkania, kupić bilety, książki. Stypendium jest marne. Ojciec od sześciu lat nie żyje, mama tyra w sklepie, a na utrzymaniu jest jeszcze młodsza siostra. Alicja vel Helena nie ma czasu i głowy do tego, żeby zarabiać

grosze, układając towar na półkach w hipermarkecie. Skoro postanowiła zarobić na dziewictwie, to zarabia.

Oczywiście zapewne miało być raz i koniec. A tymczasem jest, jak jest. Gdy zamieściła w Internecie ogłoszenie: „Młodziutka pułzysta dziewica odda to, co ma najcenniejsze”, już po godzinie dostała pierwszy e-mail z pytaniem: „Spotkanie?” – Mężczyzna miał 27 lat – wspomina. – Zaproponował 500 złotych. Pomyślałam: Miesiąc z głowy! Zaraz jednak przyszła wiadomość od kolejnego chętnego. I stawka urosła do dwóch tysięcy. Później przekroczyła trzy tysiące i nadal rosła. – To mi otworzyło oczy – opowiada dziewczyna.



W sumie dostała blisko 60 ofert, część pochodziła z zagranicznych portali, bo i tam wystawiła swoje dziewictwo na sprzedaż. Ostatecznie – jak twierdzi – cnotę straciła nie za złote, ale za euro. Mężczyzna (przedsiębiorca samochodowy) miał zaledwie 32 lata i gest: zabrał ją na weekend nad Bałtyk, obkupił, a na koniec oprócz ustalonej stawki za dziewictwo zostawił jeszcze drogą bransoletę. Z hojnym przedsiębiorcą samochodowym naprawdę było pięknie. Ale to minęło. Ponieważ jednak Alicja vel Helena nie wycofała swego ogłoszenia z Internetu, nadal dostaje propozycje od panów. A skoro są chętni, to dlaczego im odmawiać?

Trochę jest kłopotu z tymi, którzy naciskają, aby zanim oni wyłożą pieniądze, ona wyłożyła zaświadczenie od ginekologa, że wciąż jest dziewicą. Ależ to dopominanie się o kwitek Alicję vel Helenę irytuje. Co to za marudzenie? – Szkoda czasu na ginekologów – przekonuje. – Spotkamy się, to zobaczysz, że wszystko jest OK! Najbardziej namolnym tuż przed spotkaniem podsyła ilustracje pochwy ściągnięte z Internetu. Niech sobie zobaczą błonę i nie trują.

Zresztą czy nie wiedzą, że błona to kwestia umowna, skoro można ją sobie kupić?

Kliniki chirurgii plastycznej mają w ofercie hymenoplastykę – zabieg dla kobiet, które chciałyby odzyskać dziewictwo. Wprawny chirurg załatwi to jej w kwadrans. – Zabieg jest niezwykle prosty, zakłada się najwyżej dwa-trzy cięcia, mówi doktor Andrzej Jan Barwijnuk, właściciel warszawskiej kliniki kosmetyki i ginekologii Medifem.

Takiemu zabiegowi można się poddawać raz za razem. Tyle że to kosztuje – w zależności od miasta i kliniki cena wynosi od dwóch i pół do trzech i pół tysiąca złotych.

Za nową błonę trzeba zapłacić więcej niż za staranną korektę ust czy uszu. Doktor Barwijnuk tłumaczy, że celowo utrzymuje tak wy-

soką stawkę. – Cena ma działać zniechęcająco – wyjaśnia (lekarze niechętnie podchodzą do tego zabiegu, bo czują, że z chętnymi na nie dziewczynami coś jest nie tak).

Zniechęcać może też informacja, że po takim zabiegu trzeba się wstrzymać z uprawianiem seksu – nawet do czterech tygodni. A co zrobić, gdy w tym czasie trafi się szczególnie bogaty amator dziewictwa? Choć w folderach reklamowych chirurdzy plastyczni zapewniają, że w dziedzinie hymenoplastyki widzą tendencje wzrostowe, to nadal żaden z nich nie mógłby utrzymać rodziny wyłącznie z zabiegów odtwarzania dziewiczych błon. Tym bardziej że kobiety mają pod ręką rozwiązania dużo mniej kłopotliwe i dużo tańsze – sztuczną błonę (Artificial Virginity Hymen) można kupić w Internecie już za 30 dolarów (przy zakupie hurtowym są zniżki). Błona jest ponoć łatwa w użyciu, nietoksyczna, nie uczula, nie daje efektów ubocznych, z jednej strony pokryta jest czerwoną wydzieliną.

Jak z tym wynalazkiem postępować? Instrukcja obsługi jest prosta – zastosować na 15-20 minut przed stosunkiem, a w jego trakcie dodać kilka krzyków i trochę postękiwań. Profesor Izdebski kręci głową. – Czasami dzieją się

rzeczy wprost trudne do uwierzenia. Ale cóż, takie jest życie. Raz wesołe, raz smutne.

Chciwość i brak skrępowania

Marcin ma 26 lat i gruby portfel (twierdzi, że to dzięki przedsiębiorstwu, które prowadzi z rodziną). Odkąd dwa lata temu ogłosił w sieci, że chętnie kupi dziewictwo, ma przynajmniej co robić po pracy. Dziewczyny zagadują go, przysyłają oferty i swoje roznegliżowane zdjęcia. Nie wybiera wcale najładniejszych dziewczyn. – Wolę średni wygląd, ale spoko charakter – twierdzi Marcin. Charakter poznaje niemal od razu. I zauważa, że najczęściej zgłaszają się te, które mają raczej podłe cechy. Wcześniej nigdy takich nie widział. Jego zdaniem podłą cechą jest na przykład chciwość.

Dziewczyny potrafią być chciwe ponad miarę i też ponad miarę nieskrępowane. Większość – jak zauważa już na pierwszym spotkaniu – jest szybka do seksu, żadne tam zawstydzone. Wszystkie też są zadbane, w ładnych ciuchach. Żadna nie wygląda, jakby nie miała z czego żyć. Mówią, że zbierają na studia. To wytłumaczenie nie pada najczęściej. Czasami mówią, że chcą uzbierać na samochód. U Marcina na auto zarobiła w zasadzie tylko jedna. Zapłacił jej ponad 20 tysięcy złotych. Innym płacił najwyżej po pięć tysięcy, a bywało, że i mniej.

Do tego jednak dochodziły inne koszty, wiadomo – a to kawiarnia, a to hotel. Co zrobić, skoro ma takie hobby: dziewice. – No, po prostu udzieliło mi się, lubię – wyjaśnia. W sumie w ciągu dwóch lat na dziewice wydał ponad 150 tysięcy złotych. – Ani razu nie dałem się oszukać – zapewnia. – Zresztą przynosiły zaświadczenia od ginekologów. – Bajarz, marzyciel! – mówi o Mariuszu Kopciuszku. Zna te numery z nieaktualnymi zaświadczeniami. – Najlepiej samemu wyznaczyć dziewczynie lekarza,

pójść z nią – podpowiada. Komu jednak by się chciało aż tak fatygować? Poza tym – Kopciuszek wciąż powtarza jak mantrę – wcale nie trzeba być dziewicą, żeby żyć z dziewictwem. – Wystarczy tylko umiejętnie wszczepić mężczyźnie myśl, że jest tym pierwszym, a już jego podświadomość pracuje, już jego konto się otwiera. Konta – jak przekonują dziewczyny – chętniej otwierają żonaci.

Ale czy możliwe, żeby mężczyzna – w dodatku żonaty – nabrał się na dziewictwo, skoro już dawno zostało stracone? Doktor Barwijnuk, ginekolog z wieloletnim doświadczeniem, nie ma wątpliwości – kobiety nie muszą nawet się maskować drogim zabiegiem hymenoplastyki. Mogą współżyć i utrzymywać, że nie współżyły w ogóle. – Na różne rzeczy mężczyźni dają się nabierać – mówi z uśmiechem ginekolog.

Pod nosem uśmiecha się też seksuolog. – Mężczyźni zdają się zapominać o tym, że stosunek waginalny nie jest jedyną formą stosunku seksualnego. Jeśli nawet dziewczyna zachowała błonę, nie znaczy, że nie ma za sobą żadnych doświadczeń. Mogła przecież mieć stosunki o charakterze oralnym, analnym – tłumaczy profesor Izdebski. – Oczywiście żadna się nie przyzna do swojej seksualnej przeszłości. Atutem przecież ma być niewinność. To ona jest w cenie.

Tak jest od początku naszego gatunku. Mężczyźni mają wręcz fiksację na punkcie dziewicy. W społecznościach feudalnych prawo pierwszej nocy przysługiwało panu – to on rozdzielał żony chłopów, którzy byli mu poddani – przypomina profesor Tomasz Szlendak, socjolog z toruńskiego Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. I zaraz dodaje: – Kiedyś dziewice się porywały, były niewolone, sprzedawane. Teraz same się wystawiają na sprzedaż. To dowód na to, jak radykalna jest emancypacja. Ale też

na to, jak bardzo kobiety oderwały się od swojego ciała. Mamy pełną komercjalizację. Nic się już nie liczy tak jak pieniądze.

Profesor Tomasz Szlendak, który od lat zajmuje się przemianami kultury i obyczajów, głównie socjoantropologią relacji płciowych, mógłby zbadać, co się narobiło z tym dziewictwem w Polsce, ale jak to ująć socjologicznie? Jakim narzędziem zbadać? Jaką przyjąć miarę? – Może szybciej poradziłby sobie z tym psycholog, który ma prywatną praktykę? Może psychiatra? – zastanawia się.

Skoro mężczyźni mają fiksację

Na razie w temacie grzebią media. W ubiegłym roku „Dziennik” na stronie internetowej zamieścił sondę: „Za ile byłabyś skłonna sprzedać swoje dziewictwo?”. 40 procent kobiet zapewniało, że żadna kwota nie wchodzi w grę, ale co piątą wystarczyłoby zaledwie kilkaset złotych. Co szósta zgodziłaby się na 10 tysięcy, co czwarta na 50 tysięcy. Wtedy kwoty nie były wyższe. Teraz już szybciej.

Najdroższą i najstarszą dziewicą, która wystawiła się w Polsce na sprzedaż, jest wspomniana na początku 44-letnia Aurelia Borkowska spod Otmuchowa. Wyceniła swą cnotę na pół miliona – tę stawkę odważnie rzuciła ostatniej jesieni w programie Ewy Drzyzgi „Rozmowy w toku”. Jak sprawdziliśmy, dotąd nikt nie podjął tego wyzwania, więc Aurelia wciąż jest dziewicą. Choć, jak mówi „Przekroju”, jej cnota może być już leciutko naruszona, bo od tamtego wystąpienia w TVN trzech mężczyzn poddawało ją próbie. – Chcieli się upewnić, czy ze mną wszystko w porządku i czy nie nakłamałam w telewizji, mówiąc o swoim dziewictwie – opowiada. Poddawała się kontroli, bo jest otwarta. A oni byli chętni. Ale nie do płacenia. □

REKLAMA

emerytury

jak mogę zapewnić sobie wysoki standard życia na emeryturze?

w AXA pomożemy Ci zaplanować stabilną przyszłość finansową

Podczas spotkania z Przedstawicielem AXA poznasz rozwiązania, dzięki którym będziesz mógł zadbać o dobry standard życia na emeryturze. Znając sposoby i możliwości pomnażania kapitału, będziesz mógł gromadzić środki na spokojną i dostatnią emeryturę.

0801 200 200
axa.pl

więcej / niż standard





WODOGŁOWIE PAŃSTWA

Potrzebujemy gwardii narodowej, sztabów kryzysowych z prawdziwego zdarzenia i mediów sprawdzających po każdej akcji humanitarnej, na co wydano zebrane pieniądze – uważa szefowa PAH **Janina Ochojska**

Rozmowa odbyła się 27 maja 2010 roku w Warszawie

Jesteśmy przyzwyczajeni do myśli, że są dwie Polski: ta za Jarosławem Kaczyńskim i jemu przeciwna. Ale oto powstały dwie nowe Polski: powodzianie oraz wszyscy inni oglądający powódź w telewizji i emocjonujący się kampanią prezydencką. Jak wielka jest ta druga przepaść?

– Wielka. Ktoś, kogo nie zalało, kto nawet nie był na zalanych terenach, nie potrafi sobie powodzi i powodzian wyobrazić.

A aktywnie współczuć?

– Ludzie chcą pomagać, zgłaszają się do nas firmy, ludzie, mówią: mam ciężarówkę, mogę gdzieś pojechać, mamy wodę, mamy środki czystości, tylko gdzie to dać? Chociaż w porównaniu z rokiem 1997 i 2001 tych zgłoszeń jest mniej, podobnie jak wolontariuszy. To może brać się też stąd, że Polacy mają teraz możliwość masowego wysyłania dobroczynnych SMS-ów i z niej korzystają, co powoduje, iż zrobili, co mieli zrobić, i już ośobiście w pomoc się nie włączają. Poza tym sytuacja zmieniła się też o tyle, że teraz duże media mają swoje fundacje, namawiają do wpłat na ich konto powodziowe i nie współpracują z organizacjami takimi jak nasza Polska Akcja Humanitarna.

Ale to chyba nie jest złe, że mają fundacje?

– Złe jest potem. Te fundacje powinny zbierać pieniądze, ale potem ogłaszać konkursy, przetargi na bezpośrednie niesienie pomocy, w których powinny brać udział najbardziej w tym doświadczone organi-

zacje pozarządowe. Fundacje mediów prywatnych nie mają mechanizmów, które pozwalałyby wystarczająco długo i wnikliwie towarzyszyć powodzianom w odbudowie ich życia, być na miejscu.

A powodzianie to jest na jakiś czas inny naród?

– Nie, różnica jest tylko taka, że my dzisiaj siedzimy w suchych domach. To raczej my różnimy się od nich tym, że niektórzy z nas – ci, którzy nie byli na terenach powodziowych – w ogóle nie zdają sobie sprawy z tego, co to znaczy powódź. Na dodatek przy każdym kataklizmie, trzęsieniu ziemi, powodzi, wojnie nawet, nam się wydaje, że teraz zalewa ludzi, domy, pola i że to jest główny problem. A kiedy woda opada, myślimy: aha, wszystko wróciło do normy. I znika nasze zainteresowanie – właśnie w tym momencie, kiedy jest ono najbardziej potrzebne. A ktoś, kto był na terenach popowodziowych, wie – obraz po powodzi jest straszny: wszędzie leżą zniszczone sprzęty, osobiste rzeczy, które wypłynęły z domów, padłe zwierzęta. Brakuje suchych i czystych podstawowych rzeczy, które człowiekowi są potrzebne do przeżycia. Gdzieś trzeba spać i na czymś trzeba jeść, a ludzie to utracili. Ci, którzy nie mieli do czynienia z powodzią, nie zdają sobie sprawy, jak dużym zagrożeniem epidemiologicznym są te wszystkie rzeczy, które po ustąpieniu wody ukazują się naszym oczom. Ponadto nie zdajemy sobie sprawy, jak trudno jest to uprzątnąć, co zrobić z padłymi zwierzę-

tami, co zrobić z tymi wszystkimi sprzętami, które ludzie próbują osuszyć, ale tak naprawdę powinni je wyrzucić, bo były w zanieczyszczonej wodzie i mogą być potem przyczyną wielu chorób. Ale skąd ci ludzie mają wziąć stół, tapczan? A nas już to wtedy mało obchodzi, bo woda opadła. Jeśli jeszcze zdamy sobie sprawę z tego, że w wielu miejscach ta powódź była do uniknięcia, a zdarzyła się, bo wały były nieszczerne, źle skonstruowane, zbyt późno rozpoczęto akcję zabezpieczania, budowano na terenach zalewowych, to pocujemy cały ogrom ich nieszczęścia.

Czeka nas fala ludzkiej rozpacz?

– Nie sądzę.

Słyszę relacje o ludziach, którzy nie poznają swoich bliskich, głosy, że mogą zdarzać się samobójstwa...

– To może się zdarzać sporadycznie. Po pierwsze, większość terenów, które zostały zalane, zostały zalane nie po raz pierwszy. W bardzo wielu miejscach ludzie z taką małą powodzią walczą co roku, więc są zahartowani. Oczywiście inaczej jest w przypadkach, kiedy ludzie stracili wszystko, domy, które zsunęły się z osuwisk albo są zalane po sam dach i po opadnięciu wody nie nadają się do użytku. Są też ludzie, którzy najnormalniej w świecie nie chcą wracać na te tereny, do tego zalanego domu, bo po prostu boją się o swoje życie. Więc pojawiają się problemy związane z przydzieleniem jakiegoś nowego terenu pod zabudowę i dyskusje, jaki to ma być teren, gdzie, czy tak duży, jak ktoś miał...

Powinniśmy mu w tym pomóc, kupić mu to, dać?





→ – Myślę, że tak. Taka osoba ma prawo gdzieś żyć i jeżeli mieszkała na terenie, który może ulec kolejnemu zalaniu, to najlepiej taką osobę stamtąd wyprowadzić. To będzie trudne, ale nie możemy tego uniknąć.

Możemy się odwrócić do nich plecami, jesteśmy dosyć egoistycznym społeczeństwem.

– Oczywiście możemy, ale pamiętajmy, że jak nam coś się stanie, wtedy oni też odwrócą się do nas plecami. W 2001 roku zdecydowaliśmy się na coś bardzo kontrowersyjnego – budowaliśmy ludziom domy, pomogliśmy 150 rodzinom. Wtedy jednak powodzianie nie dostawali takich odszkodowań, jakie dostaną teraz, jeśli rząd wywiąże się z obietnic. Każdy bezwarunkowo dostaje 6 tysięcy złotych i jeszcze dodatkowy tysiąc na każde dziecko, 20 tysięcy, jeżeli zrobi remont i udokumentuje to rachunkami. To rzeczywiście dużo i za to można sporo zrobić.

Musimy zdążyć przed zimą. Ludzie muszą przed zimą mieć miejsca, w których mogą zamieszkać

JANINA OCHOJSKA

Pozytywnie ocenia pani plan Tuska?

– Pozytywnie, w porównaniu z rokiem 2001, kiedy rząd odwrócił się od powodzian i właściwie nic nie dostali – po trzy tysiące, obojętnie, czy ktoś stracił dom, czy tylko go trochę zalało.

To była pierwsza taka powódź, której główny ciężar spoczywał na samorządach. Dały radę?

– Jest lepiej niż w 2001 roku, chociaż nadal w obliczu katastrofy samorządy mają zbyt ograniczone możliwości podejmowania decyzji finansowych, prawo je krępuje, nie mogą dokonywać przesunięć pieniędzy, które można by było szybko wykorzystać na pomoc. Natomiast co innego mocno szwankuje w Polsce, coś, co nazwałabym obroną cywilną.

Bo jej nie ma.

– Nie ma. W 1997 roku po powodzi wiele osób z samorządu, rządu, organizacji pozarządowych pojechało na bardzo dobre szkolenie do Stanów Zjednoczonych, gdzie uczyli się, jak koordynować pomoc, zapobiegać skutkom klęsk żywiołowych i je ograniczać. I już w 2001 roku tych przeszkolonych ludzi ani w rządzie, ani samorządzie nie było. A jak rozmawialiśmy w 2001 roku z urzędnikami odpowiedzialnymi w rządzie za pomoc powodzianom, to nam mówili, że oni w szufladach biurów nie zastali żadnej dokumentacji wynikającej z tego szkolenia. **Powódź pokazała, że potrzebna jest nam organizacja podobna do istniejącej w Stanach Zjednoczonych gwardii narodowej?**

– Absolutnie. I nie tylko w gminie w każdym gospodarstwie powinna być osoba, która bierze udział w szkoleniach, na przykład raz na pół roku, nie na papierze i nie w świetlicy, tylko ćwiczy w terenie. I później, dajmy na to, w trakcie powodzi pan Królikowski, który ma traktor i mieszka blisko wałów, już wie, że jeśli zbliża się zagrożenie powodziowe, to zbiera na przykład zwierzęta z tych gospodarstw, które nie mają transportu, i wywozi je na wyżej położone tereny, żeby nie stały się ofiarami powodzi, a potem źródłem epidemii. A inni ćwiczą inne procedury i wiedzą, że ten jest odpowiedzialny za worki, ten za piasek, a ten ma koparkę, więc robi to i to. I w każdej gminie jest też gdzieś zgromadzony w bezpiecznym miejscu sprzęt na wypadek powodzi i wiadomo, kto po niego biegnie. W WTC w jednej z firm był człowiek, który miał trochę bzik na tym punkcie, i cały czas ludzie z tej firmy byli szkoleni z zachowań w czasie pożaru czy jakiegokolwiek zagrożenia: gdzie mają iść, którędy, każdy miał zada-

nie i ćwiczył. I ci ludzie rzeczywiście wszyscy się uratowali. Jak ludzie wiedzą, co robić, są przeszkoleni i każdy ma swoje określone miejsce, to wtedy można bardzo wiele rzeczom zapobiec. Obserwowałam w telewizji bardzo dzielną walkę w Świniearach, ludzi, którzy w pocie czoła usypywali wał z worków... Tylko fala miała tam dotrzeć już za dwie godziny i wiadomo było, że ten wał z worków nie będzie wystarczająco wysoki! A przecież to można było zrobić dwa dni wcześniej, bo było wiadomo, że taka fala idzie. I nawet jeżeli wcześniej ten wał by się usypało niepotrzebnie, to zalanie generuje ogromne koszty, a usypanie wału, który okaże się niepotrzebny, to jest tylko praca ludzi i w sumie niewielki koszt.

Kto pani zdaniem powinien taką gwardię organizować?

– Państwo. I w przypadku takich katastrof ogólnopolskich powinien być system, który pozwoli włączyć do pomocy różnych wolontariuszy, harcerzy i organizacje pozarządowe. My w 1997 roku – mówiąc „my”, myślę o kilku organizacjach pozarządowych – uruchomiliśmy taki system, który pozwalał wpisać do komputera informację o tym, gdzie zalało, jakie są potrzeby, jaka pomoc dotarła i kto oferuje pomoc, gdzie ona jest, kto oferuje transport i tak dalej. Ten system oczywiście miał swoje wady, ale został uruchomiony w trakcie powodzi i przez miesiąc infolinia była finansowana przez rząd. Potem jednak się okazało, że zabrakło na to pieniędzy. I dzisiaj znowu rozmawiamy o uruchomieniu takiego systemu, premier jest gotów

wydać na niego pieniądze, jeżeli tylko organizacje pozarządowe zdołają go stworzyć. Chcemy włączyć w ten system również OSP, parafie, Polski Czerwony Krzyż, gminną pomoc społeczną, bo to są struktury obecne w każdej gminie... A dzisiaj działają osobno. Szczególnie Ochotnicza Straż Pożarna jest naprawdę dobrze wyszkolona i ma sporo dobrego sprzętu. To jest najlepsza siła w Polsce, jeżeli chodzi o pomoc w przypadku katastrof.

Ona mogłaby się stać trzonem tej polskiej gwardii narodowej?

– Mogłaby, to są przecież wolontariusze, którzy się szkolą z dużym zaangażowaniem, więc warto na czymś takim budować, warto coś takiego wzmocnić. Jeżeli by do nich dopiąć jeszcze organizacje i służby, o których mówiłam, to można by było stworzyć system, w którym informacje o zagrożeniach, a potem o potrzebach poszkodowanych pozwoliłyby na pewno zapobiec bardzo wielu zalaniom i szybko dotrzeć z odpowiednią pomocą. Dziś często pojawiają się grupy ludzi, którzy się sami organizują: ktoś ma transport, ładują cokolwiek, gdzieś jadą, rozdają, a potem się okazuje, że to tam jest niekoniecznie potrzebne, bo wczoraj właśnie przyszedł transport tego, więc taka pomoc często rozgrzewa ich serca, ale...

Więcej daje dającym niż biorącym.

– Tak. Dlatego warto byłoby taką energię skierować tak, żeby pomoc miała przemysłowy sens.

Jedno mnie jeszcze przy okazji tej powodzi poruszyło: podano statystyki, kto pomaga, i okazało się, że pomaga tyle samo wieśniów, ile wojska. To po co my mamy taką liczną armię? – pomyślałam.

– To mnie też zdziwiło, dlatego że w 1997 roku wojsko jednak bardzo pomagało. I nie wiem, dlaczego nie zostało włączone w pomoc... Może to się bierze stąd, że tak naprawdę nie ma jednego centrum koordynującego. W 1997 i 2001 roku taką koordynacją zajmowało się MSWiA i wtedy wszystkie organizacje się tam zbierały, przyjeżdżali na te spotkania jacyś wice ministrowie, podejmowaliśmy decyzje. Organizacje i różne instytucje rządowe podpisały wtedy nawet umowę o współpracy. A w czasie tej powodzi, kiedy podejmowana była próba jakiejś koordynacji działań, okazało się, że tylko u nas była kopia tej umowy i nawet straż pożarna jej nie miała.

Może wojsko dlatego nie zostało masowo zaangażowane, bo z powodzią walczyły przede wszystkim samorządy, a samorządy nie mają żadnego przełożenia na wojsko?

– Wójt, mając u siebie powódź, pewnie się szamotał, żeby cokolwiek móc zrobić, więc nie sądził, żeby miał w pamięci, że jeszcze może zadzwonić tu albo tam. Pewnie nawet nie miał spisu numerów, gdzie mógłby zadzwonić i znaleźć pomoc, adresów e-mailowych, bo choć dzisiaj właściwie każda gmina jest skomputeryzowana, to te narzędzia właściwie nie są używane. I dlatego też mamy takie skutki powodzi, jakie mamy, i tyle zniszczeń.

Jak długo musimy być empatyczni, współczujący wobec powodzian, ile to musi potrwać, żeby oni się podnieśli, uporządkowali i zaczęli normalne życie? Żebyśmy nie zrobili z nimi tak jak z Haitińczykami, o których już wszyscy zapomnieli.

– W głowie kołace się hasło, którego używaliśmy w 2001 roku: zdążyć przed zimą. Ludzie muszą przed zimą mieć miejsca, w których mogą zamieszkać. W przypadkach ekstremalnych mogą być to miejsca tymczasowe, bo sprawa przydziału gruntów, budowy domów może trwać. Czyli nasza empatia powinna sięgać przynajmniej do zimy.

A potem?

– Potem dobrze by było, żebyśmy zainteresowali się – po pierwsze – tym, czy rzeczywiście wszyscy powodzianie mają gdzie mieszkać i czy te osoby, które powinny dostać pomoc, tę pomoc otrzymały. Po drugie, co organizacje zrobiły z pieniędzmi. W 2001 roku publikowana była ogromna liczba kont dla powodzian i jestem ciekawa, czy ktoś rozliczył te organizacje i czy wiadomo, co stało się z ich pieniędzmi. Nigdzie takiej zebranej informacji nie ma. To samo dotyczy pomocy dla Haiti. My w tej chwili budujemy tymczasowe domy, tymczasowe dlatego, że nie ma możliwości budowania domów stałych, bo uprzątnięcie gruzów po trzęsieniu ziemi potrwa z półtora roku. Mamy pieniądze na 202 domy i tyle będziemy budować. Oczywiście cały czas jeszcze zbieramy pieniądze, a taki dom kosztuje półtora tysiąca dolarów i szacuje się, że przez

trzy lata rodzina może w nim mieszkać. Ale co robią inni, trudno mi powiedzieć. I mnie bardzo brakuje takiego gremialnego sprawdzenia potem, co stało się z publicznymi pieniędzmi. Może ta dzisiejsza zmniejszona ofiarność jest i tym spowodowana.

Może w przypadku tej powodzi powinniśmy wezwać media, żeby wspólnie opublikowały sprawdzone wydatki i wpływy, co się stało z tymi pieniędzmi?

– To jest moje marzenie. Zawsze w wywiadach mówiłam: sprawdźcie te konta, które publikowaliście, zażądajcie od każdego raportu, przecież każda organizacja musi być audytowana! My w 2001 roku budowaliśmy domy, robiliśmy to z „Gazetą Wyborczą”, każdy dom był oficjalnie oddawany i wiadomo, że każdy z tych domów powstał. Wybudowaliśmy 26 domów, kupiliśmy 11 mieszkań.

A jak pani ocenia spór o to, czy należy wprowadzić stan klęski żywiołowej i przesunąć przez to wybory? I czy powodzianie będą normalnymi wyborcami?

– Według mnie stan klęski żywiołowej powinien być wprowadzony bez względu na to, czy są wybory, czy ich nie ma – jeżeli jest potrzeba wprowadzenia stanu klęski żywiołowej.

A przekonują panią argumenty premiera Tuska, że od wprowadzenia stanu klęski żywiołowej nie przybędzie strażaków, nie ubędzie wody?

– Ogłoszenie stanu klęski żywiołowej nie jest bez znaczenia. Ludzie mają wte-

dy większe uprawnienia, zarówno ofiary, jak i ci, którzy walczą z żywiołem. I myślę, że sytuacja dojrzała do tego, żeby taki stan ogłosić, mimo że to wprowadza ogromne komplikacje. A jeśli chodzi o głosowanie, to myślę, że ta pomoc, którą zaoferował pan premier, jeżeli ludzie ją rzeczywiście dostaną, wpłynie być może na decyzje wyborcze powodzian.

Ale czy mamy w ogóle prawo oczekiwać od powodzian, żeby szli na wybory?

– Powodzianie są takimi samymi obywatelami jak każdy i każdy ma prawo uczestniczyć w wyborach. Jeżeli nie będą uczestniczyli w wyborach, to tracą ten mandat do późniejszego oceniania władzy. Ale na to można popatrzeć z dwóch stron. Z jednej strony, dla takiej czystości, kam-

Jeżeli dzięki kampanii wyborczej powodzianie otrzymają tyle pomocy, ile jeszcze nigdy nie dostali, to może i lepiej, że kampania trwa

JANINA OCHOJSKA

pania powinna być wstrzymana, wybory przesunięte, powinna być zorganizowana pomoc, taka, jaką powinni ludzie otrzymać. Natomiast jeżeli dzięki kampanii wyborczej powodzianie otrzymają tyle pomocy, ile jeszcze nigdy nie dostali, to może i lepiej, że kampania trwa. Chodzi przecież o ludzi, którzy tracą wszystko. Część z nich i tak jest biedna, a teraz nie mają nic. Nie mówi się o tym, ale stracili też między innymi rodzinne pamiątki.

Czyli przeszłość...

– Niekiedy wszystkie ślady przeszłości, w tym własne dokumenty. Teraz słyszę, że niektórzy z tych, którzy stracili dokumenty, mają kłopot z zarejestrowaniem się jako powodzianie, słyszą: no nie ma pan dowodu osobistego. Nie powinno być takich problemów. Powódź niszczy taką tkankę społeczną i dlatego im bardziej możemy ograniczyć jej skutki, im więcej możemy tym ludziom pomóc, tym lepiej.

Dla nas, nie powodzian.

– Bo będziemy po prostu lepszym społeczeństwem. My tak narzekamy na to społeczeństwo, czyli na nas samych, mówimy: o, Polacy to są tacy...

Plujemy na siebie w lustrze.

– Tak, ale przecież od kogo, jak nie od nas, zależy, jacy będziemy. Czy solidarni i jaka będzie ta nasza solidarność, czy to będzie tylko zryw serca, a potem już zapomnimy, czy to będzie taka solidarność, która doprowadza do konkretnych rozwiązań, do końca ujmując się za tymi, którzy potrzebują pomocy.

Podajemy konto PAH, na które mogą państwo wpłacać pieniądze przeznaczone na pomoc dla powodzian.

Liczymy na solidarność naszych czytelników! BPH 22 1060 0076 0000 3310 0015 9112. Więcej informacji na www.pah.org.pl



Janina Ochojska urodziła się w Gdańsku 55 lat temu. Studiowała w Toruniu, jest astronomem, pracowała nawet w toruńskim centrum astronomicznym. W czasie studiów związana z duszpasterstwem akademickim, potem z opozycją demokratyczną. W 1984 roku wyjechała do Francji na operację (w dzieciństwie przeszła chorobę Heinego-Medina). Podczas długiej rekonwalescencji zaangażowała się jako **wolontariuszka w pracę francuskiej fundacji EquiLibre**, która zajmowała się wtedy organizacją pomocy medycznej oraz żywnościowej dla szpitali i ośrodków dla chorych dzieci w Polsce. W 1989 roku stworzyła polski oddział EquiLibre, a potem w 1994 roku Polską Akcję Humanitarną, jedną z największych organizacji pomocowych w Polsce.

Jeśli jeszcze nie wiecie, w Ameryce znowu wybuchła rewolucja. Ta pierwsza zaczęła się wieczorem 16 grudnia 1773 roku. Dowodzona przez Samuela Adamsa grupa mężczyzn przebranych za Indian, licząca według różnych źródeł od kilkudziesięciu do ponad stu, wdarła się na trzy zacumowane w bostońskim porcie statki. W ciągu trzech pracowitych godzin wyrzuciła za burtę 342 skrzynie pełne herbaty. Herbata przyplęnęła z Wielkiej Brytanii. Zgodnie z przyjętym w Londynie prawem koloniści mieli obowiązek ją zakupić i zapłacić cło. A Adamsa i jego kompanów podatki irytowały. Ich akt nieposłuszeństwa przeszedł do historii pod nazwą Boston Tea Party (bostońska herbatka) i stał się kluczowym wydarzeniem wczesnej fazy walki USA o niepodległość.

Przodkowie Randa Paula nie bili się wtedy z Brytyjczykami, żyli gdzieś na terenie Niemiec, skąd jego pradziad ze strony ojca przybył do Ameryki w XIX wieku. Niemniej jednak wspomnienie bostońskiej herbatki jest Randowi drogie. Na tej legendzie swoją tożsamość buduje ruch społeczny, który niesie go do władzy. W ciągu kilku ostatnich tygodni ten nieznaną okulistą z 50-tysięcznego miasteczka Bowling Green w Kentucky i prezes antypodatkowej Unii Podatników wyrósł na jednego z największych bohaterów rewolucji. Drugiej rewolucji.

1. Do herbaty jeszcze wrócimy, tymczasem zajrzyjmy na YouTube, gdzie Rand Paul ma kanał. W większości spotów występuje ubrany w lekarski fartuch, siedząc w głębokim skórzanym fotelu swojego gabinetu okulistycznego. W jednym z klipów tłumaczy na przykład, dlaczego ma na imię Rand. Otóż mama nazwała go Randal, kumple wołali na niego Randy, do czasu gdy poznał Kelly – swoją przyszłą żonę (ma z nią trzech synów), która uznała, że to zbyt dziecinne, i zwracała się do niego po męsku Rand. Tak zostało – tłumaczy Rand, dementując tym samym plotkę, że dostał imię po Ayn Rand (1905–1982), amerykańskiej pisarce i filozofce, jednej z duchowych opiekunek ruchu libertarian. Rand – jak zapewnia, bujając się lekko w fotelu – zna jednak doskonale twórczość Rand, miała ona na niego ogromny wpływ.

Amerykańscy publicyści nazywają Randa Paula największym libertarianinem wśród libertarian. Kim są libertarianie? Trudno powiedzieć – pierwszym z nich miał być ponoć Lao-cy, chiński myśliciel z VI wieku przed naszą erą, którego istnienie wcale nie jest pewne. W ostatnich dziesięcioleciach do libertarian zaliczali się dogmatyczni komuniści, kapitaliści i anarchiści – wszyscy, którzy z różnych powodów uznają, że władzy i państwa powinno nie być albo powinno ich być bardzo mało. Władza, państwo i wszelkie ich przejawy – z podatkami na czele – zniewalają indywiduum. W Polsce na przykład z ruchem libertarian utożsamia się Janusza Korwin-Mikkego, choć wśród samych libertarian nie ma zgody co do jego ideologicznej czystości. Są nawet tacy libertarianie, czego



Rand Paul nie tylko poglądy ma dziwne. W studiu TV, dokąd przybiegł prosto z meczu, w którym grał jego syn

PO HERBACIE MACIEJ JARKOWIEC

Radykalny Rand

Najnowszy produkt amerykańskiej prawicy mieszka w Kentucky i jest w tym pewne podobieństwo do słynnej sieci KFC. Bo **Rand Paul** ma poglądy, które najlepiej skwitować krótkim: „O kurczę pieczone”

dowiedziałem się z kilku libertarianiskich forów, którzy uważają Korwin-Mikkego za agenta bezpieki sabotującego ruch libertarian.

Co do libertarianizmu Randa Paula wątpliwości nie ma żadnych. Paul jest tu czysty jak łąka. „Nie chcę żyć w wielkim państwowym żłobku, gdzie rząd mówi mi, co mogę jeść, gdzie mogę palić, gdzie mogę mieszkać i co mogę robić. Chcę pełnej wolności, nawet jeśli to oznacza, że nie wszystko będzie doskonałe” – deklamuje.

2. Libertariani zapal kazał Randowi stanąć w obronie BP, najbardziej dziś znienawidzonej korporacji w USA, której mianowanie się przed zainstalowaniem kosztownych zabezpieczeń doprowadziło do największej katastrofy ekologicznej ostatniej dekady. W połowie maja świeżo upieczony kandydat Republi-

kanów na senatora oświadczył w ogólnokrajowej telewizji ABC: „Wypadki się zdarzają. Nie podoba mi się, że rząd kopie leżące już BP. Taki atak na biznes jest bardzo nieamerykański”. To, że Paul własną piersią broni dobrego imienia BP, zaskoczyło zapewne nawet samych bonzów koncernu. Po wybuchu na platformie Deepwater Horizon, wskutek którego przez kilka tygodni do Zatoki Meksykańskiej wylewał się milion litrów ropy dziennie, podkulili ogony i nie dyskutowali z amerykańską opinią publiczną. A ta żąda ich głów, a przynajmniej wielomiliardowych odszkodowań i pokrycia kosztów usuwania skutków katastrofy.

Rand Paul broni BP, bo jako libertarianin uważa, że państwo nie powinno stanowić żadnych regulacji: kierowcom powinno pozwolić jeździć bez pasów, edukację dzieci zostawić rodzicom (Paul postuluje likwidację Departamentu Edukacji), a odwiertów naftowych nie

pętać nakazem zbędnych zabezpieczeń. Idealny wolny rynek to taki, w który rząd w ogóle nie ingeruje. Szkoda, że Rand zapomniał o jednym: cała branża naftowa dostaje od Waszyngtonu wielomiliardowe subsydia w postaci ulg podatkowych czy rekompensat za wyczerpane złoża. Wszystko kosztem podatników.

3. Libertarianiński światopogląd zaszczerpił Randy’emu tata. Ron Paul (urodzony w 1935 roku) dwukrotnie chciał zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych – w 1988 roku był kandydatem Partii Libertarianiskiej, 20 lat później bezskutecznie ubiegał się o nominację Republikanów. Od ponad 30 lat z przerwami tata Randy’ego zasiada w Kongresie. Choć reprezentuje Partię Republikańską, głosi – jak przystało na libertarianina – po swojemu. Choćby przeciw wojnie w Iraku. Konsekwentnie od samego początku, czyli od tej pierwszej z 1990 roku. Dla taty Randy’ego wszystko rozbija się o pieniądze. „Kocham nasze imperium, ale wojna jest za droga” – tłumaczy.

A w każdej szanującej się rodzinie libertarianiskiej – wiem to od polskich libertarian – syn przejmie poglądy po ojcu co do joty. Taki typ wychowania. Janusz Korwin-Mikke też po tym wzorcu, że dziecku raz na jakiś czas manto się należy. A Rand Paul potwierdza to w wywiadzie dla „New York Timesa”. Pytanie: „Czy ojciec ja-

ko libertarianin pozostawiał panu dużo swobody w dzieciństwie?”. Odpowiedź: „Wie pan, jest różnica między państwem a rodziną. W rodzinie konieczna jest dyktatura”.

4. Rand był już sławny, zanim stanął w obrobie BP. Sławę przyniosła mu ustawa znosząca w USA segregację – epokowy Civil Rights Act przegłosowany... w 1964 roku. Choć gdy przechodziła przez Kongres, Rand miał niewiele ponad rok, dziś zapewnia, że gdyby urodził się wcześniej, siedłby w pierwszym szeregu każdej demonstracji u boku Martina Luthera Kinga. Rasizm go brzydzi, państwowa segregacja jest zła i dobrze, że się skończyła. W sprawie samej ustawy – twierdzi Rand – jest jednak jedno ale. To właśnie ale uczyniło z Randa Paula gwiazdę.

Problemem według niego jest wrzucenie do jednego worka przestrzeni publicznej i prywatnej. Zniesienie segregacji w instytucjach publicznych jest słuszne, ale własność prywatna jest święta i właściciel restauracji ma prawo zakazać wstępu, komu chce, z jakichkolwiek pobudek, choćby rasowych. Paul podzielił się tymi przemyśleniami z Ameryką na początku maja w programie popularnej dziennikarki Rachel Maddow w stacji MSNBC.

Maddow drażyła temat przez bity kwadrans, bombardując Paula pytaniami o to, czy bary i restauracje, choć prywatne, nie są przestrzenią publiczną. Czy zgoda na wywieszkę „Czarnym wstęp wzbroniony” nie cofa nas do czasów segregacji? Czy prywatny uniwersytet ma prawo zakazać związków między studentami różnych ras? Czy prywatny właściciel jedynego ba-

Republikanie boją się, że przez herbaciarzy stracą poparcie wśród umiarkowanych wyborców

senu w małym miasteczku może zakazać wstępu czarnym dzieciakom?

Na żadne z nich Paul nie odpowiedział „tak” lub „nie”, po każdym rozpoczynał miniwykład o rasizmie, wolności słowa i własności prywatnej. Wił się jak piskorz, żeby z jednej strony nie wyjść na rasistę, a z drugiej – nie zdradzić libertarianiskich ideałów.

Pierwsze komentarze pojawiły się, jeszcze zanim zgasły światła w telewizyjnym studiu. „Jego wąska polityczna filozofia może mieć groźne konsekwencje” – przestrzegał Jack Conway, rywal Paula w wyborach w Kentucky. John Kyl, kolega Randa z Partii Republikańskiej, napominał: „Mam nadzieję, że nauczy się rozdzielać teoretyczne pogaduchy, jakie toczą studenci przy piwie, od debat o realiach, które decydują o wyniku wyborów”. A Ed Show, prezes Narodowego Komitetu Demokratów, rozszyfrował skrót KFC jako Kentucky Fried Candidate (usmażony kandydat z Kentucky).

Ale Rand Paul usmażony jeszcze nie jest. W sondażach opublikowanych już po wystę-

pach podważających praworządność ustawy desegregacyjnej i winę BP za wyciek utrzymuje kilkanaście punktów przewagi nad Jackiem Conwayem. Wyborcy w Kentucky są w 93 procentach biali, w zdecydowanej większości konserwatywni i niechętni waszyngtońskim elitom. Jeśli Paul dowiezie przewagę do listopada, zasiądzie w senacie.

5. Wróćmy jednak do herbaty i do rewolucji, bo to z nich wziął się Rand Paul. 19 lutego 2009 roku, nadając na żywo z giełdy w Chicago, dziennikarz CNBC Rick Santelli zbesztiał rząd za plan spłacenia najbardziej zadłużonych kredytobiorców pieniędzmi podatników i w nawiązaniu do akcji bostończyków sprzed prawie 240 lat zapowiedział „chicagońską herbatkę”. W ciągu następnych godzin tyradę Santellego na YouTube obejrzało kilka milionów Amerykanów. Zadziałał efekt kuli śniegowej: jak kraj długi i szeroki ludzie skrzykiwali się na uliczne tea party – protesty przeciw nowym podatkom czy bailoutom. „Wróćmy do drugą rewolucję. Tym razem mają bronią będą konstytucja, Internet i reklamy w radiu” – wołał do reportera tygodnika „New Yorker” demonstrant przebrany za Jerzego Waszyngtona.

Trudno oszacować, ilu Amerykanów aktywnie zaangażowało się w herbatkę, bo ruch składa się z setek, może tysięcy drobnych, lokalnych struktur i nie jest partią. Ale wiecie herbaciarzy w różnych częściach kraju odbywają się codziennie od wielu miesięcy i gromadzą tłumy. Socjologowie nazywają ich pierwszym w naszych czasach prawicowym ulicznym ruchem protestu. Jak pisze Ben McGrath w „New Yorkerze” – jego trzon stanowią ludzie koło sześćdziesiątki, którzy przeżyli rewolucję dzieci kwiatów i dopiero teraz przeżywają bunt.

W roku wyborczym miarą siły tego buntu jest przede wszystkim sukces polityczny – Rand Paul nie jest jedynym radykałem, który wypłynął na herbacianej fali i w wysiłku o republikańską nominację pokonał bardziej umiarkowanego kandydata lansowanego przez establishment. Duże szanse na zwycięstwo herbaciarzy mają w co najmniej czterech stanach, w których w listopadzie odbędą się wybory do senatu – poza Kentucky na Florydzie, w Nowadzie i Utah. To herbaciane poparcie w styczniu dało Republikanom pierwsze od prawie 40 lat zwycięstwo w Massachusetts. Republikański mainstream ma jednak z herbatą kłopot. Z jednej strony cieszy się, że tea party daje im głosy najbardziej zagniewanych Amerykanów. Z drugiej strony nie ma nad herbaciarzami kontroli. Nie wiadomo, co wywiną. Mogą się odłączyć i wystawić swojego kandydata na prezydenta (na przykład Sarah Palin), który odbierze głosy kandydatowi Republikanów. Albo mogą zupełnie zrazić do prawicy wyborców niezależnych. Zwłaszcza jeśli nadal bez opamiętania – tak jak Rand Paul – będą wygadywać farmazonny. □

Historia grania w bele co

Co to jest: duże, czarne i kwadratowe? To mała biała pileczka. A nieduże, żółte i wycinkiem koła będące? To człowiek krążek hokejowy. A malutki osioł? To małpa, człekokształtna zresztą, więc spora. Oto **bohaterowie gier wideo**, którzy wstrząsnęli światem. Ten drugi – krążek – skończył właśnie 30 lat

POŻERACZE CZASU RAFAŁ KOSTRZYŃSKI

Aleśmy te urodziny Pacmana uczcili, nie ma co. Ktoś obliczył, że 22 maja na grę w tę platformówkę ludzkość poświęciła w sumie prawie pięć milionów godzin, generując tym samym straty w wysokości stu milionów dolarów. Stu milionów! Za takie pieniądze można kupić siedem nowiutkich F-16 czy 122 miliony puszek Królewskiego. Tego samego dnia giełdy zanotowały gigantyczne spadki – ciekawe, czy Pacman miał z tym coś wspólnego?

Nie jestem wrogiem gier, ale śledząc zachwyty nad dziełem japońskich programistów z Namco, doznaję dojmującego poczucia obciachu. Pacman to wsuwająca kropki uszczknęta pizza ganiająca się po labiryncie z czterema kolorowymi duszkami (dlatego lepiej pasowałaby do niego nazwa Picman, bo Paca Pacman bynajmniej nie przypomina). Na szczęście w grze jest błąd, który powoduje, że 256. poziom jest nie do przejścia – gdyby nie to, dałoby się w nią tłuc w jakąś koszmarnie ogłupiającą nieskończoność. Koszmar nie ogłupiająca, bo poszczególnie poziomy można od siebie odróżnić wyłącznie po lek-turze opisu gry. Są do siebie tak podobne, że katatonia gwarantowana. A że nie brak takich, którzy potrafią w to grać godzinami? W gruncie rzeczy nie ma co się dziwić.

Historia zna ludzi, którzy z własnej woli siedzieli dwa lata we francuskich okopach czy przez pół roku walczyli o Stalingrad. W porównaniu z tym uganie się pyzatym Picmanem po labiryncie może być całkiem przyjemne. Mniej więcej tak jak granie w kropki czy obgryzanie paznokci. Niektórzy obgryzają, ale nikt tego nie świętuje. Pacman jest tak nudny, że fir-

ma Crystal Sky, która chciała udowodnić, że na jego podstawie można zrobić film, musiała dać sobie spokój.

Historia bohaterów gier komputerowych jest jeszcze młoda, mimo to roi się w niej od legend. Niektóre są równie tragiczne jak Pacman.

Lecą podpalić ci dom

Forpocztę tragicznych tworzą „Najeźdźcy z kosmosu” („Space Invaders”). Za osiem lat stuknie im czterdziestka i giełdy już powinny zacząć przygotowywać się na ten dzień. Z grubsza rzecz biorąc, „Najeźdźcy...” są podzieleni na dwie części: dobro na dole, zło na górze. Zło to hordy stateczków kosmicznych. Dobro – działa laserowe, które broni przed nimi ludzkości. Jej nie widać, bo schowana jest w domkach, które w miarę bombardowania ulegają stopniowej anihilacji.



148 pikseli, 6 kolorów. Mario, czyli najmniej skomplikowany hydrauliczki świat

Trudno się oprzeć wrażeniu, że gra powstała na kanwie wiersza „Bagnet na broń”. To dziwne, ale zburzenie wszystkich domków przez napastnika wcale nie kończy rozgrywki; kończy ją dopiero zniszczenie działa (ciekawe, co na to ludzkość?). A zniszczenie działa jest nieuchronne. Im bardziej przybytków przez napastnika wcale nie kończy rozgrywki; kończy ją dopiero zniszczenie działa (ciekawe, co na to ludzkość?). A zniszczenie działa jest nieuchronne. Im bardziej przyby-

Małpa w czerwonym

W latach 80. Japończycy byli znakomitymi programistami, lecz ich znajomość języka angielskiego pozostawiała wiele do życzenia. Pacman został stworzony jako Puckman (bynajmniej nie Człowiek

z Pucka, lecz Człowiek Krążek), ale Amerykanie nie mogli się zgodzić na taką nazwę. Nie chcieli, by gracze kombinowali, jak na rozsianych po całym kraju automatach zamienić literę P na F – tym bardziej że przecież byłoby to dość proste. Zgodzili się za to na Donkeya Konga, choć pękali przy tym ze śmiechu.

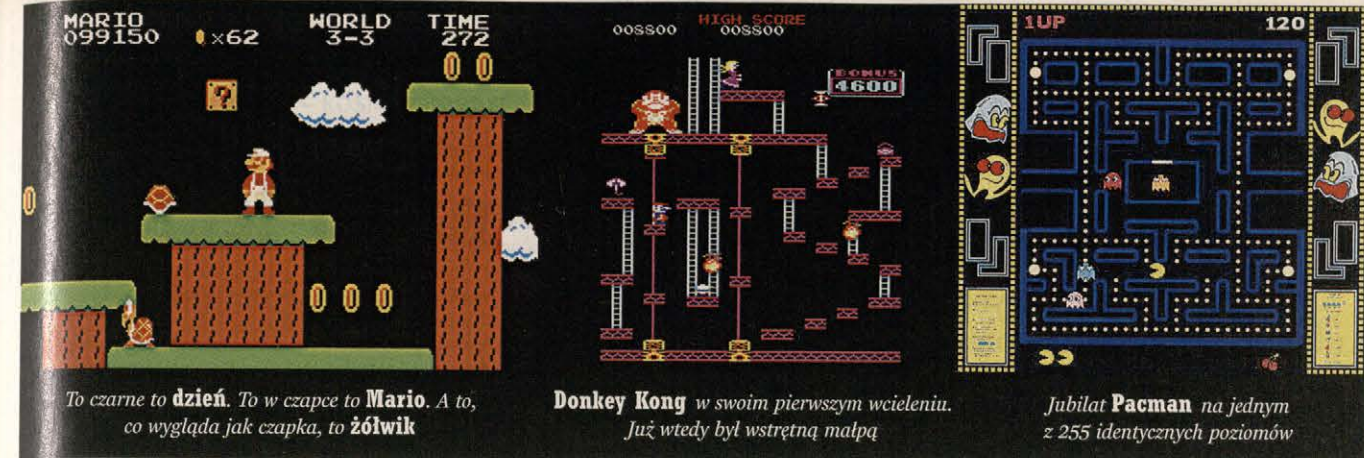
Donkey Kong to wredny bohater jednej z najlepiej sprzedających się serii gier wideo. Jego twórca Shigeru Miyamoto myślał, że donkey znaczy głupi, a kong to małpa, i uznał, że to świetnie razem brzmi i będzie się dobrze sprzedawać na Zachodzie. Pierwsza część tego rozumowania była naturalnie błędna, co jest kolejnym dowodem na to, że z fałszywych przesłanek można czasem wyciągać prawidłowe wnioski. Wredna małpa w czerwonym krawacie stała się jedną z najlepiej rozpoznawalnych postaci ze świata wideorozrywki. Za rok skończy 30 lat i trudno znaleźć poważny ranking gier komputerowych, który obyłyby się bez niej.

Sorry, Link

Miyamoto może nie zna angielskiego, ale z całą pewnością wie, co powinna mieć kultowa postać z gry komputerowej. Twórca Donkeya Konga jest jednocześnie twórcą Mario, sympatycznego wąsatego Włocha, który rozślał profesję hydraulika o wiele wcześniej niż Francuzi zaczęli straszyć sympatycznym Polakiem. Włoski hydraulik i goryl pojawili się razem w grubo ponad stu grach i mają się do siebie tak jak Batman do Jokera, Janosik do Murgrabiego czy Tom do Jerry'ego.

W przeciwieństwie do Pacmana czy kosmitów ze „Space Invaders” Mario wykazywał już szczerą obecność osobowości. A Miyamoto tak naprawdę jest najbardziej ceniony za Linka, bohatera serii „Legendy Zelda”. Link ma wprawdzie całą masę zalet (w tym urodę wziętą z filmu Hayao Miyazaki) i osobowość rozwiniętą znacznie lepiej niż Mario, ale także jedną zasadniczą wadę – jego sława nie dotarła do Polski. Więc pominie my go milczeniem.

Włoska dominacja w wirtualnym świecie hydraulików nie podlega dyskusji, ale w świecie wirtualnych twardzieli – w którym Wło-



To czarne to dzień. To w czapek to Mario. A to, co wygląda jak czapka, to żółwik

Donkey Kong w swoim pierwszym wcieleniu. Już wtedy był wstrętną małpą

Jubilat Pacman na jednym z 255 identycznych poziomów

si nie mają nic do powiedzenia – rządzą Polską (lepiej będzie: współrządzą).

Polski akcent

Gdy na początku lat 90. firma id Software wypuszczała grę „Wolfenstein 3D”, a do klawiatur na ratunek światu rzucili się maniacy przemocy, ratowali ów świat rękami Billa Blazkowicza. Blazkowicz mundur miał wprawdzie amerykański, ale za to pochodzenie całkowicie polskie. Kto nie grał, może nie wiedzieć, ale z grubsza rzecz biorąc, główne zadanie Blazkowicza polegało na szerzeniu dobra poprzez eliminację zła.

Ponieważ zło przybierało postać licznych hitlerowców i owczarków niemieckich, jego eliminacja była żmudna i bardzo krwawa. Tak krwawa, że co bardziej wrażliwi kynolodzy zażądali usunięcia psów z gry i zastąpienia ich zmutowanymi szczurami. Strzelanie do hitlerowców nie budziło natomiast większych zastrzeżeń. Ktoś może powiedzieć, że eliminacja zła za pomocą szerzenia dobra nie jest niczym oryginalnym w grach komputerowych. Pełna zgoda, ale metody eliminacji mogą być bardziej lub mniej wciągające.

Te zastosowane 18 lat temu w „Wolfenstein 3D” wciągały potwornie. Nic dziwnego, że Blazkowicz doczekał się mnóstwa naśladowców: anonimowego marines z serii „Doom”, luzaka z „Duke'a Nukema 3D” czy samuraja z „Shadow Warrior”. Dwaj ostatni mieli nad Blazkowiczem przewagę psychologiczną – umieli mówić.

Gordon niemowa

Jednak nawet w grach komputerowych milczenie może być złotem. Dowodem jest Gordon Freeman, bohater gry

„Half-Life”. To naukowiec, pracownik tajnego laboratorium Black Mesa w stanie Nowy Teksas. Jedzie do pracy kolejką, która zabiera go w najgłębsze czeluście kompleksu, gdzie ma przeprowadzić kolejny eksperyment. Kończy się on niekontrolowanym otwarciem tunelu w czasoprzestrzeni, eksplozją, najazdem obcych i nalotem amerykańskich żołnierzy, którzy chcą zlikwidować wszystkich świadków. No po prostu totalna porażka. A Freeman nic. Ani be, ani me. Jak niemowa. Jak Pacman. Nawet jego kombinonozon jest bardziej rozmowny niż on. Nieśmiały naukowiec staje się jednak postacią kultową, a „Half-Life” i jej kontynuacje zajmują wysokie miejsca w rankingach gier wszech czasów.

Gliniarz

Są jednak na szczęście niemowy sympatyczne, a nawet przesympatyczne. O Klaymenie, plastelinowym bohaterze „Neverhooda”, słyszeliście? Pewnie tak, bo to odwrotność Linka; znają go prawie wszyscy. Aż się wierzyć nie chce, że sprzedano zaledwie 41 tysięcy oryginalnych kopii tej gry. Nawet ci, którzy uważają, że wykorzystywanie komputera do zabawy jest niepoważne, czynią wyjątek dla „Neverhooda”. Klaymen jest wprawdzie zupełnie pomyłony, ale świat zbawia uroczym.

Zresztą uroczy to świat, więc łatwo o ten efekt. Jeśli jest jakaś gra, którą warto byłoby przenieść na kinowy ekran, to jest to właśnie „Neverhood”. „Mortal Kombat” czy królujący teraz w multipleksach „Książę Persji” jadą pustą tandetą, a eschatologia tych filmów poraża swoją naiwnością. Plastelinowa eschatologia to je ono! □

CECHY BOHATERA IDEALNEGO

Imię. Powinno być dziwne, niepowtarzalne, a jednocześnie łatwo wpadające w ucho. Najlepsze ucho mają Japończycy. Oni wiedzą, że Pokemon, Link czy Donkey Kong brzmią świetnie, nawet jeśli w przekładzie wychodzą z tego imiona dość durne (odpowiednio: Kieszpot, Łącz i Osłokong). Wyjątkiem są bohaterowie świata fantasy. Entuzjaści tego gatunku są przyzwyczajeni do trudnych nazw, więc Obczarzwini, Mamtampopkorn czy Pie-szolaż nie sprawią im żadnych trudności.

Wygląd. Tu sprawa jest bardziej skomplikowana. Niestety, nie ma żurnali z bohaterami do wycięcia. Jest jednak paradigmat, którym trzeba się kierować: postać musi mieć COŚ. Najlepiej jedno, góra dwa. Więcej to już nadmiar. Śmieszny kędziorek, ubytek w zuchwie, bądź brak zuchwy zgoła dodają sympatyczności. Znowu wyjątkiem są bohaterowie fantasy. Entuzjaści tego gatunku przyzwyczajeni są do dużej ilości szczegółów, więc mąż, którego wyróżnia krogulcza ręka, kurza stopka, kaprawe oko, miecz kształtu liścia koniczyny czterolistnej, włos zmierzwiony (najlepiej jeden i czarny), będzie z całą pewnością wart uwagi.

Mowa. Bez przesady. Wystarczy język ciała (zwłaszcza w przypadku gier typu Pacman, Pong czy Larry 7). Programiści, którzy mają coś do powiedzenia, mogą to jednak przypisać swoim bohaterom – pod warunkiem wszak, że nie będzie to zbyt skomplikowane. „Damn, I'm lookin' good!” Duke'a jest wypowiedzią o odpowiedniej skali trudności. Oczywiście, jak zwykle, bohaterowie fantasy mają fanów obeznanych z różnymi dialektami, więc nawet sentencje w stylu: „Nekues gar kopron ekbletoteri” nie będą dla nich niczym niezwykłym.



Septet Space Invaders. Od razu widać, że to typy spod ciemnej gwiazdy

Fenomeny „Przekroju” na 65-lecie!

Oto oni. 12 najlepszych wybranych przez nas spośród setek fantastycznych ludzi kultury, społeczników, naukowców. Która z nominowanych do Fenomena osób otrzyma statuetkę, zależy także od was, naszych czytelników. Zapraszamy do głosowania

No i mamy Fenomeny! Od pięciu lat to nagrody naszego tygodnika, które w redakcyjnym plebiscycie przyznajemy ludziom, instytucjom, a nawet wydarzeniom (za nimi stoją konkretne osoby), za wybitne dokonania w różnych dziedzinach życia. Kiedy na 60-lecie „Przekroju” po raz pierwszy wręczaliśmy nagrodę, nie spodziewaliśmy, że tak szybko stanie się ona dla naszych czytelników atrakcyjną i ważną formą honorowania osób i zjawisk fenomenalnych.

Jak się okazuje, osoby, które wyróżnialiśmy w poprzednich latach (między innymi Anna Stężyńska, Wojciech Waglewski i Krystian Lupa), zdaniem wielu naszych rozmówców jak najbardziej na to zasługiwały. Ich ponadprzeciętna aktywność nie ograniczyła się do jednostkowego wydarzenia, błyskotliwie zagranej roli, wydania bestsellerowej książki czy wygranych wyborów. Ich dokonania były efektem pracy wieloletniej i – co pokazały następne lata – wciąż trwającej. Przypadła też państwu do gustu otwarta formuła plebiscytu i jego wie-

lodyscyplinarność. Statuetki (nagrada ma charakter symboliczny) wręczaliśmy bowiem aktorom i społecznikom, muzykom i politykom, polarnikom i sportowcom, przedstawicielom różnych dyscyplin, bardzo różnych zainteresowań i różnych środowisk. To, co ich łączy, to wybitna jakość rzeczy, które tworzą, to fenomenalna właśnie umiejętność wykorzystywania talentu, to wola przekraczania własnych słabości – w ich przypadku – zakańczana wielkim sukcesem. Chcielibyśmy nie pominąć nikogo, kto zasługuje na wyróżnienie, choć zdajemy sobie sprawę, że jest to prawie niemożliwe. Żeby było jak najbardziej demokratycznie, do wyboru fenomenalnych osób zachęcamy również – w odrębnym głosowaniu – naszych czytelników.

W tym roku staramy się, aby nagroda „Przekroju” miała bardziej uroczysty i specjalny charakter niż w poprzednich latach. Po pierwsze, wypada w roku jubileuszowym naszego tygodnika. W związku z tym oprócz kilku corocznych Fenomenów ogłosimy Super-Fenomena całego 65-lecia „Przekroju”. A że jubileusze najlepiej wychodzą w Krakowie, to i my tym razem

postanowiliśmy ogłosić nazwiska laureatów właśnie w mieście, w którym „Przekrój” miał swój początek. Przybywajcie, przybywajcie do Krakowa – jak by się chciało powiedzieć za legendarnym Piotrem Skrzyneckim z Piwnicy pod Baranami, osobą też kiedyś bardzo z naszym tygodnikiem związaną.

Sylwetki nominowanych przedstawiać będziemy co tydzień na łamach „Przekroju” (dziś pierwsza czwórka). Wszystkie dostępne będą również na stronie www.przekroj.pl.

W tym roku poza Fenomenami wyłonionymi przez redakcję chcielibyśmy, by swoją nagrodę przyznali też nasi czytelnicy.

Agata Stremiecka

Na stronie obok lista nominowanych do Fenomena „Przekroju” i zasady głosowania.

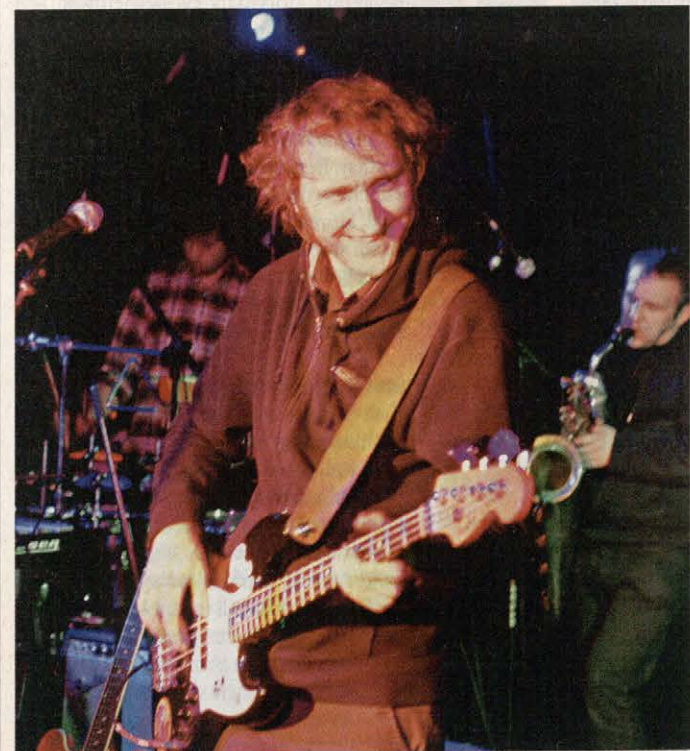


MACIO MORETTI – CAPO DI TUTTI CAPI

KOJARZycie NAZWISKO? Nie, nie chodzi o włoskiego amanta z czasów niemieckiego kina, obrońcę Interu Mediolan ani tym bardziej o warszawskiego rezydenta kamory. Choć wpływów na polskiej scenie alternatywnej niejednego capo di tutti capi mógłby mu pozazdrościć. W niezliczonej liczbie zespołów Macio Moretti grał lub grał (Mitch & Mitch, ParisTetris, Baaba, Starzy Singers, Mohr Drammaz, Bassisters Orchestra, Shofar, Mały Szu, Antigama, Kwadratowi, Królowie Życia...) zwykle jako znakomita, punktualna i dynamiczna sekcja rytmiczna (obsługuje zarówno bas, jak i bębny – do wyboru), czasem jako przyzwoity wokalista i świetny, w naturalny sposób kupujący publiczność frontman. Nie jestem pewien, czy uda się znaleźć drugiego polskiego muzyka, który grałby w Jarocinie i na Off Festivalu, na Open'erze i Warsaw Summer Jazz Days oraz jeszcze na mragowskim Pikniku Country na dokładkę! Innym artystom Macio projektuje okładki (za oprawę graficzną ostatniego albumu grupy Hey dostał

Fryderyka) albo organizuje koncerty (festiwal muzyki absurdałnej Weź to Wyłącz jest jego sprawką, koncerty w Galerii Raster też) i wydaje płyty (współtworzył oficynę Zgnięte Mięso Records, teraz zajmuje się niezależnym labeliem Lado ABC). A z całą resztą sceny się przyjaźni. Bo oprócz tego, że jest znakomitym muzykiem, jest również jednym z najbardziej sympatycznych i skromnych ludzi w branży. Przyszedł na świat 35 lat temu jako Maciej Moruś. Pseudonim, jaki ma, każdy widzi, mogło być gorzej. W podstawówce bowiem żli koledzy wołali na niego Maciora, a potem przez chwilę tytułowali go na przykład Leonsjem. Ale co tam, pokłonilibyśmy się przed fenomenem Macia Morettiego, gdyby był Maciora... Kiedyś, w latach szczytowej popularności serialu „Cztery pancerni i pies”, pokpiwano, że gdybyśmy trzy takie czolgi mieli, to sami byśmy tę wojnę wygrali. Ja wiem na pewno, że gdybyśmy takich Morettich mieli ze trzech, Polska byłaby muzyczną potęgą. I jeszcze na dodatek byłoby bardzo wesoło.

Jarek Szubrycht



GRZEGORZ NIEDŹWIEDZKI – KOSIARZ ODKRYĆ

NIC SOBIE Z TEGO NIE ROBIŁ, że jest za młody i nie ma nawet tytułu doktora. Nie przeszkadzało mu nawet, że szukał skamieniałości w doskonale przebadanych Górach Świętokrzyskich. W dodatku skupiał się nie na kościach, jak na paleontologa przystało, lecz na tropach wymarłych zwierząt. I to w warstwach tak starych, że jeszcze nie powinno ich tam być. To Grzegorz Niedźwiedzki, doktorant Wydziału Biologii Uniwersytetu Warszawskiego. W styczniu 2010 roku tygodnik „Nature”, jedno z dwóch najbardziej prestiżowych czasopism naukowych świata, opublikował jego pracę o odkryciu tropów najstarszego zwierzęcia czworonożnego na świecie! Stworzenie, które po zostawiło 395 milionów lat temu, przypuszczalnie było przodkiem

wszystkich lądowych kregowców, w tym człowieka. Redakcja „Nature” uznała to wydarzenie za tak ważne, że zdjęcie tropów świętokrzyskich czworonożców umieściła na okładce. Chwilę potem o tych polskich skamieniałościach i ich odkrywcę pisały gazety na całym świecie. I słusznie. Bo sukces Niedźwiedzkiego jak rzadko jest w pełni zasłużony. To efekt wytrwałości, dużej wiedzy i doświadczenia terenowego tego badacza. Już jako uczeń Technikum Geologicznego w Kielcach chodził po górach i szukał skamieniałości. Obserwował zwierzęta, by móc zrozumieć zasady powstawania pradawnych tropów. Jako uczeń ostatniej klasy wziął udział w Konkursie Prac Młodych Naukowców UE. Jego praca o tropach

dinozaurów z Gór Świętokrzyskich została wyróżniona w Amsterdamie pierwszą nagrodą.

W 2008 roku, już po skończeniu studiów na Wydziale Biologii UW, Grzegorz Niedźwiedzki stał się jednym z trzech odkrywców kości pierwszego polskiego dinozaura, jednocześnie najstarszego przedstawiciela grupy drapieżnych gadów, do której należy między innymi słynny *Tyrannosaurus rex*. Te szczątki stały się podstawą pracy doktorskiej, którą paleontolog przygotowuje pod kierunkiem profesora Jerzego Dzika. Jednocześnie nie rezygnuje z badania tropów. I żadne nagrody czy sukcesy nie przerywają mu ciężkiej pracy. Jeszcze nieraz będzie o nim głośno.

Olga Woźniak

ROMAN GUTEK – ROZBUDZIŁ APETYT NA KINO

FIRM DYSTRYBUCYJNYCH wprowadzających na polskie ekrany ambitne filmy ze świata jest dziś

kilka. Ale w latach 90., gdy nasze kino zalewała fala komercji, głównie z Hollywood, była tylko jedna: Gutek Film. To dzięki niej kinomani w czasach przedinternetowych mieli szansę zetknięcia się z nowymi filmami Pedra Almodóvara, Mike’a Leigh, Jima Jarmuscha czy Larse von Triera.

Zakładając tę firmę, Roman Gutek już i chodził w branży za jednego z największych aktywistów kina: miał na koncie rozkręcenie Warszawskiego Tygodnia Filmowego,

Jeszcze w dekadzie lat 90. zorganizował kolejną imprezę – Lato Filmów w Kazimierzu Dolnym. Doświadczenia zdobyte na tych dwóch

festiwalach zaowocowały w tworzeniu ostatniego i zarazem najbardziej dziś rozpoznawalnego filmowego dziecka Gutka – festiwalu Era Nowe Horyzonty.

Dyrektorowi ENH i jego z roku na rok coraz większej światu współpracowników udało się dokonać na tej unikatowej w skali kraju imprezie czegoś niezwykle. I nie chodzi tu tylko o odkrycie przed polskimi widzami takich mistrzów, jak Tsai Ming-Liang, Guy Maddin czy Hal Hartley. Mimo

że najpierw w Cieszynie, a od kilku lat we Wrocławiu pokazywane jest wyłącznie kino artystyczne, powolne, trudne, składające do myślenia – które od nazwiska pomysłodawcy zwykło nazywać się „kinem gutkowym” – festiwal jest dziś stałą pozycją w kalendarzach zarówno kinomanów, jak i laików. Kolejki do sal wrocławskiego multiplexu Helios, gdzie odbywa się impreza, przypominają te przed polskimi sklepami w latach 60., 70. i 80.

Zorganizowanie takiego festiwalu w kraju, którego statystyczny mieszkaniec chodzi do kina ledwie raz w roku, to bezdyskusyjnie fenomen. I dlatego Romana Gutka, jak mało kogo, po prostu nie mogło zabraknąć w naszym „przekrojowym” fenomenalnym gronie.

Karolina Pasternak

MARCIN MACIEJOWSKI – POLAK ZE ZŁOTA

JEDNYM Z BOHATERÓW jego obrazów jest słynny bokser Andrzej Gołota („Gołota Polak ze złota”). Oprócz niego Claudia Schiffer, ojciec Tadeusz Rydzik, anonimowi dresiarze, złodzieje i znani artyści. Na płótnach Marcina Maciejowskiego znajduje się wszystko to, czym żyjemy na co dzień: nasi idole, problemy społeczne, obsesje, lęki i radości. Całość jest kolorowa, obrysowana grubym pędzlem, czytelna i do bólu prawdziwa, dzięki czemu styl jednego z największych współczesnych polskich malarzy realistów jest niepodrabialny. Jemu zawdzięczamy kronikę polskości



lat 90. Malarz (rocznik 1974) zasłynął obrazami opartymi na zdjęciach wyciętych z brukowców, folderów reklamowych, filmów. Jesteśmy tym, co oglądamy, czytamy

i kupujemy – zdaje się mówić Maciejowski i pokazuje wykreowany przez media świat, by pokazać nam... nas. Cytowana przez niego na płótnie, przetworzona z już

NOMINACJE I ZASADY GŁOSOWANIA

Na wybranego kandydata można głosować, wypełniając ankietę na stronie www.przekroj.pl lub wysyłając SMS. Aby wziąć udział w plebiscycie Fenomeny, należy wysłać SMS o treści **FENOMEN.XX** pod numer **7143**, gdzie: **FENOMEN** – oznacza prefiks konkursu **XX** – oznacza kod kandydata, na którego uczestnik oddaje głos. Koszt wysłania SMS-a to 1,22 zł z VAT. Na czytelników głosujących SMS-ami czekają atrakcyjne nagrody. Nominowani do nagrody Fenomen „Przekroju”:

Prefiks	Osoba
FENOMEN.1	Aga Zaryan
FENOMEN.2	Andrzej Chyra
FENOMEN.3	Barbara Wysocka
FENOMEN.4	Danuta Stenka
FENOMEN.5	Justyna Bargielska
FENOMEN.6	Macio Moretti
FENOMEN.7	Marcin Maciejowski
FENOMEN.8	Mikołaj Ziółkowski
FENOMEN.9	Paweł Mykietyn
FENOMEN.10	Grzegorz Niedźwiedzki
FENOMEN.11	Roman Gutek
FENOMEN.12	Mateusz Kościukiewicz

Na Fenomena „Przekroju” można głosować od wtorku 1 czerwca do środy 16 czerwca 2010 roku. Wręczenie Fenomenów „Przekroju” oraz nagród dla czytelników odbędzie się 26 czerwca 2010 roku w Krakowie. Regulamin konkursu dostępny jest na stronie www.przekroj.pl.

przetworzonej rzeczywistości jest estetycznie niepokojąco ładna. Zwykle opatrzone trafnym lub zastanawiającym komentarzem, co sprawia, że jego obrazy często upodabniają się do komiksów. Wyrazisty język artystyczny czołowego artysty Galerii Raster rodził się w czasach, gdy Marcin Maciejowski należał do Grupy Ładnie. Wtedy tworzył również „Słynne Pismo we Wtorek”. I choć nie chodzi tu o „Przekrój”, z „Przekrojem” artysta był związany od 2000 roku – ostatnio zrobił sobie przerwę, ale przez całe lata co tydzień gościł u nas na naszych łamach. Bezcenne, zwłaszcza że obrazy Maciejowskiego częściej można oglądać w Austrii i Niemczech niż w Polsce. Jeśli więc ktoś przegapił wystawę jego dzieł, która do 23 maja trwała w Muzeum Narodowym w Krakowie, proszę się nie przyznawać.

Anna Jastrzębska

Po co nam te dzieci?

MÓZG TEKST OLGA WOŹNIAK, ILUSTRACJA HOMEWORK

OTO TRZYŁATEK. NA PIERWSZY RZUT OKA NIE wygląda na tytana intelektu. W konkursie na głupie miny wygrywa w przedbiegach. W zawodach, kto wyda najokropniejszy odgłos paszczą, bez trudu zajmuje pierwsze miejsce na podium. Mistrz pytań w stylu: „Mamo, a jaką kupę będzie robił ktoś, kto je cegły?”

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu zupełnie lekceważony przez poważną naukę, która nie zadawała sobie trudu, by zaglądać do umysłów jemu podobnych. Bo co też mogłoby się tam kryć? Pusta karta, którą zapisze dopiero wychowanie – uważał filozof John Locke. Szum, chaos, zgiełk – twierdził psycholog William James. Generacje psychologów i filozofów wierzyły, że dzieci to w zasadzie trochę mniejsi i ułomni dorośli – irracjonalne, egocentryczne, nielogiczne istoty.

Jednak najnowsze odkrycia zaskakują specjalistów, którzy z coraz większym zaciekawieniem zaglądają do dziecięcych pokoi, ba!, nawet w kołyskach znajdują interesujących partnerów do badań. Okazuje się bowiem, że kilkulatek – a nawet już niemowlęta – wiedzą, obserwują, wyobrażają sobie i uczą się więcej, niż kiedykolwiek je o to podejrzewano. A im więcej naukowcy wiedzą o tym, jak działa dziecięcy umysł, tym lepiej poznają samych siebie. Bo to, że w ogóle mogą robić to, co robią, zawdzięczają temu, że gdzieś w głębi mózgu nie do końca wydorosli.

Kruczeta i kurczeta

Zanim jednak dotarli do konkluzji z poprzedniego zdania, postavili kilka fundamentalnych pytań, które najprościej streścić w takim oto problemacie: po co ludzkości w ogóle potrzebne są dzieci? I nie, nie

chodziło im wcale o kwestię reprodukcji, przetrwania gatunku, ciągłości genetycznej. Wiedzieli bowiem dobrze, że wszystkie te potrzeby fantastycznie realizują się także u zwierząt, dla których dzieciństwo nie jest długim okresem całkowitej zależności od swych potwornie zmęczonych rodziców. Szło im raczej o to, dlaczego gatunek *Homo sapiens* pokornie godzi się na wieloletnie hodowanie hałaśliwych, roszczeniowych stworzeń, ze strony których oprócz pasienia gęsi (a i to dopiero w odpowiednim wieku) nie ma żadnego pożytku?

Odpowiedź, jaką przyniosły badaczom lata dociekań i eksperymentów, zaskoczyła ich samych. Z odkryć bowiem jasno wynika, że dzieci są *Homo sapiens* potrzebne do tego, by bez przesadnej skromności mógł on mówić o sobie, że jest... *sapiens*.

Wyróżniająca człowieka inteligencja to wynik długiego okresu niedojrzałości nazywanego przez nas dzieciństwem – twierdzi z przekonaniem wybitna psycholog, profesor Alison Gopnik, która udowodnieniu tego stwierdzenia poświęciła swą zawodową karierę i dwie fantastyczne książki: „Naukowiec w kołysce” i wydaną niedawno w USA „The Philosophical Baby”. Wystarczy popatrzeć na inne gatunki zwierząt – argumentuje Gopnik i podsuwa przykłady kruka oraz kury. Pierwszy to gniazdownik. Jego małe kruczeta po wykuciu się z jaja są niedołężne i wymagają opieki rodziców. Z kolei pisklęta kury – wręcz przeciwnie – szybko po opuszczeniu skorupki rozpoczynają samodzielne życie. Porównajmy ich rozwój – proponuje psycholog.

Małe kruki, które w dzieciństwie pod opieką rodziców mają czas na naukę i poznawanie świata, jako dorosłe ptaki osiągają

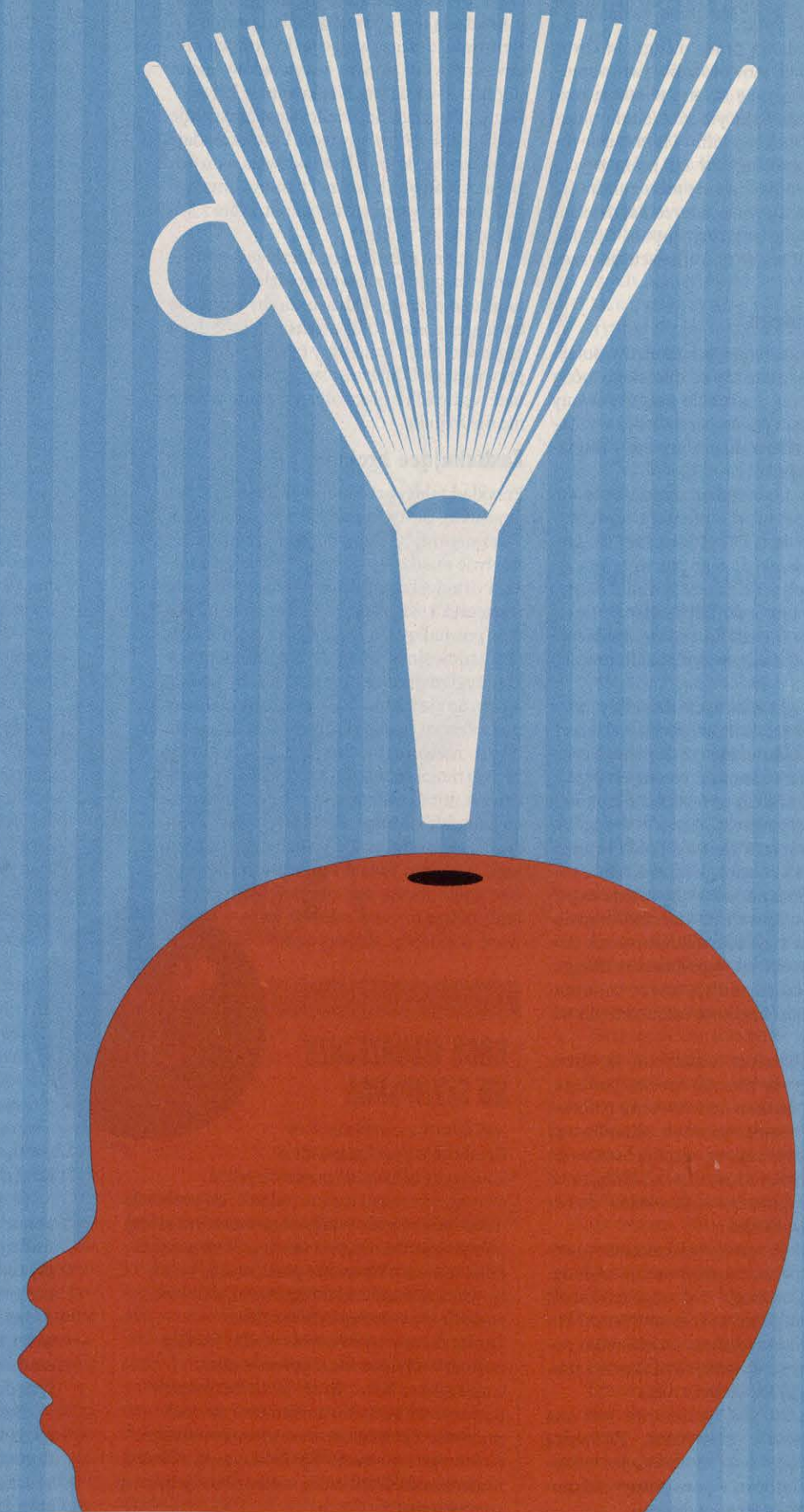
Są doskonale zaprojektowane do swej ewolucyjnej roli: zarazem kompletnie bezużyteczne i zaskakująco błyskotliwe. Dzięki nim opanowaliśmy ogień i rozszczepiliśmy atom. Dzieci – koło napędowe ludzkiej inteligencji

poziom inteligencji porównywalny z inteligencją małp naczelných (patrz ramka). Tymczasem kury dorastają szybko, by z niezbyt imponującymi zdolnościami skończyć raczej w garnku jako rosół niż na okładce pisma „Science”. – Dzieci są celowo całkiem bezużyteczne i zależne od dorosłych – stwierdza psycholog. – Ponieważ nie muszą zajmować się tym wszystkim, co robią dorośli: polowaniem, flirtowaniem, walczeniem, uciekaniem, mają mnóstwo czasu na odkrywanie zasad rządzących światem i eksplorowanie wszystkich możliwości, jakie on oferuje.

Bystre niemowlaki

Nie znaczy to jednak wcale, że dzieci zjawiają się na świecie bez żadnej wiedzy na jego temat. Nawet noworodki umieją naprawdę sporo.

Do niedawna naukowcy uważali na przykład, że dopiero dwulatki uczą się naśladowania i dzięki temu rozwijają podstawowe umiejętności społeczne. Z pantafiku zbił ich Andrew Meltzoff z Institute for Learning and Brain Sciences Uniwersytetu Waszyngtona, wybitny psycholog dziecięcy, który



→ zauważył, że gesty i mimikę noworodki naśladowały już po mniej więcej 40 minutach po przyjściu na świat.

Z kolei badania pracy mózgu 14 dwu- i trzydniowych noworodków za pomocą EEG pokazały, że są one w stanie rozpoznawać rytm. Śpiącym maluchom puszczano prosty rockowy riff. W tym czasie rejestrowano przebieg ich fal mózgowych. Gdy w rytmie pojawiały się nieregularności, na przykład brakowało uderzenia, dziecięcy mózg wysyłał wyraźny impuls. Sygnał, że spodziewał się w tym miejscu usłyszeć coś innego.

Ciosanie mózgu

– Dzieci wyposażone są w kompletny, potężny, ale całkowicie różny od dorosłego mózg i umysł. Jest on doskonale przystosowany do roli, jaką na tym etapie rozwoju wyznaczyła mu ewolucja: do uczenia się – tłumaczy Alison Gopnik.

W mózgu noworodka znajduje się sto miliardów neuronów – niemal tyle, ile wynosi liczba gwiazd Drogi Mlecznej. To także spory naddatek, dlatego pierwsze lata życia dziecka upływają na ociosowywaniu mózgu ze zbędnych komórek. Tak kształtuje się jego ostateczna forma. Za proces rzeźbienia umysłu odpowiada zewnętrzne środowisko dziecka.

W pierwszym roku życia dziecięcy mózg powiększa się trzykrotnie, do niemal trzech czwartych wielkości mózgu dorosłego człowieka. Ogromne tempo przyrostu jest przede wszystkim skutkiem wyrastania z komórek nerwowych wypustek: aksonów i dendrytów, oraz tworzenia się wokół nich ochronnej izolacji, tak zwanej mieliny. Każda z milionów komórek nerwowych próbuje za pomocą owych wypustek nawiązać jak najwięcej kontaktów z sąsiadkami. Neuron nie może sobie pozwolić na wypadnięcie z obiegu. Te bowiem, które omijają ważne informacje, po pewnym czasie są bezlitośnie likwidowane.

Nowe połączenia testowane są przez mózg uczący się nowych rzeczy, podlegający nowym doznaniom. A wtedy przecież wszystko jest nowe. Kolorowa zabawka nad łóżeczkiem, twarz mamy, ciepło pluszowego misia, smak soku z marchewki. Mózg musi to zrozumieć i ponazywać, powkladać do odpowiednich szufladek.

To stymuluje rozwój systemu nerwowego, który na początku przypomina zakładanie sieci telefonicznej. – Od czego ten kabel? Och, chyba od widzenia kolorów? A ten? Pozwala czuć ciepło i zimno. Dzięki temu połączeniu słyszę kołysankę. Ta droga zaś prowadzi donikąd. Do śmieci z nią!

Tak powstaje sieć neuronowa. Jest ona wtedy niebywale plastyczna. Zachodzą w niej ciągle poprawki, modyfikacje i uaktualnienia w zależności – powtórzmy – od otoczenia, w którym wzrasta dziecko.

– Umysły małych dzieci to umysły naukowców. Ciągłe testują rozmaite hipotezy, sprawdzają teorie. Przebudowują swoją wizję świata, dostosowując ją do nowych faktów – mówi w jednym z wywiadów Alison Gopnik. A w książce „Naukowiec w kołysce” pisze: „To, czego doświadczamy, oddziałuje na to, co już wiemy o świecie, i w efekcie daje nową wiedzę, która z kolei pozwala nam doświadczać nowych rzeczy i tworzyć oraz weryfikować nowe przewidywania, które z kolei dają nową wiedzę”.

Ulubioną metaforą badaczki jest porównanie rozwoju poznawczego dzieci do okrętu mitologicznego Odyseusza: by w trakcie trwającej ponad 10 lat wędrówki móc dalej żeglować, Odyseusz zmuszony był raz po raz naprawiać i odbudowywać swój statek. Pod koniec wędrówki z pierwotnego okrętu prawie nic nie zostało.

Zaskakujące brokuły

Przykład takiej przebudowy? Eksperyment psychologa Betty Repacholi z Uniwersytetu Waszyngtona. Postawiła ona przed dziećmi dwie miseczki – w jednej były herbatniki, w drugiej brokuły. Badaczka spróbowała ciasteczek i skrzywiła się z niesmakiem. Potem posmakowała brokułów i zrobiła bardzo zadowoloną minę. Następnie poprosiła przyglądające się temu dzieci, by podały jej coś do zjedzenia. 14-miesięczne maluchy podawały jej ciasteczka, bo dzieciom na tym etapie rozwoju nie przychodzi do głowy, że inni mogą lubić coś innego niż one same (nawet mimo zademonstrowania preferencji badaczki). Mózgi dzieci starszych o cztery miesiące odkrywają jednak coś niezwykłego – że inni ludzie lubią rzeczy, których one same mogą nie cierpieć. Dlatego półtoraroczne szkraby zawsze podawały eksperyment-



KRUK MĄDRZEJSZY OD SZYMPANSA

NAUKOWCY Z UNIVERSITY OF Cambridge oraz Queen Mary University of London postawili przed czterema krukami trudne zadanie: do próbki nalali bardzo mało wody, po powierzchni której pływała pyszna nieżywa mucha. Obok położyli kilka kamieni. Wszystkie ptaki wpadły na to, by wrzucać kamienie do próbki, aż owad znajdzie się w zasięgu ich dziobów. Zanim zaczęły wydobywać owada, zbadały poziom wody, patrząc najpierw z góry, a następnie z boku. Kruki potrafią również posłużyć się haczykiem zostawionym obok próbki z jedzeniem, by wydostać smakołyk, do którego nie sięgają. Spośród innych zwierząt z takimi zadaniami radzą sobie tylko szympansy i orangutany.

tatorce brokuły, których same dobrowolnie by nie tknęły.

Inne doświadczenie unaocznia jeszcze bardziej fundamentalną przemianę w umysłach dzieci. Naukowcy pokazują maluchom pudełko, w którym zawsze są cukierki. Tym razem jednak umieszczono w nim... kredki. Kiedy badacz pyta dzieci, czego będą oczekiwać ich koledzy, kiedy pokaże się im zamknięte pudełko, czterolatki odpowiedzą: cukierków. Ale jeszcze trzylatki oświadczają: kredki. Co więcej, same będą twierdzić, że spodziewały się w nim kredki, choć to nieprawda. Czy to znaczy, że młodsze dzieci są głupsze?

Nie. Po prostu nie nabyły jeszcze umiejętności, którą naukowcy nazywają teorią umysłu. To system pojęć, który umożliwia nam wyciąganie wniosków o stanie umysłu innych. A to – wbrew pozorom – wcale nie jest łatwe. Procesy zachodzące w umyśle innego człowieka są bowiem nieobserwowalne, możemy się ich domyślać tylko na podstawie jego mowy ciała, wypowiedzi, zachowania. W przewidywaniu, co inni myślą czy czują, pomaga nam doświadczenie wynikające z kontaktów społecznych, no i uświadamianie sobie własnych stanów umysłu.

Podobne rozumowanie jest też podstawą do pojmowania znaczenia intencji, kłamstwa i przenośni. Dlatego małe dzieci są dosłowne i raczej kłamsko kłamią. Kłamanie bowiem zakłada, że inni ludzie mają jakieś przekonania. I że możemy je zmieniać przez modyfikację własnego zachowania lub elementów rzeczywistości. Przekonującymi oszustami stajemy się dopiero w okolicach czwartych urodzin.

Ślepi na zmiany

Niezwykła organizacja dziecięcych mózgów sprawia, że dzieci to fantastyczni uczniowie, ale fatalni z nich planiści. Maluchy są niezwykle kreatywne, mają nieograniczoną wyobraźnię, ich umysły cechuje chłonność, ale przewidywanie? Konsekwencja? Skupienie?

O właśnie. Wśród wielu dorosłych pokutuje przekonanie, że dzieci nie potrafią się skoncentrować. – Sprezycujemy to – mówi Alison Gopnik. – Dzieci nie potrafią się skupić na pojedynczym zadaniu. Ale w koncentracji uwagi to ho, ho! – są dużo lepsze od nas. Przestańmy tylko patrzeć na nie jak na małych dorosłych.

Badaczka lubi powtarzać, że uważa dzieci za jak światło latarni, uwagę dorosłych zaś za ciemny latarka. My odrzucamy wszelkie bodźce, które przeszkadzają nam w wykonaniu konkret-



Choć nie umieją jeszcze mówić, ich mózg wie, czego chce. Dzięki EEG możemy podglądać myśli dzieci

mniały dzieciństwo. Różnicę pokazuje analogia komputerowa. Są takie inteligentne systemy komputerowe, które bardzo dobrze się uczą. A system uczy się tym lepiej, im więcej możliwości może zbadać. Nie jest jednak zbyt szybki w rozwiązywaniu konkretnych problemów. Tu lepiej sprawdza się ten, który nie eksploruje, lecz używa gotowych algorytmów. To właśnie jest to, co serwujemy dzieciom w szkole: algorytmy, suche fakty, żadnego eksperymentowania, fantazjowania, wnioskowania z doświadczenia. I umysły dzieci na tym się zacinają.

Bo do tego, czego chcemy od nich w szkole, one będą w pełni gotowe za... 20 lat. Wtedy bowiem w pełni dojrzewa część mózgu odpowiedzialna za racjonalne myślenie, przewidywanie i planowanie, czyli płaty przedczołowe.

Bawić się światem

– Nauka nie powie, jak uczynić dzieci mądrzejszymi – uprzedza Alison Gopnik wszystkich rodziców, którzy tego właśnie będą szukać w jej książkach. – One są tak mądre, jak tylko mogą być. Odkrycia dotyczące rozwoju dziecięcego umysłu pokazują tylko, że opiekowanie się dziećmi, umożliwienie im nieskrępowanej zabawy, nauki, eksploracji to nie wyrobniczy obowiązek, ale kluczowe zadanie dorosłych, którzy w ten właśnie sposób przyczyniają się do doskonalenia gatunku ludzkiego. – Dzieci to dział badań i rozwoju ludzkości – konkluduje badaczka. – Dorosli zaś to jedynie produkcja i marketing.

A więc proszę: oto trzylatek. I choć na pierwszy rzut oka nie wygląda na tytana intelektu, nie dajcie się zwieść pozorom. „Naukowcy są dużymi dziećmi – pisze Gopnik. – Naukowcy są tak do brymi uczniami, ponieważ wykorzystują te same mechanizmy poznawcze, które ewolucja stworzyła z myślą o dzieciach”. Tak jak dzieci „mają swoje bogate, złożone i spójne reprezentacje świata. Mają teorie. Tak jak dzieci pomijają i ponownie interpretują fakty, które nie pasują do ich reprezentacji. Tak jak niemowlęta bawią się światem, sprawdzając na otaczających je przedmiotach różne hipotezy, tak samo naukowcy przeprowadzają eksperymenty. Stworzyliśmy im instytucje, w których zostały odtworzone warunki dzieciństwa – zapewniony czas wolny i odpowiednie zabawki. Instytucje te nazywamy nauką”.

nego zadania, dzieci zaś koncentrują się na wszystkim, co nowe, inne, intrygujące. Mają wgrany zupełnie inny program skanujący rzeczywistość. Przykładem tej różnicy może być wynik słynnego eksperymentu przeprowadzonego przez psychologa Daniela Simonsa z Harvard University. Pokazał on dorosłym ochotnikom mecz koszykówki i kazał zliczać podania piłki w jednej lub drugiej drużynie. Chyba niezbyt trudne?

Ha! Ochotnicy zatrudnieni do tego eksperymentu też tak myśleli i... wpadli w pułapkę. Po 45 sekundach meczu między graczami wolno przeszedł przebrany za gościa mężczyzna. Był widoczny na ekranie przez dobrych kilka sekund. Jak zareagowali na to widzowie? 40 procent z nich w ogóle nie zauważyło intruza.

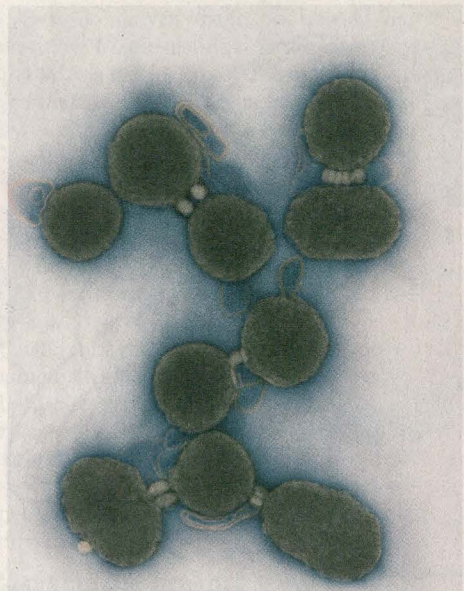
Opisane zjawisko nazywa się *change blindness*, czyli ślepotą na zmiany. W praktyce oznacza ono, że spostrzegamy znacznie mniej, niż sądzimy. Zamiast utrwalić każdy detal widzianego obrazu, wybiera-

To dzięki długiemu dzieciństwu jesteśmy tacy inteligentni. Bo dzieci to dział badań i rozwoju ludzkości. Dorosli to tylko marketing i produkcja

my to, co w danej chwili jest ważne. Dzieci robią zupełnie inaczej. Są jak cudzoziemcy, którzy na wycieczce po zupełnie nieznanym kraju z uwagą przyglądają się wszystkiemu, co nowe. Ich ogląd rzeczywistości jest jak swobodna wędrówka, nasz – jak drepnięcie po znanej ścieżce. To zresztą odpowiedź na pytanie, dlaczego – skoro umysły dzieci są tak fantastycznie zaprojektowane do uczenia się – w szkole często przestają się tak dobrze sprawdzać. Szkoła bowiem nie uczy po dziecięcemu. Jest wymyślona przez dorosłych, których mózgi już dawno zapo-

Craig Venter ulepił własnymi rękoma zupełnie nową bakterię. Przed mikroorganizmem stawia wiele ważkich zadań, wśród których zatrzymanie globalnego ocieplenia wcale nie jest najtrudniejszym

STWARZANIE KAROLINA SAWICKA



Po lewej: Nowe, sztuczne życie;
po prawej: wizjoner i megaloman
Craig Venter obserwujący
przyszłość biologii

Życie zatańczy, jak mągram

Kiedy w pewien marcowy piątkowy wieczór zespół amerykańskich genetyków opuścił laboratorium J. Craig Venter Institute, na pozostawionych tam szalkach nie było nic poza syntetycznym DNA upakowanym do jajo- wych komórek. Gdy po weekendzie naukowcy wrócili do pracy, czekały na nich żywe bakterie grupujące się właśnie w kolonie. Stworzenie od zera nowej formy życia zajęło badaczom 15 lat i kosztowało blisko 40 milionów dolarów.

Pewnie zachodzicie teraz w głowę, kto sfinansował tę nieco przydługą rozrywkę kilku szalonych naukowców i w jakim celu to zrobił. Wbrew pozorom nie o radosną zabawę tu chodzi, ale o zaprzęgnięcie posłusznych mikroorganizmów do ciężkiego kieratu w służbie ludzkości. Z szytych na miarę bakterii stworzymy kiedyś doskonałe leki i szczepionki, wdrożymy terapię genową na dużą skalę, z ich pomocą pozbędziemy się zanieczyszczeń z mórz i powietrza, a także nauczymy się skutecznie przetwarzać światło słoneczne na paliwo. Czytaliście już o tym w kilku powieściach science fiction? Niewykluczone. Książki te pisali tacy sami wizjonerzy jak doktor Craig Venter, który jest ojcem najnowszego sukcesu w dziedzinie genetyki. Kto wie, czy nie większego niż zamieszanie wokół komórek macierzystych, które mają pomagać w odzyskiwaniu utraconych fragmentów ciała, być lekiem na raka czy chorobę Alzheimera. Na razie, niestety, nie pomagają.

Skutecznie, choć bez stylu

Craig Venter to założyciel zwycięskiego laboratorium nazwanego, co znamienne, od jego własnego imienia. Zwycięskiego, bo o miano pierwszych twórców nowej formy życia ubiegało się kilka zespołów badawczych. Zmagania te w cuglach wygrał jak zwykle Venter. Jak

zwykle, bo na swoim koncie ma już pionierskie zsekwenconowanie ludzkiego genomu. Co więcej, jest to jego własny genom.

Oba sukcesy osiągnął w swoim dość bezceremonialnym stylu ocenianym przez wielu jako... brak stylu. Bo Amerykanin zmierza do celu najkrótszą drogą. Kiedy inni naukowcy skupieni wokół Human Genome Project żmudnie odszyfrowywali chromosom po chromosomie, on bez ceregieli pociął łańcuch DNA na drobne kawałki, odczytał je jak lite-

ry, po czym poskładał tę sieczkę do kupy za pomocą programu komputerowego. Wielu badaczy uznało to za nieeleganckie pójście na skróty i zdradę akademickich zasad, jednak dla Ventera liczy się skuteczność.

Teraz kontrowersyjny naukowiec z równym powodzeniem zajął się kreacją nowego życia. – Zamiast tylko czytać kod genetyczny, sami go piszemy – stwierdził ze swadą wkrótce po tym, jak w 2002 roku włączył się do wyścigu, którego celem jest zbudowanie najprost-

szego, nieistniejącego w naturze organizmu. Po ośmiu latach nabrał jeszcze więcej animuszu: – Zyskaliśmy potężne narzędzie do skłonienia biologii, by robiła to, co chcemy – powiedział podczas niedawnej konferencji prasowej.

Zaczął od eksperymentów z bakterią *Mycoplasma genitalium* bytującą w ludzkich narządach płciowych i układzie oddechowym, która zasłynęła dzięki odkryciu, iż ma zaledwie 517 genów. Naukowcy myśleli, że już mniej mieć nie można, ale gdy zaczęli stopniowo odcinać kolejne geny, okazało się, iż da się przeżyć z minimalnym zestawem 265 genów. – Życie jest więc bardziej nieskomplikowaną materią, niż przypuszczaliśmy – stwierdził Craig Venter i przystąpił do tworzenia żywego organizmu według własnego przepisu.

Bardzo wolna bakterie

Oparł się na logice działania komputera, który aby funkcjonować, potrzebuje hardware'u i oprogramowania. Z tym pierwszym nie ma większego problemu – wystarczy pozbawić komórkę bakterii jej własnego genomu. Schody zaczynają się, gdy w tworzonym organizmie trzeba zainstalować software, czyli DNA. Szykując się do tego zadania, Amerykanin przeszczepił materiał genetyczny jednej bakterii do komórki drugiej. Podobną logikę postępowania wykorzystuje się między innymi podczas klonowania. Docelowo eksperyment, a więc stworzenie autorskiej formy życia, Venter chciał przeprowadzić, syntetyzując od zera potrzebne fragmenty DNA, by następnie poskle-

WYŚCIG DEMIURGÓW – KWESTIA ZASAD

POMYSŁ STWORZENIA sztucznego życia jest tak stary jak ludzkość. By nie zanudzać wszystkich golemami, pigmionami i resztą, skupimy się na ostatnich latach. Narzędzia biotechnologiczne pozwalające na łączenie elementów nieożywionych powstały dopiero w latach 80. i 90., więc historia skutecznego tworzenia życia jest całkiem świeża. Pierwszy znaczący sukces należał do profesora Eckarda Wimmera z Uniwersytetu Stanowego

Nowego Jorku – wykorzystując gotowe nici DNA, które można zamówić w Internecie (jeden gen kosztuje około czterech tysięcy dolarów), skonstruował od podstaw wirusa polio. Kłopoty z tego odkryciem są jednak dwa. Po pierwsze, wirusy nie są jednoznacznie uważane za ożywione, ponieważ nie potrafią same się rozmnażać czy replikować. Po drugie, zbudowanie patogenu będącego sprawcą jednej z najgorszych plag XX wieku nie wszyscy uważali za powód do chwały. Venter, któ-

ry ścigał się z Wimmerem, oczywiście skorzystał z okazji, by skrytykować taki wybór wirusa, i szybko zbudował własnego wirusa – bakteriofaga phiX174 atakującego bakterię *Escherichia coli*, która w pewnych okolicznościach może wywoływać choroby. By jednak uświadomić sobie, jaka przepaść organizacyjna dzieli bakterie i wirusy, dość wiedzieć, że wirus polio zawiera kod genetyczny w postaci nici składającej się z 7500 zasad, podczas gdy nowa bakterie Ventera ma ponad milion zasad.

jać je i umieścić w pustej komórce. Niby proste, ale w trakcie badań pojawił się zasadniczy problem.

– Musieliśmy nieustannie zmagać się z tym, że *Mycoplasma genitalium* wzrasta bardzo powoli – mówi doktor Daniel Gibson, współpracownik naukowca i współautor artykułu na temat odkrycia, który ukazał się w magazynie „Science” 20 maja tego roku. – Na efekt każdego etapu eksperymentu czekaliśmy przeszło miesiąc.

Co gorsza, nie dość, że wszystko szło wolno, to jeszcze nie do końca po myśli naukowców. Genetycy wzięli się więc na sposób i porzucili niewdzięczną *Mycoplasma genitalium*. Siegnęli po większą, mniej kapryśną, a przede wszystkim szybszą bakterię *Mycoplasma mycoides*. Ten wybór okazał się strzałem w dziesiątkę.

Przepakować DNA

Całe przedsięwzięcie było dość karkołomne. Najpierw badacze pozbawili materiału genetycznego komórki bakterii *Mycoplasma capricolum*, które miały stać się pokrowcem na nowe życie. Potem kupili z innego laboratorium tworzone chemicznie fragmenty DNA i przystąpili do sklejania ich w logiczne sekwencje, tak by powstał z nich genom *M. mycoides*. Rolę łączników odegrały enzymy zaczerpnięte od drożdży i bakterii *Escherichia coli*, znane ze swych niezwykłych właściwości klejących i wykorzystywane w biotechnologii.

Jednak sukces zespołu doktora Craiga Ventera nie byłby możliwy, gdyby nie ogromny postęp w dziedzinie syntetyzowania materiału genetycznego, jaki dokonał się w ciągu ostatnich pięciu lat. Naukowcom udało się stokrotnie wydłużyć sztuczne sekwencje DNA. To tak, jakby zwiększyć sto razy upakowanie ścieżek w procesorach komputerów nie w ciągu zwykłych 15 czy 20 lat, ale z dnia na dzień. Taki skok mocy obliczeniowej mógłby przenieść nasze maszyny w trudną do przewidzenia fantastyczną przyszłość. Przeniósł ideę sztucznego życia ze sfery marzeń do rzeczywistości.

Ale nie nastąpiło to od razu. Tak jak świeżo złożony pecet często tylko zagrzęta przy pierwszym uruchomieniu, tak nowa bakterie przez całe trzy miesiące nie dawała znaku życia. Zaniepokojeni badacze przez kilka tygodni szukali błędów w liczącym ponad milion zasad genomie, lecz nic nie znaleźli. Aż wreszcie miesiąc temu w martwym do tej pory preparacie coś zaskoczyło i zaczęła się

MEGALOMAŃSKIE PATENTY

J. CRAIG VENTER NIE jest typem naukowca introwertyka zaszytego gdzieś w kącie laboratorium i dłubiącego w zrozumiałych tylko dla niego zawiłościach życia. To zupełnie nowy – podobnie jak jego bakterie – gatunek stworzenia naukowego. 64-latek z Salt Lake City traktuje naukę nie jako dobro całej ludzkości, ale jako doskonały sposób na biznes, dbając o to, by nie pozostać anonimowym. Obserwując jego troskę o własny wizerunek, wielu uśmiechało się z błaznieniem. Jednak uśmiechy zamieniły się w pełne obu-

żenia okrzyki, gdy okazało się, że biolog wynalazca zamierza patentować opracowane przez siebie organizmy. Okrzyki stały się wrzaskami, gdy Venter postanowił opatentować też odkryte przez siebie sekwencje ludzkiego DNA. To już radykalnie kłóci się z obowiązującym dziś modelem nauki otwartej, której osiągnięcia stają się dobrem ludzkości. Przeciwnicy naukowca biznesmena porównują jego praktyki do bezwzględności (ale jakże skutecznego) biznesu firmy Microsoft, nazywając jego instytut Microbesoftem.

tworzyć kolonia *M. mycoides*. To był prawdziwy przełom, choć wciąż nie wiadomo, czemu nastąpił.

– Zmieniliśmy jeden gatunek w inny – mówi z dumą Venter. I mimo jego lekkiej megalomanii, mimo utyskiwań innych biologów czy niepełnego zrozumienia całego mechanizmu został człowiekiem, który stworzył zupełnie nowe życie w kształcie, jakiego nigdy dotąd nie przybrało. A to przecież dopiero początek wszystkiego, opracowanie narzędzia, które ma szansę zmienić świat.

Bo życie stworzone na zamówienie to niemal nieograniczone możliwości. Teoretycznie można wziąć dowolną cechę z dowolnego organizmu, udoskonalić i umieścić ją wraz z innymi pożądanymi umiejętnościami w nowym ciele.

Venter jest bardzo zaangażowany w zwalczanie globalnego ocieplenia i jednym z głównych zastosowań jego nowego życia ma być opanowanie problemu gazów cieplarnianych. Zapowiada pracę nad bakterią, która pochłaniać będzie z atmosfery dwutlenek węgla i wiązać go z powrotem do postaci węglowodorów mogących służyć za paliwo. A potem zapewne przyjdzie czas na niespotykane skuteczne leki, żywność wytwarzaną przez bakterie korzystające z energii słonecznej, odporne na choroby zwierzęta. A może i ludzi? Fascynujące i straszne.

Gryzący problem

Wygląda na to, że mamy całe mnóstwo małych bzyczących kłopotów – komary przestają się bać naszych odstraszaczy

KRWIOPIJSTWO PIOTR STANISŁAWSKI

Cicho, ciemno, ciepło. I nagle tuż nad granicy snu wyrwa cię to okropne bzyczenie. Cichutki dźwięk o częstotliwości około 400 herców wwierca się w mózg, drażni, denerwuje. Machanie rękami i tłuczenie się po głowie oczywiście nie pomaga. A przecież psikałeś się tym paskudztwem w spreju, czemu więc te małe cholery wciąż chcą cię ugryźć?

Owo paskudztwo zawiera zapewne DEET – najpopularniejszy środek chemiczny odstraszający komary, kleszcze czy muchy. DEET – albo chemicznie rzecz nazywając N,N-dietylo-m-toluamid – został wynaleziony w amerykańskich laboratoriach wojskowych przypadkiem – doświadczenia II wojny światowej skłoniły armię do poszukiwania środka, który skutecznie odstraszalby to wszystko, co wysysa krew z kryjących się w gąszczu żołnierzy. Przetestowano tysiące substancji i zupełnie przypadkiem odkryto, że człowiek spryskany DEET gryziony jest z niechęcią. Ową strategiczną informację zaczęto wykorzystywać już w 1946 roku, za co błogosławili naukowców żołnierze rządzili kłaniami w czasie wojny koreańskiej. Dopiero w 1957 roku o cudownym środku dowiedział się świat. Cudownym, bo dającym nadzieję w walce z malarią, na którą obecnie co roku zapada 220 milionów osób, a umiera około 2 milionów – głównie małych dzieci.

Moje jedzenie śmierdzi!

Choć przez te wszystkie lata ludzkość korzystała ze środków zawierających DEET, na-

ukowcy wciąż nie wiedzieli, dlaczego komary mniej chętnie gryzą przyskanych. Przez lata obowiązywała wersja mówiąca, że substancja w tajemniczy sposób poraża zmysł węchu owadów, maskując zapach kwasu mlekowego, który jest jednym z głównych składników aromatycznych potu, i sprawia, że małe upierdliwce po prostu nas nie zauważają. Z czasem jednak okazało się, że sama eliminacja kwasu wcale nie zniechęca komarów do gryzienia, a w dodatku przy lokalizowaniu ssących ciał posługują się one mechanizmami wykrywania ciepła.

Przełom przyniosły badania z 2008 roku. Naukowcy zdołali podłączyć małe elektrody do komarych czułków będących narządami węchu. Zidentyfikowali na nich fragmenty reagujące na DEET i ku swojemu zaskoczeniu stwierdzili, że pojawienie się tej substancji nie tylko niczego nie maskuje, ale wręcz bombarduje komarzy mózg impulsami. Wniosek był jeden – dla tych owadów DEET po prostu okropnie śmierdzi. A kto by chciał jeść coś przeraźliwie cuchnącego?

Tyle że z tym komarzym jedzeniem sprawa jest bardziej skomplikowana. Jak wiadomo, krew wypijają z nas komarzyce. Samce, jakże romantycznie, żywią się głównie nektarem kwiatów. Ale i samice nie zajmują się tylko tropieniem Bogu ducha winnych ssaków. Krew jest im potrzebna tylko do tego, by złożyć dużo jajek, z których wylęgnie się dużo silnych komarząt. Na co dzień, zamiast ryzykować życie, samiczki wolą się spokojnie opijać roślinnym pokarmem.

Jeśli komarzycy nie zdoła się napić krwią, to i tak złoży jajka, jednak mniej liczne, a wylęgające się z nich larwy będą miały mniejsze szanse przetrwania. I tu wkracza dobór naturalny. W miejscach, gdzie głównym źródłem krwistego posiłku są ludzie spryskani DEET, komarów jest mniej, bo zniechęcone samice rezygnują z klucza. Wyobraźmy sobie jednak, że trafia się tam komarza mutantka, która smrodu odstraszacza nie czuje. Niezrażona pije do woli i składa więcej lepszych jajek. Wylęgają się z nich komary, z których część znowu nie będzie czuła DEET, a tym samym będzie miała większe szanse na posilek i dobre potomstwo. W ciągu kilkunastu pokoleń zacznie rosnąć liczba mutantów, a nasz cudowny środek przestanie być użyteczny.

Na razie taki mechanizm zaobserwowano w laboratorium, gdzie sztucznie wybierano do dalszego rozmnażania samice nieczujące smrodu. Na świecie taka mutacja też już się pojawiła, i to w kilku miejscach. Zdaniem naukowców jej rozpowszechnienie się – oczywiście najsilniejsze tam, gdzie najobficiej spryskujemy się DEET – to kwestia czasu.

Pogodzić się z DDT

Czy to znaczy, że w ciągu kilku lat znowu staniami się bezbronni i wystawieni na żądanie krwi kłujaco-ssące aparaty gębowe? Tak i nie. Tak, bo DEET pozostaje najpopularniejszym środkiem odstraszającym, a komarza mutacja dobrze sobie z nim radzi. Nie, bo – po pierwsze – pojawia się ona tylko u niektórych z ponad trzech i pół tysiąca gatunków komarów,

a po drugie – ludzkość nie pozostaje bezczynna. Od kilku lat używa się też innych repelentów – między innymi uważanej za równie skuteczną pikarydiny wprowadzonej do sprzedaży w 2001 roku. Ostatnim odkryciem jest substancja uzyskiwana z pieprzu, która wydaje się nawet skuteczniejsza niż DEET. Na razie pozostaje jednak w fazie testów.

Wszystkie znane środki odstraszające mają jedną właściwość – im więcej zawierają substancji aktywnej, tym dłużej i skuteczniej działają. Co charakterystyczne, środki sprzedawane na naszym rynku zawierają zwykle około 15–20 procent DEET czy pikarydiny, a podobne, które kupimy w tropikach – 70 procent. Wojsko używa nawet żółtego oleju będącego czystym DEET, choć ma on przykry zwyczaj rozpuszczania wielu plastików i może wywoływać silne reakcje alergiczne.

Jednak wszystkie te metody to półśrodki – komary zostają zniechęcone, ale rzadko kiedy zupełnie odstraszane. A w strefach okolorowników wystarczy jedno ugryzienie, by zarazić się malarią, żółtą febrą, dengą, tularemią czy wirusowym zapaleniem mózgu. Tam przydałaby się masowa eksterminacja, a do tego trzeba metod radykalnych. Takich jak DDT – silny środek owadobójczy stosowany masowo od połowy lat 40., którego odkrywcą otrzymał nawet Nobla. W latach 60. wybuchł jednak skandal wywołany doniesieniami o fatalnym wpływie DDT na populację zwierząt i zdrowie ludzi. Zakazano używania tego środka, chociaż późniejsze badania nie w pełni potwierdziły wcześniejsze obawy (więcej w ramce). Tymczasem rezygnacja ze stosowania DDT szybko doprowadziła do ponownego wybuchu zachorowań na malarię. Na Sri Lance przed rozpoczęciem używania DDT chorowało około trzech milionów osób rocznie. Po jego wprowadzeniu liczba ta spadła do kilkunastu przypadków. Wycofanie substancji spowodowało, że szybko liczba chorych znowu sięgnęła dwóch milionów.

Komarzy problem, który dla nas sprostawa się do swędzących kropek, w rzeczywistości jest wyzwaniem, z którym będziemy musieli się uporać w najbliższych latach. Być może, gdy ocieplenie klimatu przesunie granice występowania malarii o kilka tysięcy kilometrów na północ, okaże się, że DDT jest jednak całkiem dobrym rozwiązaniem?



TEŻ PYTANIE!
Zadaj pytanie, odpowiemy na nie. Jeśli coś cię nurtuje, ale nie wiesz, kogo zapytać, pisz na adres nauka@przekroj.pl. Za najciekawsze pytania przyznajemy nagrody

URSZULA DĄBROWSKA



2. DLACZEGO ŁATWIEJ WYTRZEĆ SIĘ LEKKO WILGOTNYM RĘCZNIKIEM NIŻ ZUPEŁNIE SUCHYM?

Za to zjawisko odpowiada napięcie powierzchniowe – właściwość wody, która sprawia, że pojedyncza kropla przyjmuje taki kształt, by mieć jak najmniejszą powierzchnię. Ta z kolei jest dość sprężysta i należy użyć relatywnie dużo siły, by ją naruszyć. Na naszym ciele woda stara się skupić w pojedyncze krople, a suche ręczniki kłopotliwie sobie z nią radzą. Czemu wycieranie wilgotnym ręcznikiem idzie lepiej? Bo mikrokropelki z tkaniny zlepiają się z kroplami na skórze. Włókna nie muszą już przebiegać przez powierzchnię wodnych kulek i czekać, aż cząsteczki płynu wnikną w strukturę materiału. Jeśli ręcznik jest już trochę mokry, to wycieranie ciała jest po prostu dalszym nasączeniem włókien.

3. DLACZEGO I OD KIEDY NOWY JORK NAZYWANY JEST WIELKIM JABŁKIEM?

Gdybyśmy mówili o człowieku, a nie mieście, odpowiedź byłaby prosta: zaburzenia osobowości i megalomania. Bo jak nazwać kogoś, kto wyznał sobie pseudonim Wielkie Jabłko (Big Apple). Można w tym doszukać się nawet kompleksu młodszego brata. W końcu York jest starszy o 1600 lat, a to musi robić wrażenie na amerykańskim berbeciu – zaledwie 400-letnim. Ale do rzeczy. Legenda głosi, że autorem ksywki był dżokej, który zamarzył, by wystąpić w „wielkim jabłku”, mając na myśli wyścigi w Nowym Jorku. Czemu tak się wyraził? W latach 20. XX wieku

w żargonie jeździeckim „jabłko” było określeniem wszystkich wyścigów. Natomiast zawody w NY uważano za najbardziej prestiżowe w tej części USA. Nazwę tę podchwycił dziennikarz sportowy z „New York Morning Telegraph” John Fitzgerald i wykorzystywał ją w swojej kolumnie. Powszechnie nie była jednak używana. Jedynie w latach 40. Wielkim Jabłkiem nazywali Nowy Jork, a zwłaszcza Harlem, muzykę jazzową. Dopiero kampania miejska z 1971 roku przebiła się z tą nazwą do świadomości mieszkańców i turystów. Wyobrażenie soczystego jabłuszka miało przyćmić wiele negatywnych skojarzeń związanych wtedy z NY.

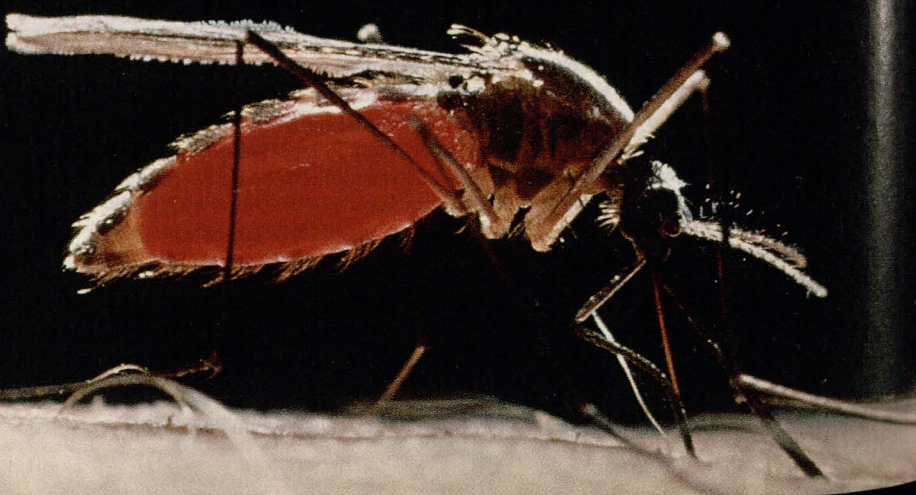


Nasze nagrody – książki

J. Brockman „W co wierzymy, choć nie potrafimy tego dowiedzieć”, J. Brockman „Co napawa nas optymizmem, czyli dlaczego jest dobrze, a będzie lepiej”, C. Tavis, E. Aronson „Błądz wszyscy (ale nie ja)” – wydawnictwo Smak Słowa; A. Gawande „Komplikacje” – wydawnictwo Znak. Co tydzień przyznajemy jedną nagrodę

DDT – GROZA CZY NADZIEJA?

Kampania, która zakończyła się zakazaniem stosowania DDT, rozpoczęła się od sygnałów, że związek niszczy skorupki jaj ptaków. Potem posypały się informacje o jego szkodliwości dla ludzkich płodów czy rakotwórczości. Prowadzone po latach badania potwierdziły część tych obaw, jednak wiele, jak kancerogenność, nie wydaje się prawdziwych. O jednym trzeba pamiętać – DDT to trucizna, pestycyd i jako taki wymaga szczególnej ostrożności.



KORZYSTAJ

DZIECI W SIECI
PODRÓŻE
MAŁE I DUŻE
I ZNAMIONA
NA RAMIONACH

INTERNET

Wirtualny miś z okienka

Internet i dziecko to może być całkiem dobre połączenie. Spróbuj

Dziecko w podróży to najbardziej wymagające i niecierpliwe stworzenie świata. Jednym ze sposobów na ułaskanie potwora jest wpuszczenie go do Internetu – oczywiście w warunkach kontrolowanych, na specjalnie przygotowane serwisy. Oto kilka propozycji, które

re powinny zająć każdego malucha od 3. do 10. roku życia co najmniej na 3 tysiące kilometrów. I nie ludy się: to, że ty nie pokazasz mu Internetu, wcale nie oznacza, iż twój potomek nigdy tam nie trafi. Może więc lepiej, jeśli pierwszy kontakt z siecią nastąpi pod kontrolą rodziców. □

>> WSIADAJ DO CIUFCI

Ciufcia.pl

Wśród polskich stron prym wiedzie Ciufcia. Wsiadając do kolejnych wagoników, trafiamy do świata zabaw dla coraz starszych dzieci (podróż mogą rozpocząć już dwulatki). Najmłodsze nie muszą umieć używać myszki, by cieszyć się nadmuchiwaniami wirtualnych baloników czy chlapaniem



farbami po ekranie. Gry uczą koncentracji, koordynacji oko-ręka i dają sporo frajdy.

Obecność mamy czy taty nieobowiązkowa, ale dużo fajniej jest bawić się razem.

Buliba.pl

Tu znajdziemy całkiem spory zbiór zabaw edukacyjnych dla dzieci. Sporo jest takich, które rozwijają umiejętność zapamiętywania kształtów i kolorów, zmuszają maluchy do podejmowania samodzielnych prób liczenia. Gdy jednak to się znudzi, mamy czas na wspólne śpiewanie wraz z misiem

>> ŚPIEWAJ Z BU



Bu, wirtualnym opiekunem serwisu. A przy okazji poznawania jego

ulubionego tańca nauczymy dziecko nazywać poszczególne części ciała.

>> RYSOWANIE NA EKRANIE

Kolorowaneczki.pl

Lubiącym tradycyjne zabawy z kredkami świecowymi polecić możemy jeden z licznych serwisów oferujących wydrukowanie gotowych szablonów. Kolorowanki podzielone są na grupy tematyczne, tak byśmy dla swojego potomka wybrali rysunek nie tylko zgodny z jego



zainteresowaniami, ale także o odpowiednim stopniu trudności. Kolo-

rowanki dostępne są i dla wielbicieli Barbie, i fanów superbohaterów.

>> POMALUJ TO JESZCZE RAZ, SAM

Coloring.com

Komputer pozwoli dziecku na to, czego nie dadzą mu kredki i kartka – oto można zmieniać barwy już raz pomalowanych elementów. Zabawa wciągnie nawet te maluchy, które w realu nie przepadają za rysowaniem, i podbuduje samoocenę tych, które w szale tworzenia



ciagle wyjeżdżają za linię. Właściciele serwisu chwala się, że dziennie

obróbce małych artystów podlega 60 tysięcy obrazków. Sprawdź ich!

>> DOROŚLI LUBIĄ SEZAMKI

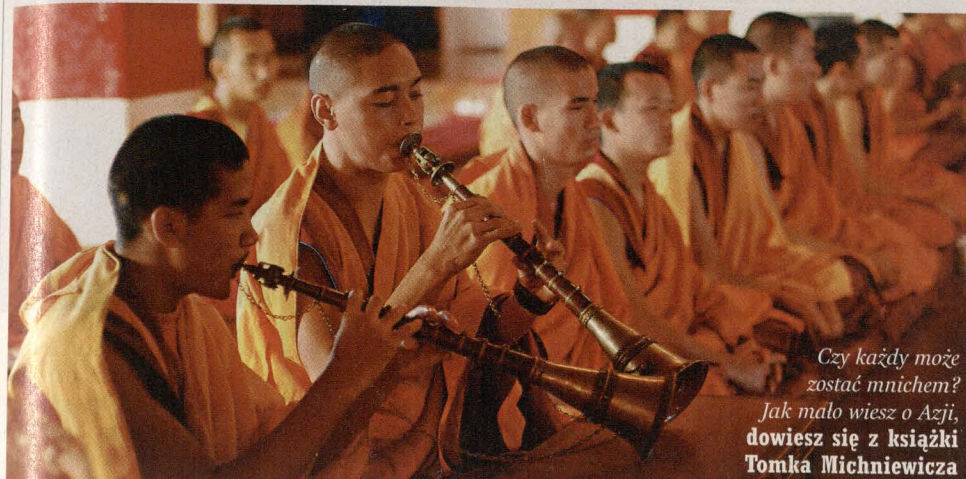
Sesamestreet.org

Nasze dziecko nie musi oczywiście znać języka angielskiego. Jednak rodzice, przeglądając samodzielnie propozycje zamieszczone na wirtualnej ulicy Sezamkowej, mogą znaleźć podpowiedzi, jak w ciągle nowy i nowszy sposób zająć swe pociechy. Bo przecież chyba



tylko szukaniem podpowiedzi i inspiracji można wytłumaczyć nagle

skoki oglądalności tego serwisu w godzinach nocnych...



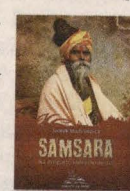
Czy każdy może zostać mnichem? Jak mało wiesz o Azji, dowiesz się z książki Tomka Michniewicza

CZYTAJ

Granice wytrzymałości

Szukasz magii? W „Samsarze” Tomka Michniewicza pościg za lewitującymi joginami przeradza się w przygodę. Właściwie setkę przygód

Co można napisać o książce podróźniczej? Że jest interesująca? Że z humorem opisuje niezwykle przygody w egzotycznych krajach? Że pokazuje niecodzienne postacie, a główny bohater jest odważny i błyskotliwy? No cóż, takie omówienie „Samsary” – mimo że prawdziwe – prawdopodobnie nikogo nie uwiedzie. A szkoda. Bo historia, którą serwuje nam Tomek Michniewicz, to prawdziwa pełnometrażowa bajka dla dorosłych. I to oparta na faktach. Są tu upadające monarchie, zamieszki, maistyczne obozy wojskowe, pustelnie, dżun-



Tomek Michniewicz, „Samsara. Na drogach, których nie ma”, Wydawnictwo Otwarte, 2010

gle, wielkie nowoczesne miasta, trujące rośliny, niebezpieczne zwierzęta i podejrzani autochtoni. Bywa śmiesznie, bywa przerażająco. Strona po stronie, rozdział po rozdziale. Jednym słowem: dzieje się. Wszystko napisane w lekkim, blogowym stylu (co dla niektórych może być wadą) z żywymi dialogami i bystrymi puentami. I tak do ostatniego akapitu. Ale to wcale nie koniec. Bo na stronie www.otwarte.eu/samsara czekają na nas dodatkowe materiały. Komentarze i porady dla tych, którzy planują wyjazd do Azji, oraz setki doskonałych fotografii.

— urs

Badaj znamiona!

Zanim stęskniony za słońcem wystawisz się na jego promienie, idź do dermatologa

Powinno to zrobić przede wszystkim te osoby, których skórę pokrywają przebarwienia i znamiona. Ogromna większość z nich może być zupełnie niegroźna – ot, taka uroda. Ale wystarczy, by tylko jedno okazało się początkiem nowotworu, i możesz być w niebezpieczeństwie! Zwłaszcza jeśli będzie to czerniak złośliwy. Jak sama nazwa wskazuje, nie jest to łagodny nowotwór. W zasadzie jest jednym z najzłośliwszych. Nieleczony zabija. Wcześniej rozpoznany jest uleczalny w 90 procentach. Dlatego warto się badać. Lekarz oceni nasze znamiona za pomocą specjalnej lupki – diaskopu. Czasem może zdecydować, że podejrzane znamię należy usunąć. To szybki i bezbolesny zabieg przeprowadzany w znieczuleniu miejscowym. A teraz jest okazja, by zbadać się za darmo. Oto bowiem firma La Roche-Posay wraz z Polskim Towarzystwem Dermatologicznym po raz kolejny organizuje akcję „Badaj znamiona” mającą na celu profilaktykę zachorowań na czerniaka. Badania przeprowadzają wybrane gabinety

lekarskie. Ich adresy można znaleźć na stronie www.badajznamiona.pl. Masz na to czas do 30 czerwca.

— OWO

BADAJ
ZNAMIONA!

DZIEŃ WALKI Z CZERNIAKIEM

EUROmelanomaDAY



REKLAMA

Chopin
dzieciom



BAWI
UCZY
ROZWIJA

2CD

ALBUM UMILI DZIECIOM ZABAWĘ,
ZAPOZNA Z MUZYKĄ FORTEPIANOWĄ
I UKOŁYSZE DO SNU.

W tym tygodniu:
DRUKUJEMY NIEZNANE BAJKI ERNY ROSENSTEIN,
ODKRYWAMY DZIEJE POLSKIEJ FOTOGRAFII,
PRZEŚWIETLAMY FESTIWAL W GDYNI,
ROZMAWIAMY Z RYSZARDEM HOROWITZEM
I WPATRUJEMY SIĘ W LUCIANA FREUDA



CZYTASZ DZIECKU? CZYTAJ MĄDRZE

CZYTANIE OLGA WOŹNIAK

POWSTAJĄ Z NIEZGODY NA KICZ I OGŁUPIANIE
MAŁYCH CZYTELNIKÓW. SĄ NAPRAWDĘ PIĘKNE. ZABAWNE,
ŚWIEŻE, CZASEM TROCHĘ NOSTALGICZNE. ZUPEŁNIE NOWE
KSIĄŻKI DLA DZIECI. WARTO JE ODKRYĆ

W POSZUKIWANIA „ELMERA” WŁĄCZYŁA SIĘ RODZINA I ZNAJOMI. SPRZEDAWCY W KSIĘGARNIACH JEDYNE WZRUSZALI RAMIONAMI, NA INTERNETOWYCH AUKCJACH ANI WIDU, ANI SŁYCHU. ANTYKWARIATY? BEZ SZANS. ELMER, SŁOŃ W KRATKĘ, JAKBY ZAPADŁ SIĘ POD ZIEMIĘ. TYMCZASEM W DOMU NARASTAŁA ROZPACZ. „ELMER I ZAGINIONY MIŚ” PO GODZINACH WERTOWANIA ZACZĄŁ TRACIĆ KARTKI (KIEDY TYLKO DOSTRZEĞAŁ OZNAKI POSTĘPUJĄCEGO ZUŻYCIA, KUPIŁAM DRUGI EGZEMPLARZ, PÓKI JESZCZE MOŻNA GO BYŁO DOSTAĆ). „ELMERA I WILBURA” MOĞAŁ RECYTOWAĆ Z PAMIĘCI WYRWANA Z NAJGŁĘBSZEGO SNU.

Wreszcie postanowiłam sięgnąć do samego źródła. Co się stało z pierwszą częścią „Elmera?” – spytałam Ewę Stiasny, współwłaścicielkę wydawnictwa Dwie Siostry, które opublikowało tę książkę. Nakład się wyczerpał. Będzie dodruk? – Staraliśmy się ją sprzedać przez cztery lata – pada odpowiedź. – Wydaliliśmy tę pozycję w trzech tysiącach egzemplarzy.

Kłopot polega więc na tym, że moje dziecko odkryło Elmera dopiero w zeszłym roku. Dlaczego jednak w Polsce przygody słonika w kratkę nie zaskoczyły, skoro to klasyka literatury dziecięcej, światowy bestseller przetłumaczony na 30 języków, sprzedany w ponad czterech milionach egzemplarzy? – Może dlatego, że to była nasza pierwsza książka – zastanawia się Ewa Stiasny. – Nie miałyśmy doświadczenia, dopiero poznawałyśmy rynek.

A na rynku książki dziecięcej wcale nie jest łatwo. I to nie tylko niewielkim firmom wydawniczym. Przede wszystkim nie jest łatwo rodzicom. Zwłaszcza tym, którzy nie chcą się pogodzić z estetyką disneyowskich książeczek, których stopy zalegają w supermarketach. Rodzicom, których bolały zęby, gdy muszą dzieciom odczytywać częstochowskie rymy fatalnie zredagowanych „produktów książkopodobnych”. Jak więc – mając w sobie niezgodę na plastyczny kicz i fatalny język – wprowadzać dziecko w świat książek? Co kupować cztero-, pięciolatki, który zamęcza prośbami o przeczytanie na dzień dobry i dobranoc?

Na szczęście takich zbuntowanych jest więcej. A niektórzy z nich mają w sobie więcej woli walki od narzekających jak ja. I to właśnie oni stworzyli zupełnie alternatywny świat wydawniczy, w który można się zanurzyć z oddechem ulgi. To dlatego, kiedy po koszmarnych przeróbkach znanych bajek ilustrowanych seledynowo-różowym lukrem trafiam na „Elmera”, jest we mnie tyle desperacji. Parę tygodni poszukiwań, węszenia po Internecie, nasłuchu poczy pantoflowej i już wiem, gdzie i czego szukać.

– Pani też jest z tych, co to spaczają dzieci? – pyta mnie Magdalena Kłos-Podsiadło, właścicielka wydawnictwa Wytwórnia. Opowiada, jak na ostatnich targach książki koło jej stoiska zatrzymała się starsza pani i powiedziała zgorszonym wzrokiem po książkach. Wzięła do ręki wydanie wierszy Tuwima opatrzonego rysunkami przygotowanymi przez plejadę polskich ilustratorek najmłodszego pokolenia. Przekartkowała. – Co to za obrazki?! – skrzywiła się. – Jak można tak dzieci spaczać?!

Obok pani przystanął pan: – Ja już czworo spaczyłem i dalej będę – zadeklarował.

– W takich chwilach widzę sens swojej pracy – śmieje się Magdalena Kłos-Podsiadło.

Książka – dzieło sztuki

Wytwórnia to jedno z małych wydawnictw dziecięcych, które narodziły się z buntu. Scenariusz zwykle wygląda tak: kobieta (często grafik lub filolog) rodzi dzieci. Dzieci rosną, a że w domu się czyta, musi znaleźć odpowiednie książki dla najmłodszych. Kiedy okazuje się, że do wyboru jest Disney albo wydane na szarym papierze zakurzone książki z własnej młodości, narasta frustracja. Zwłaszcza gdy się widzi, jak nowoczesna, piękna i nieinfantylna może być literatura dla dzieci za granicą. Wówczas zakłada się własne wydawnictwo. – Siedem lat temu, kiedy zdecydowałam się na rozkręcenie Muchomora, na rynku dla dzieci działało się niewiele – opowiada Anna Skowrońska, współtwórczyni

ni wydawnictwa (mama czworga dzieci). – Oprócz klasyki, jak Szancer, nie ciekawego nie wychodziło. Pamiętam, jak kupowałam dzieciakom książeczki o postdisneyowskiej estetyce i zaklejałam obrazki, żeby na nie nie patrzeć. Wtedy razem z trzema innymi mamami postanowiłyśmy wydawać w Polsce takie książki, jakie ukazywały się we Francji i w Anglii. Odważyłyśmy się drukować autorskie pomysły młodych polskich ilustratorów.

W podobny sposób wykwitły wkrótce Dwie Siostry, Hokus-Pokus, Zakamarki, wydawnictwo Mam, Czerwony Konik. Marta Lipczyńska-Gil, twórczyni i właścicielka wydawnictwa Hokus-Pokus, wspomina początki: – Kiedy studiowałam w Toruniu, znalazłam pracę w Galerii Sztuki Współczesnej. I tak zaczęły się marzenia o własnej galerii, na którą jednak nie mogłam sobie pozwolić. Potem, kiedy zdecydowałam się założyć wydawnictwo, pomyślałam, że dziełami sztuki mogą być też książki i ilustracje do nich. I tak razem z rodzinami mojego syna powstała nasza pierwsza książka – „Julek i Julka”.

Skąd mali wydawcy biorą pomysły na książki? Prawdziwą mekką są dla nich międzynarodowe targi książki dziecięcej w Bolonii. Stamtąd przywożą wiele pomysłów, niektórzy zamawiają książki u polskich autorów. Tak było z wydanymi przez Dwie Siostry pozycjami „D.O.M.E.K.” i „D.E.S.I.G.N.” albo z „Ładowaniem rinowirusów” z Hokus-Pokus, książką, w której o zwykłym przeziębieniu brawurowo opowiada doktor Wojciech Feleszko (za chwilę ukaże się druga część – „Nóż w palcu. Skaleczenie”).

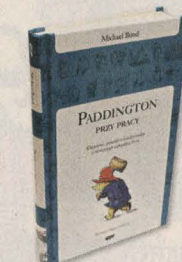
– Nasz największy hit „Julka i Julkę” pokazała mi (w oryginalnej holenderskiej wersji) koleżanka. Byłam zafascynowana jej prostotą i czarno-białymi ilustracjami – mówi właścicielka Hokus-Pokus.

– Dlaczego wydaję szwedzką literaturę dla dzieci? – powtarza pytanie Katarzyna Skalska, właścicielka Zakamarków. – To dosyć proste. Skończyłam filologię szwedzką. Zakochałam się w tych książkach i chciałam pokazać je w Polsce. Z drukowaniem klasyki, na przykład Astrid Lindgren, nie ma ryzyka, to klasyka, którą wszyscy znają i lubią. A przy wyborze innych pozycji zwykle kieruję się własnym nosem.

I to ostatnie zdanie powtarza się w każdej odpowiedzi. W dużym wydawnictwie taka praktyka byłaby nie do pomyslenia. – U nas wybór książki to pewna procedura – opowiada Katarzyna Janusik z wydawnictwa Znak odpowiedzialna za wydawnictwa dziecięce. – Propozycję oceniają recenzenci, →



Książce Olivera Jeffersa towarzyszy film animowany



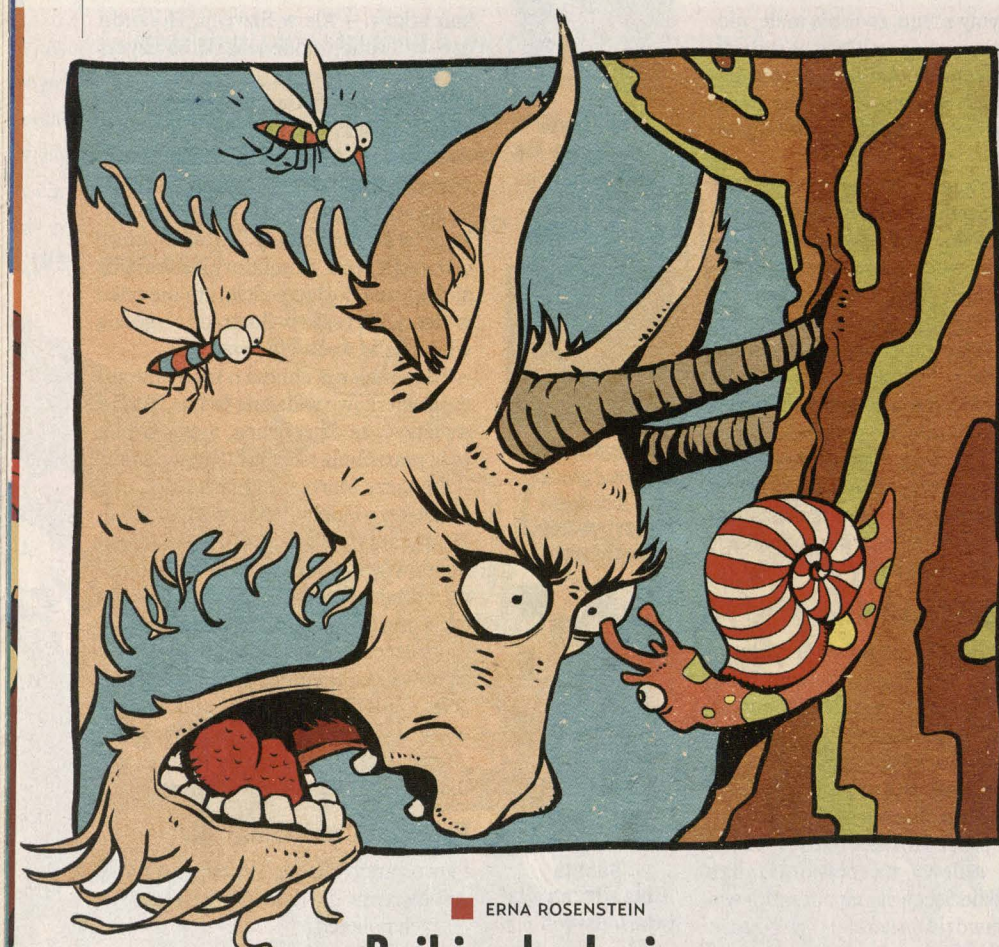
Miś Paddington to ukłon wydawnictwa Znak w stronę klasyki



„Zarafa” wydana przez Muchomora ma oryginalny, iście żyrafa format



Na trudne pytania dzieci odpowiada Wojciech Mikołuszko



ERNA ROSENSTEIN

Bajki odnalezione

Specjalnie na Dzień Dziecka prezentujemy fragment książki, której jeszcze nie ma, a którą chętnie zobaczylibyśmy w księgarni

RYCERSKI POJEDYNEK ŚLIKAKA Z KOZŁEM

Był raz ślimak, co miał wielkie rogi i bardzo lubił się nimi chwalić. „Z drogi – wołał – bo jak mnie kto zdenerwuje, to pobodę!”.

Zwierzęta bardzo się dziwiły, że ślimak jest taki groźny, a niektóre ośmielały się nawet powątpiewać o jego siłę. „To nie od siły zależy” – odpowiadał im wówczas. „Kunszt rycerski zależy od zręczności, odwagi, a nawet i rozumu”.

Gdy i to nie pomagało, dodał pewnego razu: „Kto nie wierzy, niech zobaczy! Zmierzę się z każdym przeciwnikiem!”. Od razu zatrąbiły komary głośniejsze niż telegraficzne druty i wieść rozeszła się po świecie.

Najbardziej rozgniewał się kozioł rogaty, kiedy przynosząc tę wiadomość, komar uszczypnął go w ucho. (Komar miał zawsze zresztą taki głupi zwyczaj szczypania).

Od razu zastąpił kozioł ślimakowi drogę i zawołał: „Cóż to za śmiecie, co się śli-

niak nazywa?” – naumyślnie udawał, że nie zna dobrze prawdziwego imienia. – „Śliniak zresztą czy świniak, zmykaj stąd i nie próbuj naśladować mnie, kozła rogatego”.

– „Jestem rycerzem – odparł napadnięty – i nie umiem wcale tak szybko zmykać jak ty”.

Była to najczystsza prawda, bo ślimak wszystko robił bardzo powoli, a kozioł miał cztery bardzo prędkie kopytka.

Mimo to kozioł rozgniewał się jeszcze bardziej, usłyszawszy taką odpowiedź.

– „Bijmy się! Ty lilipucie w jednym bucie!” – zawołał. (Mówiąc o bucie, miał na myśli domek ślimaka).

– „Domu od buta nie odróżniał!” – brzmiała odpowiedź. „Założ sobie okulary, jeśliś koślawy i stary!”.

Dalszej ich rozmowy nie warto już przytaczać, była coraz gwałtowniejsza i coraz mniej wybredna.

Wreszcie zabębniły dziecięcy i zatrąbiły bąki, by się nikt nie zbliżał do ślimaczkiej łąki, bo się dwaj mocarze świata zaraz zmierzają. Tra ta ta ta!

– „Jestem rycerzem” – rzekł ślimak. „Wiem co się należy. Wyjdę na drzewo, abym był na wysokości twoich oczu. Inaczej mógłbyś mnie nie dojrzeć. Nie umiesz przecież nawet odróżnić domu od buta!”.

Usadził się na drzewie naprzeciw kozła i zawołał:

– „A teraz bij!”.

Kozioł odstał daleko. Wziął rozpęd tak wielki, że tylko zamigotała w powietrzu jego broda i uderzył w drzewo tak mocno, że aż w nim utkwił, ale ślimaka nie trafił.

– „A teraz na mnie kolej!” – krzyknął ślimak. „Broń się, ty duży, a głupi!”.

Wlaź mu na pysk, przed same oczy i zamierzył się rogami. Kozioł uwolnił się już był co prawda z uwięzi, ale zobaczywszy tuż przed oczyma ślimacze rogi, wyobraził sobie nagle, że są bardzo duże.

– „Przepraszam cię mocarzu” – ryknął. „Dopiero z bliska widzę, jaki jesteś straszny! Wszystko trzeba ujrzeć z właściwej perspektywy. Zejdź z powrotem na drzewo i przyjmij moje przeprosiny! Bądźmy odtąd przyjaciółmi”.

To mówiąc, przyłożył łeb do drzewa i pozwolił ślimakowi spokojnie zejść.

PRZYJĘCIE W DOMU BOHATERA

Po tym zwycięstwie nikt już nie wątpił o odwagę i nie odmawiał znaczenia ślimakowi.

Imponował zwierzętom zarówno swymi rogami, jak i bezsestnym poruszaniem się, które pozwalało zaskoczyć wroga. Wreszcie jego małość również uznano teraz za zaletę.

Najbardziej ze wszystkiego imponował im jednak domek, jako że nikt dotychczas nie miał sposobności go zwiedzić. Opowiadano sobie cuda o jego wnętrzu.

Ilość korytarzy przerastała podobno labirynt – to znaczy taki dom, który był kiedyś, w dawnych latach i w którym można się było zgubić.

Łagodnie słumione światło sączyło się przez ściany ślimakowego mieszkania. Wszyscy pragnęli je zobaczyć i namawiali bohatera, aby urządził, z okazji zwycięstwa, ucztę.

Ślimak wyznaczył dzień i godzinę, poczym wszystkie zwierzęta zbiegły się do jego domu.

Stojąc pod drzwiami wielkiego mocarza, poczuły się jednak onieśmiałe. Nawet słoń poczuł się maleńki jak pchełka. Cóż dopiero mówić o innych.

Każdy kurczył się w sobie i zmniejszał, aż wszyscy, po kolei, zmieścili się w przestronnym, choć trochę skomplikowanym wnętrzu. Bawili się tam w chowanego. Gonili po korytarzach. Słoń trąbił na wyścigi z kogutem. Zając targał wszystkich za uszy. Kaczka kopała, a koń śmiał się do rozpuku.

Co naśmiecili, to kozioł zamiatał brodą.

Najedli się, napili i ślimaka sławili.

Hej hola! Hej swawola!

A gdy kogo brzuch rozboleł, sroczka kaszki nawarzyła i każdego nakarmiła.

[W następnym odcinku, zatytułowanym „Małżeństwo”, ślimak, chcąc poradzić się kogoś mądrego, co zrobić, by utrwaliło się jego dobre imię, wybrał się do sowy. Zmęczony zabawą, powtarzał: „Do sowy, do sowy” – ale pomyłkowo udał się do krowy. Gdy zastanawiał się, co tam robi, słowik odpowiedział mu, by się jej oświadczył.

Krowa wydała się ślimakowi najpiękniejszą narzeczoną – zakochał się w jej rogach i mleku, z którego powstaje ser na pierogi – red.].

SOwie INTRYGI

Sowa dobrze wiedziała, że ślimak na początku do niej się wybierał, a nie do krowy.

Nawet zaczęła sobie wmawiać, że to z nią by się był ożenił. Bardzo się o to złościła. Mimo że była mądra i uczona zupełnie straciła rozum na tym punkcie.

Wszystkim dokoła dokuczała, a już najbardziej uwzięła się na krowę. Rozesłała różne listy, a w tych listach było: „że krowa ma za duże rogi... że nie ma ptasiego mleka... że jest łaciata... a w dodatku niewykształcona”.

Krowa powinna była to puścić mimo uszu, bo najlepiej na głupstwa nie odpowiadać. Zwierzęta byłyby o tych listach zapomniały. Sowa byłaby się uspokoiła i z powrotem zapanowałaby zgoda. Ale krowa tak poczuła się dotknięta, że nie umiała nad sobą zapanować. Miała piękny, donośny głos, więc zarycza-

ła, żeby się wszyscy zbiegli na polanę. Zwierzętom w to graj! Bardzo lubiła, żeby coś się działo.

Zaraz zrobiły zebranie. Wszystkie przemawiały, a krowa stwierdziła, że nawet bez uniwersytetu i bez wykształcenia wie, że tylko głupcy wysyłają takie listy bez podpisu. Poza tym, sowa innych obgaduje, a przecież sama nie ma żadnych, ani małych, ani dużych rogów, nikomu nigdy nie dała skosztować swojego mleka, nikomu nie pokazywała żadnych świadectw szkolnych, a jak jej się laty nie podobają, to może się z tym schować i innym głowy nie zawracać.

Przemówienie bardzo się spodobało.

Zwierzęta postanowiły nigdzie odtąd sowy nie zapraszać, żeby nie robiła intryg. Potem rozeszły się do domów.

Sowa była jeszcze bardziej zła. Uciekła do lasu i stamtąd straszyla. Błyskała oczyma, chodziła po nocach i pohukiwała.

Jest nawet piosenka o tym, jak to: „Cztery mile za Warszawą ożenił się wróbel z krową. Wszystkie ptaki zaprosili, tylko sowę opuścili. Gdy się sowa dowiedziała, na wesele przyleciała. Usiadła se na przypiecku, kazała grać po niemiecku...”.

A co jeszcze tam robiła i jak rozrabiała, jak mądrzyła się i wszystkim bobu zadawała, wolę już nie dopowiadać własnymi słowami... Jak się sowy nie boicie, dośpiwajcie sami... □



ERNA ROSENSTEIN – ur. 1913 roku we Lwowie, zm. 2004 roku w Warszawie, malarka, poetka, autorka scenariuszy teatralnych. Wybitna przedstawicielka surrealizmu. W latach 1932–1934 studiowała malarstwo w Wiedniu na Wiener Frauenakademie, a w latach 1934–1937 na ASP w Krakowie w pracowni Wojciecha Weissa. Współtworzyła I i II Grupę Krakowską. Współpracowała z Teatrem Artystów Cricot. Po wybuchu II wojny światowej wyjechała do zajętego wkrótce przez ZSRR Lwowa. Po wejściu do miasta Niemców wraz z rodziną trafiła do getta. W 1942 roku, podczas ucieczki do Warszawy, na jej oczach szmalcownik zamordował jej rodziców. Zmieniła tożsamość i ukrywała się między innymi w Warszawie, Tomaszowie

Mazowieckim i Częstochowie. Po wojnie zamieszkała w Warszawie i wróciła do malarstwa. W 1949 roku wyszła za mąż za krytyka i pisarza Artura Sandauera. Za jego namową zdecydowała się opublikować swoje zapisy. W roku 1972 ukazał się jej pierwszy tom poetycki „Ślad”, następnie „Spoza granic mowy” (1976), „Wszystkie ścieżki” (1979), „Czas” (1986), „Trochę z archiwum” (1993), „Jeszcze z archiwum” (1994) i „Płynię rzeka” (1998). Bajki są prawie nieznaną częścią jej twórczości. Kilka z nich zostało opublikowanych w latach 50. – najczęściej na łamach „Płomyczka” – a „Malarz” i „Złota kula” znalazły się w wydanej przez Galerie 86 z Łodzi publikacji „Rzeczy, ślady, papiery z szafy” (2002). Prezentowane teksty odnalazłem podczas porządkowania archiwum Erny Rosenstein. To początek niepublikowanej kilkuodcinkowej „Historijki o przygodach ślimaka i jego przyjaciół”. Świat zwierząt (ślimaka, kozła, sowy i papugi) stanowi odbicie świata ludzi, a zdarzeniami rządzą poetyckie skojarzenia i wyobrażenia. Bajka powstała prawdopodobnie w latach 50. lub 60. Na przełomie 1986 i 1987 roku autorka zabiegała o jej wydanie. W latach 90. jedno z wydawnictw podpisało nawet umowę, jednak do publikacji nie doszło. Teksty do druku podaje za uprzejmą zgodą spadkobiercy, syna artystki Adama Sandauera.

Jarosław Borowiec

REKLAMA

OFF FESTIVAL
5-8.08
2010
KATOWICE

DOLINA TRZECZ STAWÓW

**Flaming Lips
Dinosaur Jr.
Tindersticks
The Raveonettes
Lenny Valentino
Hey
O.S.T.R.**

i wielu innych

WWW.OFF-FESTIVAL.MBANK.PL

WWW.MYSPACE.COM/OFFFESTIVAL

bilety dostępne w sieciach
Ticketpro.pl Eventim.pl Ticketportal.pl

FESTIWAL MAŁGORZATA SADOWSKA

To był festiwal filmów średnich, bez olśnień i odkryć. Nie brakowało pomysłów, ale zawiodły scenariusze. Rozczarował też werdykt

Est coraz więcej polskich filmów! – konstatują z radością gwiazdy naszego kina w wyświetlanym przed seansami zabawnym filmiku, podziękowaniu dla tych, którzy „składają się na budżet polskiej kinematografii”. Ci, którzy to robią, po tegorocznym festiwalu nie będą jednak równie uradowani i przekonani, że ich pieniądze idą na słuszny cel. Żaden bowiem z 20 konkursowych filmów nie zaspokoił apetytów rozbudzonych osiem miesięcy temu przez świetne produkcje „Rewers” i „Dom zły”. Poziomym refleksji żaden nie dorównał „Lasowi” Piotra Dumały, brawurą – „Wojnie polsko-ruskiej” Xawerego Żuławskiego.

Wojna kobiet

Złote Lwy dla „Różyczki” Jana Kidawy-Błońskiego nie są dowodem na genialność tego filmu, ale raczej na słabość tegorocznego konkursu. Melodramat, którego bohaterka miota się pomiędzy lojalnością wobec narzeczonego, ofi-cera SB, a uczuciem do inwigilowanego intelektualisty, ani nie rzuca nowego światła na polską historię, ani jej nie przepracowuje, ani nie zaskakuje ujęciem formalnym.

Złoty Klakier dla tego obrazu, najdłużej oklaskiwanego przez widzów, to najlepszy przykład, że nad refleksję przedkładamy wzruszenia.

„Różyczka” Kidawy-Błońskiego naszych kin nie zawojowała, mimo to wygrała festiwal w Gdyni



Gdynia 2010: polskie kino nie lubi kobiet

Co jednak znaczą Złote Lwy? Być może na werdykt wpłynęły nadchodzące wybory prezydenckie – doceniając film Kidawy-Błońskiego, jury opowiedziało się za wizją polskiej historii, w której nie ma miejsca na twarde rozliczenia z przeszłością, na jasne oceny i jednoznaczne wyroki.

Na poziomie scenariusza historię rządzi nie niuans, lecz stereotyp – prymitywny esbek kontra subtelny intelektualista, a między nimi bezwolna, pozbawiona charakteru i motywacji, istniejąca wyłącznie przez swoją seksualność kobieta. Kolejna w polskim kinie bohaterka kierująca się wyłącznie porywami uczuć i potrzebującą Pigmaliона, który ją ulepi, kolejna z wyraźną przyjemnością podglądana przez kamerę aktor-

ka (nagrodzona Magdalena Bocvarska). W tym kontekście nie dziwi nagroda dla „Chrzta” Marcina Wrony. I tu w centrum historii stoi dwóch samców, z których jeden pragnie (dokładnie tak jak w „Mojej krwi” tego reżysera) „podać” przyjacielowi swoją kobietę i dziecko. Wrona sprowadza świat męskich wartości do brutalnej walki o dominację, dziecinnie pojmowanej lojalności i honoru. Bójki, wspólne pijaństwo, chłopięce rytuały – to jest spoiwem męskiej więzi, w tle której przemazuje się kobieta ponownie służąca jedynie do rodzenia i rozbierania.

A po „Rewersie” wydawało się, że odbijamy się od stereotypów na temat płci i przypisywanych im ról.

Dotknąć historii

W tym roku pojawiły się w Gdyni dwa dużo ciekawsze niż „Różyczka” filmy, które przewodniczkami po polskiej historii czynią kobiety i każą nam spojrzeć na wydarzenia z przeszłości z bardziej intymnej i mniej oczywistej perspektywy. „Joanna”, kameralny dramat Feliksa Falka (zasłużone nagrody za scenariusz i reżyserię), rozgrywa się w okupowanym Krakowie. Jego bohaterka, grana przez Urszulę Grabowską, decyduje się ukryć w mieszkaniu żydowskie dziecko. Sekret, którego nikomu nie może wyjawić, izoluje ją od otoczenia, nawet od najbliższych, naraża na szykany i upokorzenia, a wreszcie wykluczenie ze wspólnoty „swoich”. Na Joannę spada cios za ciosem i, o ironio, te najboleśniej-sze przychodzą ze strony rodziny i rodaków.

Przy okazji Falk pokazuje, jak w świecie wojny, w którym zabrakło mężczyzn, bo albo poszli na front, albo psychicznie się poddali, ko-

biety przejmują inicjatywę, organizując przetrwanie sobie i swoim rodzinom, zdobywając jedzenie, zabiegając o pracę lub kochanka z pieniędzmi, który pod nieobecność męża zapewniłby dzieciom. Gorzkiej, smutnej historii reżyser niepotrzebnie dobudowuje metafizyczne piętro – przez to opowieść traci na wiarygodności.

U Kolskiego cztery siostry w zrujnowanym dworze budują razem z dziećmi w piwnicy swoją – rewelacyjnie wyrzeźbioną światłem przez Arthura Reinhardta (absolutnie należała mu się nagroda za zdjęcia) – „Wenecję”: namiastkę beztroskiego życia, rodzaj zapory przed nieuchronnie zbliżającą się wojną. Niezależne, ekscentryczne, samowystarczalne kobiety wykraczają poza doskonale znane z wojennych filmów role poświęcających się, umęczonych matek i żon.

I w „Joannie”, i w „Wenecji” pojawia się też wyraźnie kielkujący w nowym polskim kinie temat wspólnej polskozżydowskiej historii. Kolski przypomina o obecności Żydów w orbicie polskiego dworu i o Zagładzie, szkoda tylko, że używa do tego wyświechtanej figury małego skrzypka. Jan Kidawa-Błoński w „Różyczce” i Janusz Majewski w „Małej maturze 1947” sięgają czasów powojennych. Ten pierwszy czyni bohaterem esbeka, którego gorliwość tłumaczy ukrywaniem żydowskiej tożsamości. Ukrywa ją także były krawiec z domu, a który nierozpakowany zamienia się w garb, nie pozwala się rozwijać. Lechki każe wrócić Michałowi (Tomasz Kot) do rodzinnego miasta i zamknąć sprawy, od których uciekł.

W przewrotny sposób ojciec – przez większość czasu nieobecny, najpierw fizycznie, później psychicznie – jest bohaterem „Matki Teresy od kotów”. Paweł Sala sięgnął po prawdziwą historię chłopaka, który zabił matkę i ukrył jej ciało w szafie. Niczym w „Nieodwracalnych” cofamy się w czasie, by przekonać się, że wiara, iż gdzieś w przeszłości istnieje ten jeden przega-

tem bagażu emocjonalnego, który wynosimy z domu, a który nierozpakowany zamienia się w garb, nie pozwala się rozwijać. Lechki każe wrócić Michałowi (Tomasz Kot) do rodzinnego miasta i zamknąć sprawy, od których uciekł.

W przewrotny sposób ojciec – przez większość czasu nieobecny, najpierw fizycznie, później psychicznie – jest bohaterem „Matki Teresy od kotów”. Paweł Sala sięgnął po prawdziwą historię chłopaka, który zabił matkę i ukrył jej ciało w szafie. Niczym w „Nieodwracalnych” cofamy się w czasie, by przekonać się, że wiara, iż gdzieś w przeszłości istnieje ten jeden przega-

piony moment, który zamienił syna w mordercę, jest złudzeniem. Nieprzewidywalny Artur (bardzo dobry, przyciągający i odpychający zarazem Mateusz Kościukiewicz), matka kochająca bardziej koty niż dzieci, ojciec na misji w Afganistanie – Sala podsuwa tropy psychologiczne, psychoanalizy i metafizyczne (za dużo zresztą tych ścieżek). Pod nieobecność ojca dorastający syn próbuje wypełnić lukę po mężczyźnie i porządkować sobie rodzinę.

Sala gra z wizerunkiem męskości rozumianej jako siła i władza i aż trudno uwierzyć, że wciąż nie brakuje reżyserów, którzy tak właśnie ją identyfikują. Zwycięska „Różyczka”, „Mistyfikacja” Jacka Koprowicza, „Trzy minuty. 21.37” Macieja Ślesickiego czy „Chrzest” – wszystko to filmy podlane testosteronem, snujące patriarchalne fantazje o biernych, uległych kobietach przechodzących z rąk do rąk i mężczyznach, którym żadna się nie oprze.

Niewiele lepsze miejsce wyznaczyli kobietom organizatorzy gdyńskiego festiwalu. Co roku niezmiennie zdumiewa mnie widok hostess w szpilkach i ubranych w stroje rodem z podrzędnego nocnego klubu, które wysła się na scenę, by wręczały twórcom kwiaty. Komu właściwie mają sprawić przyjemność te występy? Bezrefleksyjnie powtarzany rytuał dziwi tym bardziej, że przecież na czele Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej stoi kobieta – Agnieszka Odorowicz.

Made in Poland

W jednej ze scen „Trzy minuty. 21.37” Macieja Ślesickiego pijany reżyser grany przez Krzysztofa Strońskiego na pytanie policji, jak się nazywa, odpowiada rozbawiony: „Andrzej Wajda”. W towarzyszących filmowi napisach angielskich pojawiło się w tym momencie nazwisko: „Steven Spielberg”.

I jak tu wierzyć w polskie kino, skoro ono samo w siebie nie wierzy?

REKLAMA

**INTERNET W TELEFONIE
BEZ LIMITU DANYCH**

TYLKO ZA
9 ZŁ MIESIĘCZNIE!

WYŚLIJ:
SMS
MAX
POD
8010

MOŻESZ WIĘCEJ

Facebook jest znakiem handlowym firmy Facebook Inc.
GOOGLE jest znakiem towarowym firmy Google Inc.
YouTube jest znakiem towarowym firmy YouTube Inc.

OFERTA DOSTĘPNA W TAK TAKU I TAK TAK FONIE. OPŁATA ZA 30 DNI WYNOŚI 9 ZŁ Z VAT. PRĘDKOŚĆ TRANSMISJI DANYCH PO PRZEKROCZENIU 100 MB TRANSFERU (LUB 333 MB, DZIĘKI KOMPRESJI W SERWISIE COMPRESSOR MINI) W DANYM CYKLU ROZLICZENIOWYM MOŻE ZOSTAĆ OGRANICZONA DO 16 KBIT/SEK. SZCZEGÓŁY OFERTY NA WWW.ERA.PL

NAJWAŻNIEJSZE NAGRODY FESTIWALU W GDYNI

- Złote Lwy:** – Jan Kidawa-Błoński za „Różyczkę”
- Nagroda specjalna jury:** – Janusz Majewski za „Małą maturę 1947”
- Srebrne Lwy:** – Marcin Wrona za „Chrzest”
- Reżyseria:** – Feliks Falk za „Joannę”
- Główna rola męska:** – Wojciech Zieliński za „Chrzest” i Tomasz Schuchardt za „Chrzest”
- Główna rola kobieca:** – Magdalena Bocvarska za „Różyczkę”
- Platynowe Lwy (za całokształt):** – Janusz Morgenstern
- Debiut aktorski:** – Marcin Walewski za „Wenecję”
- Drugoplanowa rola kobieca:** – Agnieszka Grochowska za „Trzy minuty. 21:37”

- Drugoplanowa rola męska:** – Janusz Chabior za „Made in Poland”
- Debiut reżyserski lub drugi film:** – Marek Lechki za „Erratum”
- Scenariusz:** – Feliks Falk za „Joannę”
- Muzyka:** – Paweł Mykietyn za „Trick”
- Scenografia:** – Joanna Macha za „Wenecję”
- Zdjęcia:** – Arthur Reinhart za „Wenecję”

KONKURS KINA NIEZALEŻNEGO

- Grand Prix:** – „Prosta historia o miłości”, reż. Arkadiusz Jakubik

KONKURS MŁODEGO KINA

- Grand Prix:** – „Twist & Blood”, reż. Jakub Czekaj, „Urodziny”, reż. Jenifer Malmqvist

ROZMOWA OLA SALWA

Mówcie swoim głosem!

W kinie najważniejsza jest autentyczność – przekonuje Nick Holdsworth*, obserwujący festiwal w Gdyni korespondent tygodnika „Variety”

Jak dobrze zna pan polskie kino?

– Od 15 lat piszę o filmach z Europy Wschodniej i tak długo obserwuję rozwój polskiego kina. Gdy zaczynałem, w połowie lat. 90. królowały u was historyczne superprodukcje typu „Ogniem i mieczem”. Wasza kinematografia była w zastoju, trudno było zebrać fundusze, tylko znani reżyserzy dostawali dotacje, młode pokolenie było bardzo sfrustrowane, nic ciekawego się nie działo. Sytuacja uległa zmianie, gdy powstał Polski Instytut Sztuki Filmowej.

Uważam, że teraz jesteśmy świadkami kolejnej zmiany – ponieważ finansowanie kina jest mocno zinstytucjonalizowane, niezależnym producentom trudniej jest zrealizować swoje projekty. Odkąd sytuacja ekonomiczna uległa poprawie, wiele polskich filmów trafiło na czołowe miejsca krajowego box office’u, ale za granicą sukcesów nie było. Ostatnio oglądałem sporo waszych komercyjnych i historycznych filmów. Znam je, ale proszę nie pytać mnie o tytuły ani nazwiska, pamiętam tylko część.

Coś pana zachwyciło?

– „Wesele” [Wojciecha Smarzowskiego – przyp. red.], przeabawny i świetnie zrealizowany film, ironiczny i bardzo polski. Od tego czasu nic.

A na tegorocznym festiwalu?

– Najbardziej podobała mi się „Matka Teresa od kotów” Pawła Sali. Zwłaszcza zaś sposób prowadzenia narracji i to, że reżyser nie dopowiada pewnych rzeczy. Ten film jest przykładem interesującego kina z autorskim stemplem, choć jego niektóre elementy mogłyby być lepsze. Z „Made in Poland” wyszedłem po kilku minutach. Ostatnio widziałem mnóstwo europejskich filmów o skinheadach, którzy nie stronią od przemocy i mieszkają w ponurych blokowiskach. Nic tam nowego ani ciekawego nie znalazłem. I po co ta ostra muzyka w tle? Jej wprowadzenie nic nie daje.

Nie spodobała mi się komedia „Święty interes” o dwóch braciach i cudownym samochodzie rzekomo należącym do papieża. Głupiutka, słabo zrobiona, źle zagrana. Dziwi mnie to, bo historia ma duży potencjał, niestety jest niewiarygodna. Nie wierzę bohaterom, są sztuczni, przepisani z podręcznika scenariopisarstwa. I czy naprawdę wszyscy polscy wieśniacy są idiotami? No i jeszcze ten humor... Scena, w której atrakcyjna kobieta smaruje sobie biust pastą do zębów, jest po prostu żenująca.

Scenariusze od dawna nie są najmocniejszą stroną polskich filmów.

– Za mało poświęca się im uwagi, co mnie dziwi, bo macie przecież konkursy i szkolenia, na przykład ScripTeast i Hartley-Merrill. Najwyraźniej nie wystarczają – zresztą zbyt krótka praca nad scenariuszem to problem kinematogra-



Nick Holdsworth twierdzi, że bez dobrych scenariuszy polskie kino daleko nie zajędzie

fii całej Europy Wschodniej. A to przecież podstawa. Chociaż złe filmy powstają też z dobrych scenariuszy. Nad tymi ostatnimi trzeba jednak pracować, rozwijać postacie, wierzyć w nie, rozumieć, kim są. Wróć do filmu Pawła Sali: tytułowa bohaterka sprzedaje polisy ubezpieczeniowe, jest elegancka i zupełnie nie pasuje do zaniedbanego mieszkania z mnóstwem kotów, gdzie pewnie strasznie śmierdzi. Co ona robi w takiej norze? To są drobiazgi, ale podważają wiarygodność filmu.

Czego jeszcze brakuje polskim filmom?

– Od kilku lat powstają u was filmy dotyczące lokalnych spraw, ale na siłę robione w hollywoodzkim stylu. Oczywiście za znacznie mniejsze pieniądze, więc nie są konkurencją dla amerykańskich produkcji. Rozmawiałem tu, w Gdyni, z ludźmi z polskiej branży filmowej i większość z nich uważa, że scenarzyści i reżyserzy powinni robić filmy takie jak przed 1989 rokiem. Wtedy powstało w Polsce mnóstwo świetnych produkcji dotyczących rzeczywistości, których twórcy opowiadali z pasją i przekonaniem. Teraz tego brakuje.

Wasi filmowcy powinni zająć się historiami, które rozpalają ich

serca i umysły, opisują świat, w jakim żyją. Temat jest drugorzędny, najważniejsza jest autentyczność. To ona sprawia, że film ma szansę spodobać się za granicą. „Matka Teresa od kotów” zakwalifikowała się na festiwal w Karlowych Warach, bo – pomijając słabości tej produkcji – opowiada o polskiej rzeczywistości i polskich sprawach. Jest ciekawym studium dysfunkcyjnej rodziny. To historia opowiedziana własnym głosem.

Sporo mówi się u nas także o tym, że nasze filmy zbyt rzadko są pokazywane za granicą.

– W ciągu ostatnich kilku lat rzeczywistość nie było was w Cannes, Berlinie czy Wenecji, co na pewno jest niesłychanie frustrujące. Myślę natomiast, że polskie produkcje bez problemu mogą być wyświetlane w krajach z waszego regionu, które już znają i pokazywały wasze starsze filmy. Na komercyjny sukces nie mają jednak co liczyć, bo w Europie masowo chodzi się tylko na kino hollywoodzkie. Inne filmy zawsze będą propozycją niszową, wyświetlaną w kinach studyjnych i kanałach telewizyjnych typu Arte, Canal Plus czy brytyjski Channel 4. Mimo wszystko sądzę, że polskie kino wciąż ma spory potencjał.

*** Nick Holdsworth**, brytyjski dziennikarz, wieloletni korespondent między innymi „Sunday Telegraph”, „The Hollywood Reporter”, a obecnie „Variety”, tygodnika publikującego informacje na temat branży filmowej

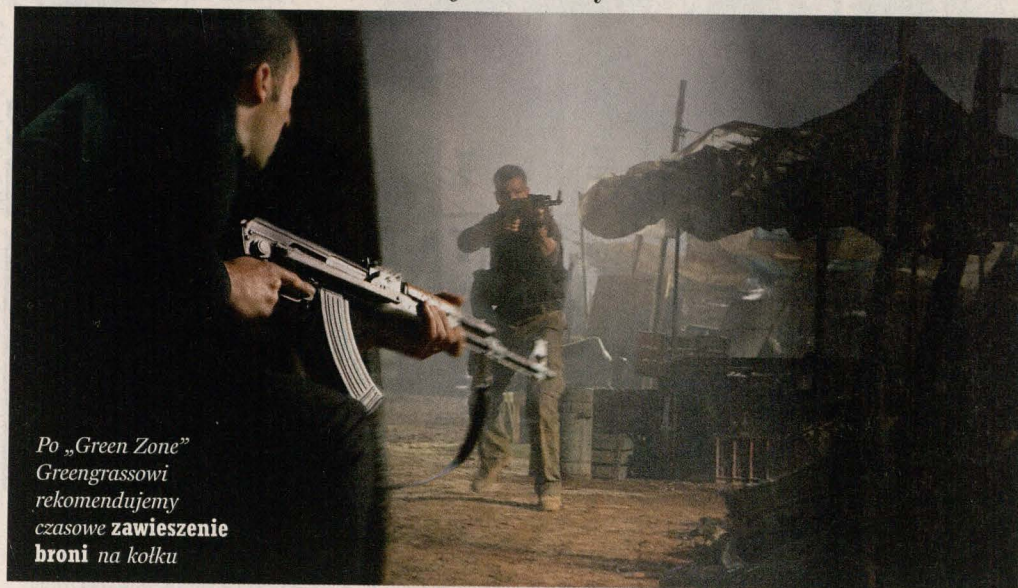
MAŁGORZATA SADOWSKA

Niebezpieczna prawda Paul Greengrass znów wkracza do akcji. W stylu, jaki doskonale już znamy

Jeszcze nie zapomnieliśmy o oscarowym „The Hurt Locker”, a już w pułapkę irackiej wojny wciąga nas Paul Greengrass. Cofamy się do samych jej początków, gdy w Iraku nerwowo poszukiwano broni masowego rażenia, by uzasadnić amerykańską inwazję na ten kraj.

Roy Miller (Matt Damon) służy w jednostce, która zamiast chwały przynosi swojej ojczyźnie same rozczarowania: informator, który donosi o kolejnych arsenałach, albo się myli, albo wprowadza żołnierzy w błąd, bo ci wciąż nie mogą trafić na ślad broni. Jako rasowy oficer oraz równie rasowy bohater amerykańskiego filmu akcji Miller nie może dłużej znieść opłatającej go sieci kłamstw i postanawia dociec, o co naprawdę chodzi. Jego sojusznikami w poszukiwaniu najgroźniejszej broni – prawdy – stają się agent CIA i dziennikarka, a wiernym towarzyszem mieszkaniem Bagdadu, który jednak rozumie dziejową sprawiedliwość inaczej niż szefowie Pentagonu.

Wraz z nimi wpadamy w skomplikowany świat politycznych intryg, bezwzględnej walki o władzę, zadawnionych konfliktów. Odwiedzamy amerykańskie więzienia, wojskowe sztaby, domy, w których ukrywają się oficerowie Saddama Husajna. Iracki konflikt przestaje być czarno-białą bajką opowiadaną na dobranoc w serwisach infor-



Po „Green Zone” Greengrassowi rekomendujemy czasowe zawieszenie broni na kółku

macyjnych, zaś Roy Miller zyskuje wiedzę o tym, jak naprawdę działa ten świat, i traci polityczne dzieciństwo.

Problem w tym, że postać Millera leży ciut za blisko Jasona Bourne’a, w którego Matt Damon wcielił się z powodzeniem już trzykrotnie. I tu, i tu wykorzystuje swoje umiejętności przeciwko tym, którzy go wyszkolili, i tu, i tu staje się częścią politycznych rozgrywek na najwyższym szczeblu. I Bourne’em, i Millerem kieruje wewnętrzna uczciwość, obaj gonią za prawdą – zresztą w równie ekspresowym tempie, zgrabnie skacząc przez przeszkody. Nic dziwnego,

wszak obaj mają tego samego trenera – Paula Greengrassa, twórcę „Krwawej niedzieli” o konflikcie w Irlandii Północnej i „Lotu 93” rekonstruującego losy jednego z samolotów porwanych 11 września.

Brytyjski reżyser ma niewątpliwie talent do sterowania emocjami, zręcznie prowadzi akcję, ani na moment nie zwalniając jej tempa. A także, co najważniejsze, nie traci kontaktu z rzeczywistością, ją czyniąc punktem wyjścia dla swoich filmów. To dzięki niemu Bourne nabrał charakteru i stał się bohaterem z krwi i kości.

W „Green Zone” Greengrass sięga ponownie po arsenał sprawdzonych chwytów i funduje nam kawał kina akcji mocno osadzonego w prawdziwych wydarzeniach i w dekoracjach do złudzenia przypominających ogarniętą wojną Bagdad, jaki znamy z telewizyjnych przekazów (udawały go skutecznie marokańskie plenery). Nie jest w stanie nas jednak niczym zatrzymać – ani jako niesłuchanie sprawny filmowy rzemieślnik, ani jako polityczny komentator. Na jakiś czas powinien chyba pójść do cywila.

„Green Zone”, reż. Paul Greengrass, Francja/USA/Hiszpania/W. Brytania 2010, UIP, 115', premiera 4 czerwca

+++

Żywność Benka

Jak przystało na opowieść o współczesnym świętym, film Roberta Glińskiego naucza. I nudzi

BENEK (SKRÓT OD BENE-DYKTA, a jakże) Kacik jest górnikiem, a zarazem światłym młodym człowiekiem, który wie, że epoka węglamiennego się kończy. Dlatego odchodzi z pracy i z odprawą oraz marzeniami o znalezieniu nowej posady rusza w świat. Kupuje kawalerkę, fototapetę i gazetę z ogłoszeniami.



Benek (Marcin Tyrol) świata poza Danką (Miroslawa Żak) nie widzi

Ślunska rzeczywistość, niestety, rozmija się z jego wizją spokojnego żywota i nawet modlitwy do świętej Barbary nie pomagają. Benek nie poddaje się i decyduje na samostanowienie, jednocześnie uderzając w konkury do pięknej właścicielki lombardu. Choć urzeka swoją prostodusznością, trudno uwierzyć, że jest bohaterem z krwi i kości, a nie papieru i tuszu do drukarek. Benek to naiwniak bez skazy, a źródłem zła jest tu chciwy system i kadra kierownicza wysysająca

ze śląskiej ziemi i jej synów to, co najszlachetniejsze. Proszę mi wybaczyć przekąś, ale produkcji Roberta Glińskiego niebezpiecznie blisko do filmów propagandowych, naturalnie w celach szlachetnych, bo „Benek” ma krzepić górnicze serca. Reżyser nie kopie tu głębiej, zadowalając się budowaniem prostych opozycji i pokazywaniem lokalnego kolorytu, więc niczego ciekawego nie odkrywa. – sol

„Benek”, reż. Robert Gliński, Polska 2007, Syrena Films, 95', premiera 4 czerwca



Magia
„Czarodziejki
Lili...” na dzieci
raczej nie
podziela



OLA SALWA

Nie dla dzieci! „Disco robaczki” i „Czarodziejka Lili, smok i magiczna księga” to filmy dla dorosłych, którzy wspominają młodość

Bo jak inaczej wytłumaczyć to, że filmy wyglądają, jakby powstały na początku lat 80.? Nie mam tu na myśli poziomu realizacyjnego, bo ten – choć skromny – jest współczesny. Chodzi raczej o skojarzenia i motywy pojawiające się w obu produkcjach. Autorzy stworzyli w filmach świat swojego dzieciństwa, który dla dzisiejszych dzieci jest nie tylko mało atrakcyjny, ale też niezrozumiały. Skąd takie wnioski? Obserwowałam niespecjalnie entuzjastyczne reakcje małych widzów podczas seansów obu filmów. Bohaterem „Disco robaczek” jest Bogdan, który pragnie wyrwać się z fabryki kompostu i zostać znanym muzykiem. Kompletuje zespół, próby prowadzi w tajemnicy przed matką i przełożonymi.

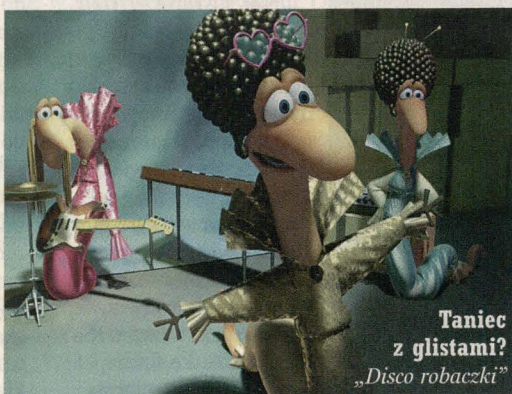
Wszystko pięknie, bo który dzieciak nie marzy o tym, by zostać idolem, mieć talent czy tylko zabłysnąć przed przyjaciółmi? Tyle że nie wiadomo, kim byli Village People czy Gloria Gaynor, których hity pojawiają się u roztańczonych skąposzczetów. Piosenkarz Zbigniew Wodecki (słyszymy go w polskim dubbingu) jest tu najbardziej znaną małym widzom postacią, ale za sprawą piastowanej funkcji jurora w „Tańcu z gwiazdami”, a nie wokalnych popisów z dawnych lat. Muzyka mająca uatrakcyjnić fabułę tego nie robi, a każda z 78 minut dłuży się jak wypełzająca z ziemi dżdżownica.

Trudniejszym przypadkiem jest „Czarodziejka Lili, smok i magiczna księga”. Tytułową bohaterką jest dziarska ruda dziewczynka, do której pewnego dnia wpadają przez okno księga zaklęć i strzegący jej otyły smok. Lili, jeśli przejdzie próby, zostanie kolejną wielką czarodziejką. Gdy trenuje zaklęcia, jej brat gra w „Super Mario Bros” (czy ktoś poniżej 25. roku życia pamięta, co to jest?), a komputer stoi wyłączony na biurku. W szkole pisze się po tablicy kre-

dą, co w dobie markerów i laptopów jest oczywistym skansenem. Istotą nie są oczywiście tylko te drobiazgi, ale to, że z takich starych i niezrozumiałych elementów zbudowany jest cały ekranowy świat. Przykładem większego kalibru jest Hieronimus, zły czarodziej, który wprowadza do filmu homofobię. Bo jak inaczej odczytać to, że jedyny czarny bohater to pręrysowany, stereotypowy gej? Cudacznie ubrany, przegięty i kompletnie nieudolny jest zarazem jednym z najsłabszych punktów bajki. Chyba że w tych wszystkich szczegółach kryje się diablo przewrotna taktyka – pokażmy juniorom, jak wyglądał świat naszych dzieciennych zabaw, aby po wyjściu z kina cieszyli się, że żyją inaczej? □

+++
„Disco robaczki”, reż. Thomas Borch Nielsen, Dania/Niemcy 2008, Kino Świat, 78, premiera 21 maja

+++
„Czarodziejka Lili, smok i magiczna księga”, reż. Stefan Ruzowitzky, Austria/Niemcy/Włochy 2009, Forum Film, 89, premiera 28 maja



Taniec z glistami?
„Disco robaczki”

FOT. UIP, SYRENA FILMS, KINO ŚWIAT, FORUM FILM, AGAINST GRAVITY

+++

Telewizja rządzi

Erik Gandini obnaża kulisy dojścia Silvia Berlusconi do władzy

WIDEOKRACJA TO ŚMIERĆ DEMOKracji. To zmierzch polityki, kres świata idei. Erik Gandini nakręcił dokument o Włoszech ery Berlusconi. Zastanawialiście się nad fenomenem popularności tego człowieka, który kolejny sezon sprawuje rządy w Italii?

Silvio Berlusconi stworzył medialne imperium i dał ludziom niekończące się igrzyska. To, czego naprawdę pragną: gołe cycki, prymitywne rozrywki, celebrytów, pięć sekund sławy. Sam jest uosobieniem sukcesu totalnego. Ma wszystko: władzę, pieniądze, seks, koneksje.

Gandini nie koncentruje się jednak na Berlusconim, lecz zagląda za kulisy. Gości w willi „łowcy talentów”, wielbiciela za-



również obecnego premiera, jak i Mussoliniego (ach, ten włoski kult machobufonów!). Towarzyszy z kamerą pewnemu paparazzi (kolejny machobufon), który podczas (krótkiego) pobytu w więzieniu fotografuje się w pozie ukrzyżowanego Chrystusa. Rozmawia także z tokarzem desperacko dążącym do tego, by wystąpić w programie typu „Mam talent”.

To spektrum jest nieco za szerokie, więc konkluzje rozpluwają się w kolejnych epizodach. Ale i tak „Wideokracja” jest przynębiającym obrazem świata (bo przecież nie tylko o Włochy tu chodzi), w którym liczy się już wyłącznie tandetny show. Przed jego potęgą kapitulują prawo, etyka i kultura. No i obywatele. – bż

„Wideokracja”, reż. Erik Gandini, Szwecja/Dania/W. Brytania/Finlandia 2009, Against Gravity, 85, premiera 21 maja

FOT. BOGDAN KRZEL (3)

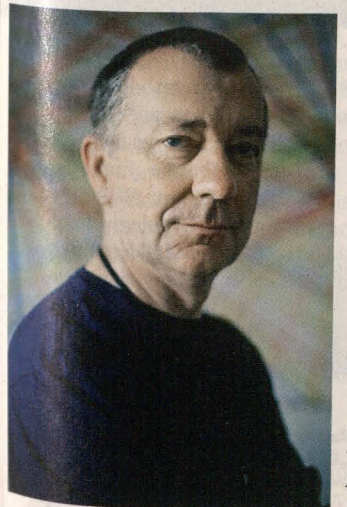
+++ TADEUSZ NYCZEK

Mieszkać w geometrii Jacek Ziemiński tym razem zaprasza na wystawę do domu

Kiedy studiował na warszawskiej ASP w drugiej połowie lat 70., epoka gierkowska chyliła się ku upadkowi i coraz dziwniej było żyć w kraju, gdzie wystarczyło parę lat, by euforia z powodu coca-coli i kolorowej telewizji zamieniła się w beznadziejność kartek na cukier i octu na półkach jako głównego towaru codziennego użytku. W sztuce dominował antyestetyczny figuratywizm nierzadko pokazujący język załganemu socjalizmowi, a Nowi Dziwcy wyładowywali pędzlem i szpachlą całą swoją wściekłość na idiozmyzmu istnienia. Za chwilę przyszły stan wojenny i ponure lata 80.; młodzi artyści, zwłaszcza warszawscy, zareagowali na to wszystko już tylko wypięciem tylnej części ciała. Ich kolorowe na przekór panującej szarości i perwersyjnie groteskowe obrazy demonstrowały swoistą niezależność zarówno od beznadziei życia, jak i heroiczno-patriotycznych uniesień następców Rejtana (gdyby był malarzem). Wśród nich znajdziemy Jacka Ziemińskiego.

Przeszło znów parę lat, socjalizm diabli wzięli i zaczął się nowy świat, w którym można już było zaprzestać używania pędzla jako oręża w walce o cokolwiek. Ziemiński odkrył radość malowania bezinteresownego i zajął się wyłącznie kolorem, światłem, formą, przestrzenią, fakturą.

To, co robi od tamtego czasu, można od biedy nazwać malarstwem abstrakcyjnym. Niewpraw-

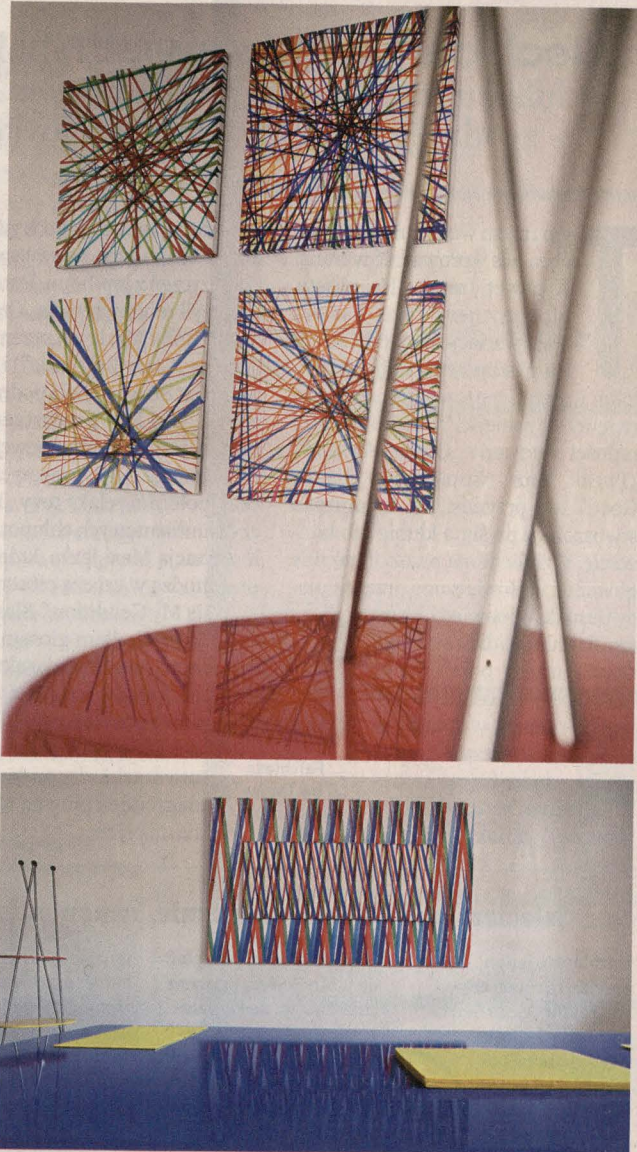


Ziemiński to malarz koloru, światła, formy, przestrzeni i faktury

ne oko zobaczy tylko pasy: pionowe albo poziome, w różnych konfiguracjach barwnych, z daleka kojarzące się z projektami wzornictwa przemysłowego. Gdyby nie drobiazg widoczny dla wprawniejszego oka – te obrazy to w istocie niesłychanie wyrafinowane kolorystycznie kompozycje malarskie, których cichym bohaterem jest wewnętrzne światło. Ich idea wywiedziona z jednego z najefektowniejszych nurtów artystycznych XX wieku op-artu polega mianowicie na delikatnych oszustwach optycznych, grach światłem wciągających widza w nieprzeczuwanie głęboką przestrzeń obrazu.

Najnowsza wystawa w krakowskim Zderzaku nazywa się zaskakująco „Co robi malarz we wnętrzu”. Zaskakująco, bo odpowiedzi, jak się okazuje, może być co najmniej kilka. Malarz we wnętrzu, powiedzmy w pracowni, może oczywiście malować. Rzecz jasna, to również robi Ziemiński, czego efekty oglądamy w postaci obrazów rozwieszonych na ścianach. Ale może we wnętrzu zwyczajnie mieszkać: patrzeć przez okno, jeść, spać, myć podłogę. Może również – uwaga – od początku do końca wymyślić to wnętrze. Czyli zaprojektować je i wykonać. Tak właśnie kilka lat temu Jacek Ziemiński wymyślił i zbudował swój dom w Czarnowie pod Warszawą. Projektując go niemal tak, jak się tworzy dzieło sztuki: znaczną część mebli i pozostałego wyposażenia wysłał wręcz spod jego ręki wykonana ze specjalnie dobranych i przetworzonych prefabrykatów. Wszystko odpowiednio pomalowano, łącznie ze ścianami i drzwiami, tworząc przemysłane kolorystyczne kompozycje.

Na wystawie w Zderzaku zobaczymy nie tylko obrazy, ale też dwa przedmioty „domowe” – niebieski stół na czerwonych metalowych nogach-koziolkach oraz coś w rodzaju głównie dekoracyjnego urządzenia podobnego do kwietnika. Na blacie stołu leży kilka prostokątnych złotych podkładek filcowych pod ewentualne talerze, kto zaś podniesie głowę, ujrzy na suficie kom-



Jacka Ziemińskiego meble i obrazy (u góry „Kalina”, „Ewa”, „Julia” i „Zuza”, na dole „Marszowy”)

pozycję złożoną z pokrzyżowanych pasków kolorowej taśmy. Gdyby obrazów było mniej, gdyby był inny stół i gdyby to nie była galeria przy Floriańskiej w Krakowie, artysta mógłby powiedzieć: tak oto (prawie) wygląda salon w moim domu. Proste, surowe wnętrza, żadnych ozdóbek, dywaników i serwanek z filizankami. Czyste kolory, oszczędny, niemal geometryczny design. Tak lubię, w tym mieszkam. Na przeciwnym biegunie baroku, rokoka i secesji. Takie też są nowe obrazy Ziemińskiego. Krzyżują się na nich jak wiązki lasera barwne pasy i paski, o tyle inne od tamtych z poprzedniej dekady, że bardziej zgeometryzowane i jednocześnie ułożone w nieporównanie bardziej ekspresyjne kompozycje. Jakby porządek i chaos walczyły tu o lepsze. I jakby wszystko wymyślił ktoś, kto wewnętrzną pasję i szaleństwo stara się okiełznać za pomocą matematyki.

Mogę sobie wyobrazić ludzi, którzy nie wytrzymałoby w takim wnętrzu godziny. Ale i takich, którzy z przyjemnością ukryliby się tu przed bałaganem i bylejąkością zewnętrznego świata. □

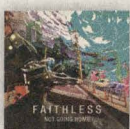
Jacek Ziemiński „Co robi malarz we wnętrzu”, Galeria Zderzak w Krakowie, do 3 lipca

Niech cały wiruje świat Faithless lubili uczyć, bawiąc. Na „The Dance” – zgodnie z tytułem – głównie bawią

++++ JAREK SZUBRYCHT

Tym razem weterani parkietów chcą nas wprowadzić w trans. A nawet trance. Na prosty, hipnotyzujący rytm nadziejają wariacje na temat strzępu niezbyt wymagającej melodii i cierpliwie czekają, aż poderwiemy się z miejsc. W domu wielkiej radości słuchanie „Comin Around”, „Tweak Your Nipple” czy „Feelin Good” nie przynosi, bo to muzyka stworzona z myślą o klubie lub koncercie. Wzmocniona przez olbrzymie głośniki i uciwiożona przez falujący tłum da odpowiedź na to, czy Faithless udało się przetrwać zmianę pokoleniową na tanecznej scenie. Odpowiedź – jestem w stanie postawić na to wszystkie pieniądze – twierdząca.

A jednak bardziej niż ów taneczny amok interesu-



Faithless
„The Dance”,
Notes Tunes/
PIAS

ją odstepujące od niego wyjątki. Tym razem brak ukłonów w stronę rocka i zapożyczeń z hip-hopu. Jest za to reggae, czyli reinterpretacja „Crazy Baldhead” Boba Marleya (przemianowanego na „Crazy Bal’heads”) i nawiązanie do lat 80. w postaci podrasowanej wersji „Feel Me” z repertuaru niepamiętanej u nas synthpopowej formacji Blancmange. A gdy zmęczycie się tańcem, polecam relaks przy „Flyin Hi”, czyli ambientowych chłupotach z melorecytacją Maxi Jazz’a, które płynnie przechodzą w uroczą piosenkę „Love Is My Condition”. Blasku dodaje jej słodkim głosem Mia Maestro (argentyńska aktorka znana między innymi z „Dzienników motocyklowych”), i to ona, nie Dido (tym razem w dwóch utworach), dostanie ode mnie nagrodę za główną rolę żeńską na tej płycie.

Selector: tanecznie, neurotycznie, romantycznie

Faithless to jedna z gwiazd drugiej edycji krakowskiego Selector Festivalu, który ze względu na powodź został przeniesiony z podmokłych Błoni na położony znacznie wyżej teren Muzeum Lotnictwa. I dobrze. To nie rockowy spektakl, na któ-



Selector
Festival,
Kraków,
4–5.06

rym zdrowo jest potaplać się w błocie, lecz impreza taneczna, gdzie konieczne trzeba mieć twarde gruntu pod nogami. Bo będzie przy czym się poruszać. Oprócz utytułowanych wykonawców, jak Faithless, bujające rytmem reggae Thievery Corporation czy król nowo-

go disco Calvin Harris, organizatorzy zaprosili artystów, którzy jeszcze nie są u szczytu popularności, ale jak szaleni pną się w niepisanych rankingach imprezowych pewniaków. Stawiamy głównie na eklektycznego Boys Noize, romantycznych i neurotycznych Friendly Fires oraz seksowną Uffie, ale niespodzianek może być więcej. – jsz



Dwie trzecie Faithless (Sister Bliss i Maxi Jazz) ruszy wnet w taniec



Jamie Lidell
przechodzi
na ciemniejszą
stronę soulu

Soul niejedno ma imię

Męskiego honoru
w zdominowanym przez panie
świecie soulu z powodzeniem
bronią Brytyjczycy
– Jamie Lidell i Plan B

SZUKAJĄC DZIŚ W AMERYCE soulu w duchu dawnych mistrzów gatunku, znajdziemy co najwyżej sympatycznego, acz zaledwie poprawnego Mayera Hawthorne’a. Żądni mocniejszych wrażeń tropów czarnych klasyków powinni szukać raczej na Wyspach

Brytyjskich. Stamtąd pochodzi Jamie Lidell, niedgdyś biały aktywista sceny techno, który elektroniczne eksperymenty zamienił na pokłony dla Wondera, Gaye’a i Reddinga. Najpierw nieśmiało – soulowe fascynacje przepuszczał jeszcze przez układy scalone cyfrowych zabawek, z czasem jednak brzmienie gwiazd katalogów Motown i Stax zaczął oddawać tak wiernie, że zaczęto o nim mówić jako



Jamie Lidell
„Compass”,
Warp, Notes
Tunes/PIAS

o męskim i nieco bardziej alternatywnym odpowiedniku Amy Winehouse. Tak było na wydanym dwa lata temu albumie „Jim”. „Compass” jest inny. W porównaniu z gładko wypolerowanym poprzednikiem mniej sterylny, ciemniejszy, miejscami eksperymentalny. Co nie znaczy wcale, że niespokojnej duszy Lidellowi soul już się znudził. Przeciwnie, brytyjskiemu wokaliście wciąż zdarza się zaśpiewać jak Prince

FOT. ISOUND, SONIC, WARNER

JAREK SZUBRYCHT

Historia i histeria Hawkwind przyjmują holdy, a The Flaming Lips sikają na pomnik

Hawkwind pamiętany jest głównie jako zespół, w którym rockowy elementarz przyswoił sobie Lemmy Kilminster, lider Motörhead. To niesprawiedliwe, zważywszy na fakt, jak barwna i oryginalna była to grupa. Postmetalowcy z Ameryki – Minsk, US Christmas oraz Harvestman (projekt Steve’a Von Tilla z Neurosis) – przypominają również, że Brytyjczycy potrafili pisać niezłe piosenki. Może trochę szkoda, że nikt tu nie odważył się zajrzeć pod spaceroczkową podszewkę i poza podkręceniem tempa czy dociążeniem brzmienia (szczególnie Minsk) repertuar Hawkwind potraktowano ze czcią i z dystansem. Jednak już za samą próbę przedstawienia ich dorobku młodemu pokoleniu należą się brawa.



++++
Harvestman/
US Christmas/
Minsk
„Hawkwind
Triad”, Neurot



++++
The Flaming Lips
„The Flaming Lips and Stardeath
and White Dwarfs with Henry Rollins
and Peaches Doing the Dark Side of the Moon”, Warner

Co innego The Flaming Lips. Skrzyknęli paru znajomych (Henry’ego Rollinsa, Peaches i grupę Stardeath and White Dwarfs), by z ich pomocą zaszlachtować świętą krowę. Zaczynicie słuchać tej płyty od dziwnych wrzasków Peaches w „The Great Gig in the Sky” – jeśli przetrzymacie tę próbę, jest szansa, że przetrzawicie całość. The Flaming Lips podeszli bowiem do Pink Floyd jak Armia Czerwona do ziem wyzwolonych. Wzię-

li, co im się spodobało, nawet gdy nie wiedzieli, do czego to służy, a całą resztę zniszczyli. Jeśli „Ciemna strona...” to dla was obiekt religijnej czci, jeśli nie potraficie pomyśleć o tych wszystkich aranżacyjnych i produkcyjnych smaczkach bez zginania kolan, nie polecam wam wersji The Flaming Lips, bo wiem, że będziecie cierpieć. Sam jednak za sprawą tej płyty odkryłem w oryginale Pink Floyd rzeczy, na które wcześniej nie zwracałem uwagi, więc uważam, że to eksperyment udany. Żeby nie było wątpliwości – ja też uważam „Dark Side of the Moon” za arcydzieło, ale zarazem wyznaję zasadę, że nie ma takiej Mony Lizy, której nie dałoby się dorysować wąsów.



czy młody Michael Jackson, ale odkrył też, że soul to nie tylko romantyczne historie, ale też smutek, lęk, tematy poważne i mroczne. Przy okazji odkrył także bluesa i folk. Zapewne dzięki nowym amerykańskim przyjaciółom – Beckowi oraz muzykom grup Wilco i Grizzly Bear, z pomocą których stworzył tę udaną płytę. Komu jednak muzyka Lidella wyda się zbyt chropowa-



++++
Plan B „The
Defamation of
Strickland
Banks”, 679

ta, introwertyczna i mało przebojowa, niech bez obaw sięga po Plan B. Za tym pseudonimem kryje się kolejny biały Brytyjczyk zakochany w muzyce czarnej Ameryki i kolejny artysta, który dla staromodnego soulu kompletnie zmienił image. Jeszcze cztery lata temu był zakapturzonym raperem bez większego powodzenia konkurującym z The Streets o szacunek brytyjskiej ulicy. Dziś wraca jako

soulowy elegancik w nienagannie skrojonym garniturze i miast zdobywać serca młodych gniewnych, podbija listy przebojów. Nie, żeby zupełnie zdradził hip-hop. O korzeniach autora „The Defamation of Strickland Banks” przypominają rapowe wstawki, ale dominuje głos, który zmiekczył niedawne damskie nogi, i aranżacje, jakich nie powstydziłoby się podopieczni Marka Ronsona na czele z wspomnianą już Winehouse.

Bartek Winczewski

SOULFLY

11.06 W-Z / WROCŁAW
12.06 LOCH NESS / KRAKÓW

BEATSTEAKS

SUPPORT: THE RADIO DEAD ONES, THE BLACK TAPES
16.06 PROXIMA / WARSZAWA

CRYSTAL CASTLES
CRYSTAL CASTLES

AFTER PARTY: V/A TEAM
23.06 SZYB WILSON / KATOWICE
24.06 PROXIMA / WARSZAWA

JAROCIN FESTIWAL

JAROCIN FESTIWAL

PIDZAMA PORNO, GOSSIP, GALLOWES, TSA, DEZERTER + GOŚCIE, KORA, FLOGGING MOLLY, SKA-P, TLOVE + GOŚCIE, LAO CHE, COMA, HEY MUCHY I INNI
16-18.07 JAROCIN

BAD RELIGION 30 YEARS

BILLY TALENT

17.08 PARK SOWIŃSKIEGO / WARSZAWA

LIMPBIZKIT

09.10 STODOŁA / WARSZAWA

DIE TOTEN HOSEN

5.10 ESKULAP / POZNAŃ
6.10 PARLAMENT / GDAŃSK
8.10 STODOŁA / WARSZAWA
9.10 KWADRAT / KRAKÓW
10.10 WZ / WROCŁAW

APOCALYPTICA

22.10 ESKULAP / POZNAŃ
25.10 STODOŁA / WARSZAWA

KUBA DĄBROWSKI

Rusztowania kanonu

W końcu doczekaliśmy się opracowania dziejów polskiej fotografii

Fotografia jeszcze nigdy nie była w Polsce tak popularna jak dziś. Nie chodzi tylko o to, że każdy ma w domu małą cyfrę, a w kieszeni telefon komórkowy z aparatem. Od paru lat fotografia staje się coraz ważniejszą dziedziną kultury. Dorobiliśmy się kilku znaczących festiwali (Kraków, Łódź, Białsko-Biała), coraz częściej odbywają się u nas ważne wystawy (Roni Horn w Zamku Ujazdowskim w Warszawie), jedna po drugiej powstają prywatne szkoły i wydziały na państwowych akademiach sztuki, polskie nazwiska stają się rozpoznawalne za granicą (Rafał Milach, Wojciech Wieteska).

Nowe nici

Wszędzie postęp, progres po horyzont. Aż trudno uwierzyć, że nikt dotąd nie zebrał obszernej historii polskiego fotografowania w jednym dziele. Tłumy fotografów odwołują się więc raczej do wzorców obcych niż rodzimej tradycji – bo tej nie znają. Młodym pejzazystom fotografującym nasze przedmieścia łatwiej odwołać się do Walkera Evansa niż Jana Bułhaka. Dla reporterów i dokumentalistów naturalnym punktem odniesienia jest agencja Magnum, a nie fotograficzne ekipy magazynów „Świat” czy „Stolica”.

To tak, jakby normą wśród filmowców było powoływanie się na twórczość Vittoria De Siki, przy absolutnej nieznajomości dokonania szkoły polskiej, jakby młodzi jazzmani nigdy nie słyszeli o Krzysztofie Komedzie. Wydana właśnie książka Adama Mazura próbuje zasympać tę gigantyczną dziurę – a nie jest to łatwe zadanie.



Adam Mazur
„Historie
fotografii
w Polsce
1839–2009”,
Fundacja Sztuk
Wizualnych,
2010, s. 528,
89 zł



„Kibice”
Piotra Baręcza
– przykład
zapomnianego
PRL-owskiego
reportażu
i piękna
opowieści
o patrzeniu

Autor przytacza anegdotę z otwarcia wystawy koalicji Latarnik w 2002 roku. O napisanie tekstu kuratorskiego grupa polskich fotografów średniego pokolenia (Andrzej Georgiew, Paweł Żak) poprosiła amerykańskiego krytyka Allana Douglasa Colemana. Na wernisazu Amerykanin powiedział: – Jesteście we wspaniałej sytuacji, nie macie historii, nic

was nie obciąża, możecie sobie sami wszystko wymyślić.

Pojawiająca się przed Adamem Mazurem perspektywa przygotowania kanonu musiała być kusząca i przerażająca zarazem. To czynność wyjątkowo odpowiedzialna. Decyzja o tym, kto znajdzie się w indeksie nazwisk na końcu książki, które zjawiska potraktowa-

ne zostaną szczegółowo, a które zmarginalizowane, była przecież, nazwijmy to radykalnie, decyzją o którymś artystycznym życiu lub śmierci. Mazur robi więc w tym miejscu mały unik – już w tytule zaznacza, że nie pisze „historii”, ale „historie” fotografii w Polsce. Rozlaną magmę próbuje rozbić na mniejsze, łatwiejsze do ogarnięcia i uporządkowania wątki.

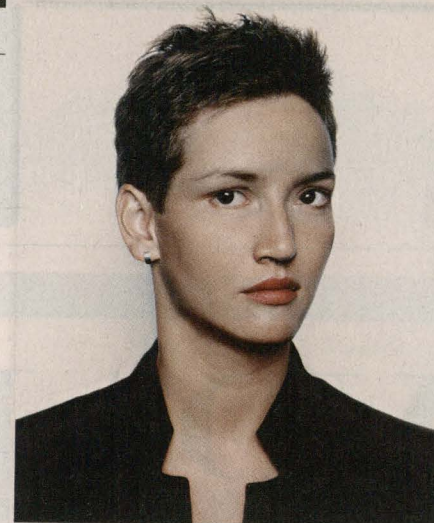
Na początku mamy więc rozdział o fotografii rzemieślniczej i amatorskiej – oprócz zmieniających się na przestrzeni epok pamiątkowych portretów z atelier trafia tu między innymi twórczość Witkacego i głoszone przez Jerzego Lewczyńskiego program archeologii fotografii. Później czytamy o impulsie dokumentalnym, czyli o reportażu i dokumentalizmie. Ciekawe są fragmenty o propagowanej przez Jana Bułhaka „fotografii ojczystej” i o w większości ciągle nieznanym fotoreporterach z czasów odwilży. Dużo uwagi (to bardzo dobrze) Mazur poświęca opisującemu współczesność pokoleniu „nowych dokumentalistów”. „Gest plastyczny w fotografii” to rozdział o „fotografice”, nowej rzeczywistości i socrealizmie.

Książkę zamyka „Konstruowanie obrazów” – część o styku fotografii z głównym obiegiem sztuki. Czytamy tu między innymi o międzywojennych awangardach, konceptualizmie, postmodernizmie i aktualnych strategiach wykorzystywania fotografii przez artystów. Mazur nie poprzestaje na kronikarstwo i wyliczaniu, plecie nici powiązań i pokazuje fotografom, gdzie w lokalnej historii leżą źródła przyjmowanych przez nich postaw (na przykład szukającego fotografii na strychach Lewczyńskiego i przeczesującego serwis Allegro Długosza).

Zużyta metafora

Na wszystko można ponarzekać, na książkę Adama Mazura również. Można powiedzieć, że została napisana suchym naukowym językiem, zawiera dużo cytatów z Michela Foucaulta, brak w niej mięsistych anegdot i nie czyta się tego jak Gombriha. Odpowiadamy sami sobie: autor jest kuratorem w Centrum Sztuki Współczesnej i chcąc nie chcąc, patrzy na świat z własnej perspektywy. Publikacja jako pierwsza i przecierająca szlaki z natury rzeczy musi być rzetelna i naukowa. Ma być podstawą, punktem wyjścia dla następnych wydawnictw autora (już zapowiadane są aneksy) i prac kolejnych badaczy. Poza tym i tak wyszła z tego niezła cegła, książka ma ponad 500 stron, kilkadziesiąt ilustracji i jest pięknym przedmiotem (zaprojektował ją Grzegorz Laszuk).

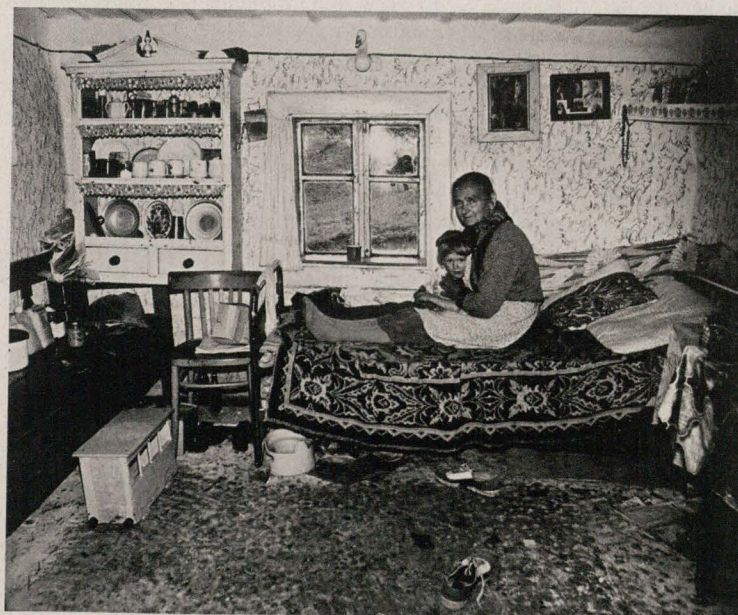
Można się z nią nie zgadzać, można nie przebrnąć przez nią za pierwszym podejściem, ale każdy, kto interesuje się fotografią, po prostu nie może jej nie mieć. Przywracamy tradycję, budujemy kanon, dowiadujemy się, skąd przyszliśmy. Metafora mapy jest już mocno zużyta, ale w tym wypadku może się sprawdzić. Mazur porządnie narysował kontury, teraz trzeba je wypełnić – nanieść izohipsy i starannie pokolorować kredkami.



„Portrety” Anety Grzeszykowskiej
– fotografia spotyka się ze sztuką współczesną



Kazimierz Podsadecki, czyli podłana
awangarda ilustracja prasowa



„Zapis
socio-
logiczny”
Zofii Rydet
– jeden
z niezliczonych
projektów
w historii
polskiej
fotografii

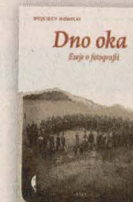
Kolekcja prywatna

Równoległe z pracą Adama Mazura pojawiła się książka skromniejsza, ale co najmniej równie dobra. Warto czytać je symultanicznie

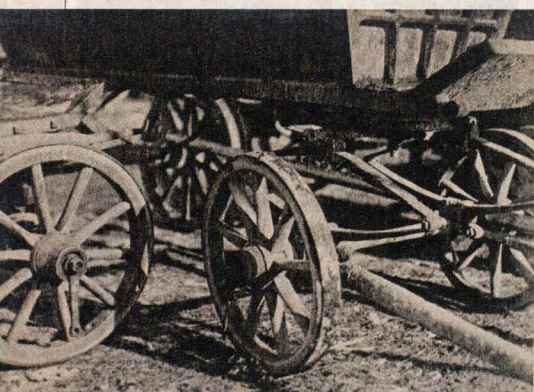
WOJCIECH NOWICKI KOJARZY mi się z intelektualistami starej daty. Mieszka w Krakowie i jest absolutnym erudyta – tłumaczy z francuskiego, zna się na historii, kuchni oraz na wielu innych rzeczach. Oprócz tego kolekcjonuje fotografie i od czasu do czasu pisze o nich eseje do „Tygodnika Powszechnego”. „Dno oka” to ich wybór.

Za każdym razem autor zaczyna swoją opowieść od pojedynczej fotografii, nie kadru, ale właśnie fotografii – przedmiotu, kawałka papieru z utrwalonym na nim obrazem. W większości są to zdjęcia absolutnie nieznane: wakacyjne pamiątki ziemiańskiej rodziny z okolic Lwowa, dokumentacyjne zdjęcie z wileńskiej ochronki, niedźwiedź w zamojskim zoo.

Wojciech Nowicki rozumie, z czego ulepione są poszczególne zdjęcia, wie, jak działają, i dopiero na tym fundamencie buduje swą intelektualną ekwilibrystykę. O fotografii mówi się tu we właściwy tylko dla niej sposób. Trudno powiedzieć, o czym w gruncie rzeczy traktują teksty Nowickiego: o mechanizmie robienia i oglądania zdjęć, o społecznej roli fotografii, o rodzinnych albumach i o pamięci. Są o wszystkim, co mieści się na zdjęciach. A wiemy, że obiektyw nie wybiera i mieści się w nim niemal cały świat.



Wojciech Nowicki „Dno oka. Eseje o fotografii”,
Wydawnictwo
Czarne,
Wołowiec
2010, s. 184,
41,90 zł



„Kałamaszka” – Jana Bułhaka fotografia ojczysta



„Tryptyk znaleziony na strychu” – archeologia fotografii Jerzego Lewczyńskiego



PRZYPADEK I PRZEZNACZENIE

O FOTOGRAFICZNYCH EKSPERYMENTACH, PRAWDZIE I FAŁSZU FOTOGRAFII, DOŚWIADCZENIU ZAGŁADY I ŻYCIU ARTYSTY PO OBU STRONACH WIELKIEJ WODY
MÓWI **RYSZARD HOROWITZ**

Kiedy ostatnio zrobił pan zdjęcie?

– Ostatnio przed przyjazdem ze Stanów do Polski.

Co to było? Jakaś ekskluzywna reklama?

– Od dawna nie robię reklam, poświęcam się realizacji własnych fantazji. Eksperymentuję, uczę się nowych technik, interesują mnie różnego rodzaju urządzenia optyczne i cyfrowe. Staram się iść do przodu, nie spoczywam na laurach. Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że kocham to, co robię. Moi przyjaciele, którzy traktowali fotografowanie jako zawód, już dawno wypadli z obiegu – z frustracji, ze zmęczenia. Zajmują się dziś handlem nieruchomościami.

Zawsze pan podkreśla, że nie ma podziału na fotografię komercyjną i artystyczną.

– Bo nie ma. Fotografia reklamowa może być w takim samym stopniu dziełem sztuki jak tak zwane zdjęcie artystyczne. Dla mnie jako eks-malarza fotografowanie jest bardzo zbliżone do malarstwa, a aparat fotograficzny do pędzla. Mam do dyspozycji miliony kolorów i podobnie jak przy malowaniu mogę je przesuwając, nakładać, zmieniać, przetwarzać. Oczywiście nie wszyscy się z tym zgadzają. Niektórzy twierdzą, że pędzel jest przedłużeniem mózgu, a aparat nie. A ja się pytam: co z tego, że używamy aparatu? W dalszym ciągu to my nim kierujemy, to wynika z naszej duszy, z umysłu. Na szczęście od niedawna, przynajmniej w Ameryce, fotografia jest traktowana jak sztuka.

Zdarzało się panu robić fotografie, które są dziełami sztuki?

– Mam kilka zdjęć, które – tak mi się wydaje – mogą przetrwać, bo są bardzo proste, symboliczne, czyste graficznie. Ogromnie lubię czar-

no-białe zdjęcie z głową w jajku. Byłem bardzo mile zaskoczony, bo wydrukowano je na zaproszeniu na uroczystość przyznania mi doktoratu honoris causa warszawskiej ASP. To zdjęcie, które w zasadzie mogłoby być zrobione wczoraj, z tym że ja je zrobiłem bez komputera. Ludzie w to oczywiście nie wierzą. Dlatego kiedy publikuję zdjęcia, zawsze staram się umieścić datę ich powstania.

Teraz też pan eksperymentuje?

– Odkryłem coś bardzo ciekawego. Niedawno NASA skonstruowała urządzenie zaprojektowane do fotografowania plenerów na Marsie. To coś w rodzaju zdalnie kierowanego motoru aparatu fotograficznego, który przesuwając go do góry, w dół, na boki, fotografuje cegiełki pejzażu. Potem dzięki urządzeniom cyfrowym składa się je w całość. Niedawno dowiedziałem się, że uproszczona wersja tego urządzenia jest do zdobycia na rynku. Zakręciłem się wokół tego i kupiłem. Na szczęście nie było zbyt drogie. Najpierw robiłem zdjęcia z okna mojej pracowni, potem na ulicy. To mnie szalenie zafascynowało, bo różnica pomiędzy normalnym zdjęciem, które składa się z jednego ujęcia, a takim, które składa się z pięćdziesięciu czy ze stu ujęć, jest niesamowita. Zdjęcie robione tą metodą jest wielokrotnie ostrzejsze i widać na nim o wiele więcej detali. Robiąc na przykład szerokim kątem zdjęcie z dachu, mam ostrość od pierwszego planu po kilometr dalej. Można zobaczyć, co jakaś pani robi na swoim tarasie. Te zdjęcia mają tak nieprawdopodobną jakość zapisu, że wyglądają jak surrealistyczny obraz. I to mnie teraz – jak się mówiło w Krakowie – rajcuje.

Zabawki są coraz lepsze...

– Inne.

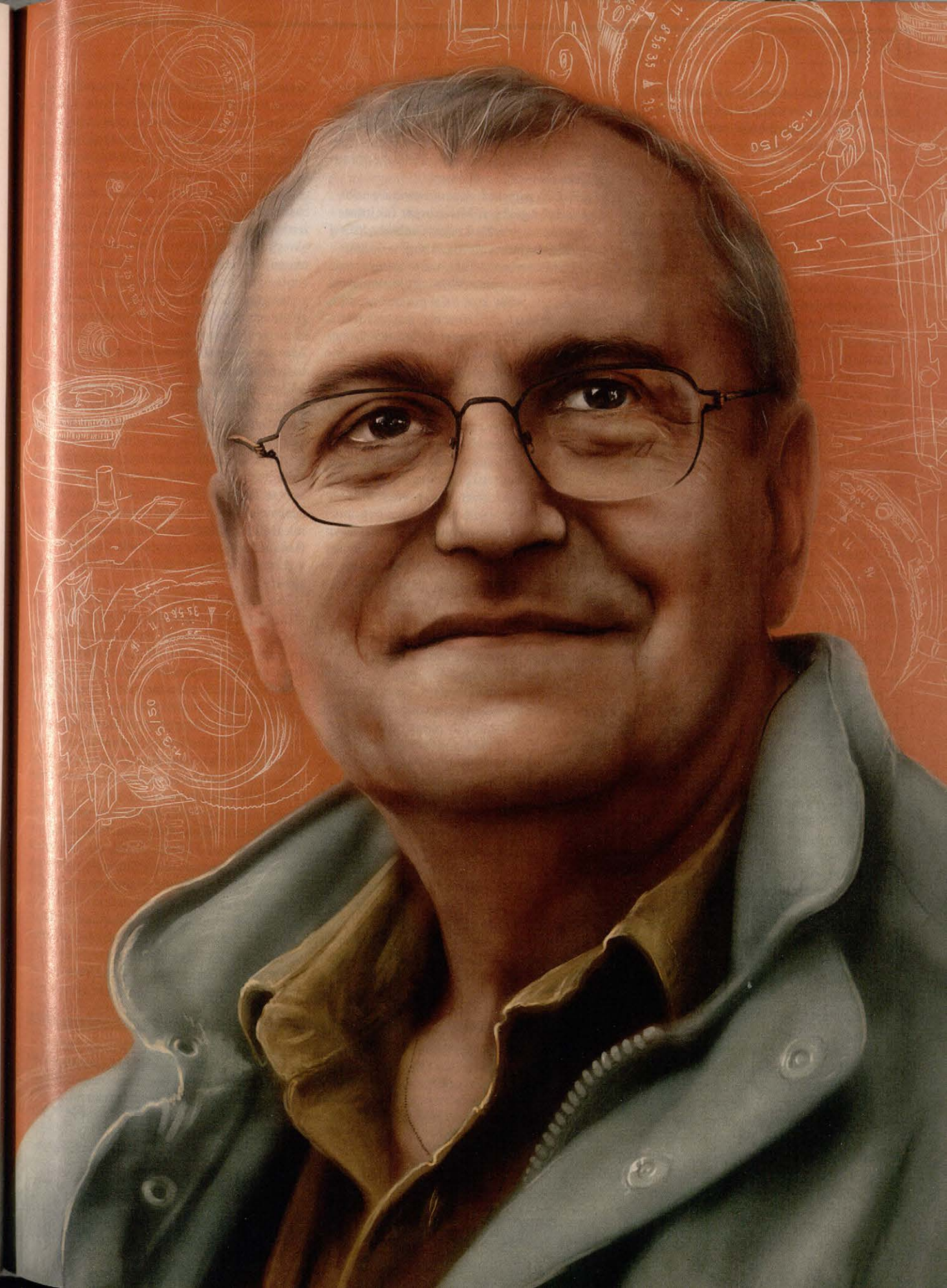
Ale idea pozostaje chyba wciąż ta sama: uchwycenie rzeczywistości albo – jak w pana przypadku – jej esencji.

– Fotografia, jeśli się ją traktuje w sposób szablony, rejestruje to, co się dzieje przed aparatem. Mnie interesuje bardziej składanie różnych sytuacji, dzięki czemu powstaje świat nieistniejący, nieuchwytny. Ponieważ jest wykreowany za pomocą aparatu fotograficznego, ludzie zaczynają weni wierzyć, wierzyć w to, co widzą. Dopiero po chwili zdają sobie sprawę, że to fałsz. Mogę sobie na to pozwolić, ponieważ nie odwzorowuję rzeczywistości, lecz ją kreuję.

Ale w wypadku zdjęć reporterskich ich „podkreślenie” jest niedopuszczalne, choć, jak wiemy, to się zdarzało i zdarza. Od samego początku istnienia fotografii ludzie próbowali coś kombinować. Są słynne portrety Lincolna, na których głowa należy do prezydenta, a tułów do kogoś innego. Znany amerykański fotograf z czasów wojny secesyjnej zostawił dziesiątki klisz z pola walki, które wyglądają bardzo realistycznie. Tymczasem czytałem, że układał ciała zabitych żołnierzy tak, by kompozycja była ładniejsza.

Kiedy oglądam fotoreportaże, staram się w nie wierzyć, choć zdaję sobie sprawę, że zawsze stoi za nimi manipulacja, choćby przez dobór zdjęć albo ich układ. Gdy zacząłem eksperymentować z komputerami, znalazłem się pod potwornym ostrzałem redaktorów od fotografii, którzy zarzucali mi oszustwo. Starałem się im wytłumaczyć, że to, co robię, nie ma nic wspólnego z fotoreporterką, żeby się odczepili i zostawili mnie w spokoju, ale ich stosunek do moich prac był szalenie negatywny. Pamiętam, jak ukazało się zdjęcie na okładce „National Geographic”: beduin na tle piramidy Cheopsa. Potem ktoś odkrył, że aby skomponować okładkę, szef artystyczny przesunął trochę beduina. Rozpętała się awantura, że to oszustwo.

To kaszka z mlekiem w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj. Widuję



→ **na okładkach kolorowych pism kobiety skądś znajome, ale kompletnie do siebie niepodobne. Spreparowane, pozbawione zmarszczek, charakteru.**

– Zatarła się granica między prawdą a oszustwem. Znany paniom, które chcą uchodzić za piękne, wmontowuje się na zdjęciach nogi, biust, szyję kogoś zgrabniejszego i ludzie się na to nabierają. Wierzą w wyretuszowaną urodę, choć jednocześnie wiedzą, że twarz na fotografii nijak się ma do prawdziwej. Ale dana osoba zaczyna uchodzić za piękną.

A od dawna wiadomo, że piękna jest ta, o której wszyscy mówią, że ma urodę.

Powszechny spisak.

– Tak się tworzy kanony urody. Jeśli ktoś do nich nie pasuje, zostaje zdyskwalifikowany. Zresztą retusz to nie jest rzecz nowa. Wiele lat temu jeszcze jako młody chłopak byłem asystentem słynnego fotografa Richarda Avedona.

Podobno nie lubi pan jego zdjęć?

– Jego zdjęcia mody były rewelacyjne, natomiast portrety wydają mi się trochę sztywne. Wiele osób mówi, że to autoportrety Avedona, bo on wydobywał z ludzi to, co chciał. Nie interesowała go rzeczywistość ani to, kim są ludzie, których fotografuje. Stwarzał własną wizję. Sam mi opowiadał, jak fotografował księżniczkę Windsoru i panią Simpson. Obydwoje słynni byli z tego, że siedzieli na pieniądzach, nie w zasadzie nie robili, podróżowali po świecie i pokazywali się na wytwornych przyjęciach. Mieli jeden czuły punkt – ukochanego pieska. Avedon przed zrobieniem portretu powiedział księżniczce: słuchaj, mam dla ciebie straszną wiadomość, przed chwilą auto przejechało twojego pieska. Księżę zrobił niesamowity wyraz twarzy i wtedy strzeliła migawka. Portret jest bardzo ciekawy, bo widzimy człowieka, który przeżywa największą katastrofę swojego życia, większą niż rezygnacja z brytyjskiego tronu. Ale czy to jest prawda o nim? Moim zdaniem nie.

Poza tym na zdjęciach Avedona wszystkie te panienki niezależnie od wieku wyglądały rewelacyjnie, pracowali nad tym jego asystenci.

Gorzej przy spotkaniu twarzą w twarz...

– To bywało okropne. Kochałem się kiedyś w pewnej modelce. Miała nieprawdopodobną twarz, coś niesamowitego w oczach, w wyrazie twarzy. Widziałem mnóstwo jej zdjęć.

Któregoś dnia jestem na przyjęciu u kolegi fotografa i widzę w kuchni dziewczynę o słowiańskim typie urody, która kogoś mi przypomina. Przedstawiono nas sobie i okazuje się, że to moja wyidealizowana dziewczyna, która w rzeczywistości wygląda jak kuchta. Jej uroda była dziełem Hiro, genialnego fotografa, który światłem był w stanie wszystko wykreować.

A pan jaką ma metodę?

– Mnie interesuje coś innego. Robiłem to podświadomie, a teraz zaczynam rozumieć, że dla mnie uroda kobiety ma być ponadczasowa. Modelki na ogół mają włosy zaczesane do tyłu, delikatny makijaż, klasyczną urodę bez zakorzenienia w aktualnej modzie. Zarzucano mi, że są

zimne, ktoś nawet powiedział, że nie lubię kobiet, ale to wszystko bzdura.

Ale są zimne, odhumanizowane, wyglądają jak piękne przedmioty.

– Na niektórych zdjęciach tak je właśnie traktuję – jako elementy kompozycji.

W pańskich zdjęciach doszukiwano się odbicia przeżyć z getta, z Oświęcimia. Tak interpretowano na przykład zdjęcie kobiety, której tułów idzie w jedną stronę, a nogi w drugą.

– To już jest wyższa szkoła jazdy. Czasem mnie to bawi, a czasem potwornie irytuje, ponieważ wygląda tak, jakby ktoś na siłę starał się udowodnić, że wszystko, co robię, jest wynikiem mojej przeszłości. Na szczęście są i tacy, którzy mają zdrowy stosunek i mówią, że moje zdjęcia są antytezą mojej biografii, że fotografie są optymistyczne, z poczuciem humoru. Miałem nie tak dawno bardzo fajny kontakt z genialnym muzykiem jazzowym Davidem Brubeckiem, którego fotografowałem po raz pierwszy jako gówniarz w Krakowie w 1957 roku. Dzięki tej fotografii sprzed lat poznałem go dwa lata temu, zaprzyjaźniliśmy się i ponieważ noszę się z zamiarem wydania książki o jazzie, poprosiłem go o napisanie wstępu. I on pisze o moim optymistycznym spojrzeniu. Choć prawda jest taka, że przez całe życie nosiłem w sobie smutek. Na zdjęciach nie widzę jednak symboliki odsyłającej do czasów wojny. Może to gdzieś ze mnie wycieka trochę podświadomie.

W filmach pańskiego przyjaciela Romana Polańskiego też pan nie widzi traumy?

– U niego tak. W czasie wojny ukrywał się, był zdany tylko na siebie. Byliśmy razem w getcie krakowskim i on zawsze opowiada z werwą, że był na moich trzech urodzinach i nawet pamięta, że moja mama podała kakao, którego ja rzekomo nie piłem, bo w jego mniemaniu byłem zepsuty. Zwykł mówić: mój Boże, mnie ślinka kapiała, a Rysiek, nieznośny gówniarz, nie chciał pić kakao. Nie wiem, ile w tym prawdy, ale on się upiera, że pamięta, bo jest starszy ode mnie. Niech mu będzie. Po wojnie ojciec go w zasadzie zostawił, matka zginęła w Oświęcimiu, miał macochę, która była dosyć potworna. Ale jakoś z tego wyszedł. Urządził sobie życie.

Teraz mu się rozsypało?

– Sytuacja w tej chwili jest dosyć tragiczna. Ostatnio jakaś Angielka przypomniała sobie ni stąd, ni zowąd, że Romek ją zgwałcił, gdy miała 16 lat. Poszła z tym do prasy. Podejrzewam,

że jeszcze parę pań wyskoczy z takimi rewelacjami. Romek znowu stał się ofiarą. Roznawiałem z nim nie tak dawno, jeszcze przed tymi ostatnimi rewelacjami. Wydawało się wtedy, że nie będzie ekstradycji. Romek mówił półżartem, że wszystko jest w porządku, mieszka w swojej willi, ogląda telewizję, odwiedzają go rodzina i przyjaciele. A tu nagle kolejne oskarżenia. System sądownictwa w Ameryce jest okropny, nawet jeśli mieli mu coś do zarzucenia, to już tyle lat minęło, że powinni odpuścić. Najbardziej boję się, że jeśli jeszcze długo będą go tak gnębili, to on nie będzie w stanie się z tego otrząsnąć. W tej chwili już od dłuższego czasu nie może pracować.

Zdarzało wam się rozmawiać o tym, co przeżyliście w czasie wojny?

– Kiedy byliśmy młodzi, to był temat tabu. Nigdy nie wracaliśmy do tamtych przeżyć. Później zdarzały się jakieś wspomnienia, ale w tonie raczej żartobliwym. O kakao – nie o grozie tamtego czasu. Dla mnie momentem przełomowym była „Lista Schindlera”, w której składam kamień na grobie bohatera filmu. Od tamtej chwili łatwiej mi mówić na ten temat, ale każdy z nas ma dramaty, które wciąż w nas tkwią.

Pana amerykańscy przyjaciele dopiero z „Listy Schindlera” dowiedzieli się, co pan przeżył.

– Tak, wcześniej nikt o tym nie wiedział. Nie chciałem, żeby ludzie odnosili się do mnie z litością, chciałem stanąć na własnych nogach. Był taki moment, już po filmie Spielberga, kiedy strasznie się zdenerwowałem. Właścicielka galerii fotografii proponowała mi urządzenie wystawy i nagle mówi: wie pan, ale nie możemy absolutnie wykorzystywać faktu, że pan był związany z Schindlerem. Zamurowało mnie. Ludzie myśleli, że będę chciał zrobić na tym karierę. Miałem rację, że wcześniej nie ujawniałem swojej przeszłości.

Nie da się ukryć, że wiele osób próbuje coś w ten sposób ugrać. Udzielają wywiadów, podróżują po uczelniach. Mnie też od czasu do czasu zapraszają, ale staram się wykręcać. Miałem takie spotkanie w gimnazjum w Nowym Jorku i okazuje się, że ludzie w ogóle nie wiedzą, o co chodzi, słyszeli o Zagładzie, ale nie ponadto. Padają na przykład pytania: jakie pan miał zabawki w Oświęcimiu?

Zdarzają się gorsze rzeczy. Parę lat temu wyszła w Stanach książka niejakiego Wil-

komirskiego, w której autor opisywał swoje wspomnienia z Oświęcimia z punktu widzenia dziecka. Sporo było wokół niej szumu, bo była świetnie napisana, niezwykle plastycznie. Spotkałem się z Wilkomirskim na kolacji u przyjaciół. I byłem zdziwiony, że on tak wszystko ze szczegółami pamięta, podczas gdy mnie różne rzeczy się pozacierały. Poza tym powinniśmy się byli zetknąć w obozie, bo byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Co się okazało? On nie był w Oświęcimiu. Jego rzekome wspomnienia wzięły się z badań historycznych.

Zastanawiam się, jak pięcioletnie dziecko jest w stanie przetrwać w obozie?

– Sam nie wiem. Zaczęłem się nad tym zastanawiać, kiedy moi synowie mieli cztery, pięć lat, czyli tyle, ile ja w getcie i w Oświęcimiu. Patrzyłem na ich fizyczną kruchość i nie mogłem pojąć, jak udało mi się przeżyć. Chyba nigdy tego nie dojdę, nigdy! Dla mnie to absolutna fantazja, często sam nie wierzę w to wszystko.

Przez jakiś czas byłem razem z rodzicami, ale kiedy zlikwidowano obóz w Płaszowie i Schindler przeniósł fabrykę na Słowację, rozdzielono nas. Mama z siostrą pojechały z transportem kobiet do Oświęcimia, ja zo-

Dla mnie pieniądze nigdy nie był celem i pewnie dlatego utrzymałem się na powierzchni. Gdybym poszedł w komercję, musiałbym robić rzeczy, których nie lubię

RYSZARD HOROWITZ

stałem z dziadkiem i ojcem. Kiedy Schindler dowiedział się, że pracownice z jego fabryki są w Oświęcimiu, pojechał je wyciągnąć, chciał wszystkich swoich ludzi przewieźć na Słowację. W tym czasie mnie i ojca też wywieziono do Oświęcimia. Minęliśmy się z Schindlerem, który między innymi moją mamusię wyciągnął z obozu. Pod koniec wojny ojca wywieziono do Mauthausen i zostałem sam.

Mama zobaczyła mnie na filmie z wyzwolenia obozu i tak się dowiedziała, że przeżyłem. Po wojnie trafiłem do sierocińca zakonnic, z którego wyciągnęła mnie ciotka Romka Polańskiego. Z rodzicami nigdy o tym nie rozmawiałem. Oni rozmawiali między sobą, z ludźmi w swoim wieku, z reguły szeptem, za moimi plecami. Ale prawdę mówiąc, guzik mnie to interesowało. Ciekawiło mnie życie, Piwnica pod Baranami, zabawa, jazz, „Przekrój” Eilego, który zachęcił mnie do fotografowania, Basia Hoff.

Dopiero po latach człowiek zaczyna się zastanawiać, jak to było możliwe. Na szczęście nie mam wyrzutów sumienia, które dręczą wielu ocalałych – że to oni przeżyli, a inni nie. Może dlatego, że uratowała się moja rodzina, chociaż jedna moja ciocia zginęła w straszny sposób, dziadkowie ze strony mamy zginęli w straszny sposób, ale przetrwali najbliżsi – rodzice i siostra. Siostra dużo pamięta, bo jest starsza ode mnie. Była tą dziewczynką w „Liście Schindlera”, która przyniosła mu tort na urodziny, a on ją pocałował. Potem miał przez to straszne pro-

blemy z gestapo. Ona pamięta takie detale, że dziękuje Bogu, że ja nie.

W tej chwili bardzo dużo czytam na ten temat i już nie przeżywam tego tak jak dawniej. Kiedy po „Liście Schindlera” zwracała się do mnie prasa, załamywałem się, nie potrafiłem na ten temat rozmawiać. Ściągnęli mnie kiedyś z siostrą do Niemiec do programu telewizyjnego. Prowadzący, który – jak się potem okazało – miał ojca w SS, zadawał kretynskie pytania, a ja się rozkleiłem. To było bardzo przykre.

Po wojnie był pan tylko raz w Oświęcimiu.

A pańscy synowie?

– Nie. Będą chcieli, to pojadą. Ja na pewno nie będę ich przewodnikiem. W tej chwili zdaje sobie sprawę, że tamtych przeżyć nie mogę odizolować od mojego życia, ale na szczęście nie żyję przeszłością. Dla mnie przeszłość to młodość w Krakowie, pierwsze romanse i przyjaciele, z wieloma nadal jestem w kontakcie. Mam szalenie romantyczny stosunek do tego wszystkiego. Kiedyś dobrze to podsumowała Joasia Ronkier, mówiąc, że żyliśmy we własnym świecie, wszystko było w naszych głowach. Dlatego nie zauważaliśmy PRL-owskiej szarzyzny. Chodziłem do liceum sztuk plastycznych, spotykałem

fenomenalnych pedagogów, artystów. Nie zajmowaliśmy się polityką. Na szczęście wyjechałem wcześniej, nie przeżyłem w Polsce '68 roku. Wyemigrowałem do Stanów dziewięć lat wcześniej. Czekaliśmy ponad dwa lata na paszport, potem na wizę i w końcu udało mi się wyjechać. Początki w Nowym Jorku nie były łatwe. Ale wiedziałem, że nie mogę wrócić, bo nigdy już nie wyjadę, to mnie motywowało. Nie będę ukrywał, że bardzo tęskniłem. Rodzice przysyłali mi numery „Przekroju”, z którego chłonałem atmosferę Krakowa. Na szczęście wiedziałem, czego chcę, wiele osób podało mi rękę, wielu wybitnych ludzi, tak że nie miałem problemu z pracą, nie wchodziłem w polonijne układy. I bardzo dobrze. W mojej kawalerce na Manhattanie bywali Bobek Kobiela, Ewa Demarczyk, słynni aktorzy, malarze. Już byłem Amerykaninem, wiedziałem, gdzie kupić buty, płyty jazzowe, używamy samochod.

Szybko pan się zdomowił w Ameryce.

– Zawsze wierzyłem w pracę. Jeszcze jako student, podobnie jak wszyscy moi amerykańscy koledzy, nie wyjeżdżałem na wakacje, tylko pracowałem jako kelner. Boże, jakie ja dostawałem listy od moich koleżkolek z Polski jeszcze za czasów komuny – jak to? Ty, student, artysta, pracujesz jako kelner? Czyś zwariował? Albo kiedy zacząłem pracować w reklamie – ty w reklamie? Sprzedałeś się. A potem, gdy w Polsce zmienił się ustrój, sami łapali każdą fuchę. Za komuny artystom było szalenie wygodnie. Byli w zasadzie na utrzymaniu państwa. Teraz wszystko się

zmieniło. W Polsce dzieją się wspaniałe rzeczy, ale widzę też sprawy, które mnie niepokoją.

Co jest takiego niepokojącego?

– Pogoń za pieniądzem, brak idealizmu. Za moich czasów młodzi ludzie idealizowali swoich belfrów, artystów. W Ameryce tego nigdy nie było, co mnie z początku potwornie irytowało. Ludzie nie wiedzą, kto jest kim, zapominają z dnia na dzień. Jest takie powiedzonko: jesteś tak dobry jak twoja ostatnia wystawa. W Polsce takie myślenie też zaczyna dominować. Kiedy czytam napaści młodych filmowców czy krytyków na Andrzeja Wajdę, jestem oburzony. Pytają: dlaczego on dalej ma robić filmy, skoro już tyle nakręcił? I co z tego? Genialny facet, zrobił dużo i niech robi dalej.

A panu się udało ocalić idealizm?

– To nie jest idealizm. Pracując w reklamie, nie wierzyłem w nią. Dla mnie to była zabawa, chociaż wiedziałem, że to jest oparte na jakiejś nauce, że gdyby reklamy nie działały, ludzie nie wydawaliby milionów na wykupienie miejsca w prasie czy w telewizji. Będąc w pepku tego światka, wiedziałem, na czym polega manipulacja, dlatego podchodziłem do pracy w reklamie z przymrużeniem oka, z humorem. Dla mnie pieniądze nigdy nie był życiowym celem i pewnie dzięki temu utrzymałem się na powierzchni. Gdybym całkowicie poszedł w komercję, byłbym zmuszony robić rzeczy, których nie lubię. Pamiętam, jak zwróciła się do mnie firma, która ma sklepy odzieżowe w całej Ameryce, że bym zrobił zdjęcia do ich katalogu. Na początku brzmiało to ciekawie, ale kiedy zaczęły przyjeżdżać pudła z tymi wszystkimi produktami, powiedziałem, że niestety nie mogę, bo gdybym raz w to włączył, zaczęłyby się tuzinkowa praca i na ciekawe projekty nie miałbym czasu. Udało mi się przetrwać i z czasem wyrobiłem sobie styl, ludzie sami mnie wyszukiwali. Wtedy o wiele łatwiej jest pracować, bo przychodzą ci, którzy wiedzą już, kim jestem. Nie narzucają swoich pomysłów, niczego nie wymuszają. W związku z tym miałem okazję zrobić ciekawe kampanie w Stanach i Europie, ale mogłem też zajmować się robieniem własnych zdjęć. Dostawałem zaproszenia z całego świata, zacząłem jeździć, wystawiać i jakoś poszło. Nigdy nie jest idealnie, ale mogło być gorzej.

W co pan wierzy?

– W przeznaczenie i przypadek.

To się nie wyklucza?

– Dla mnie nie. Moją żonę Anię poznałem na imprezie. Ktoś mi powiedział, że jest dziewczyna, która ma polskie korzenie. Podszedłem do niej, zaczęliśmy rozmawiać. Urodziła się w Wenezueli, dokąd wyemigrowali jej rodzice. Okazało się, że jej wujek był przed wojną najbliższym przyjacielem mojego. I co pani na to powie? Czyż to nie jest niesamowite? Połączyły nas przypadek i przeznaczenie. □



Chilli ZET
Nowe radio w Polsce
w pogoni za kulturą
www.chillizet.pl

OTWÓRZ
oczy

NEUROTYP W PRACOWNI

LUCIAN FREUD TO JEDEN Z OSTATNICH WIELKICH MALARZY XX WIEKU.
W PARYSKIM CENTRE POMPIDOU TRWA WŁAŚNIE JEGO WYSTAWA
ZATYTUŁOWANA „ATELIER”

SZTUKA BOGUSŁAW DEPTUŁA

Na paryskiej wystawie obrazom
towarzyszą fotografie Davida
Dawsona zrobione
w pracowni artysty. Ta, którą
państwo mogą właśnie podziwiać,
powstała w 2005 roku i nosi tytuł
„Working at Night”

TO REALIZM SPOTĘGOWANY DO GRANIC
WYTRZYMAŁOŚCI WSZYSTKICH
UCZESTNIKÓW TYCH SPOTKAŃ
– MALARZA, MALOWANYCH
I OGLĄDAJĄCYCH



FREUD MALUJE ZINTENSYFIKOWANE portrety, które w pierwszej chwili nazwalibyśmy realistycznymi. Gdy się im jednak przyjrzeć uważniej, łatwo dojść do wniosku, że to realizm w skrajnej, przesadnej i niesamowitej postaci. Styl, który właściwie nie znajduje odpowiednika w sztuce innych artystów. Bo Lucian Freud to malarz kompletnie osobny (zarazem jeden z najdroższych spośród żyjących – w 2008 roku za jego obraz na aukcji w Christie's zapłacono 34 miliony dolarów, nabywcą był podobno sam Roman Abramowicz). Wnuk Zygmun-

ta, twórcy psychoanalizy, syn Ernsta – architekta. Urodził się w 1922 roku w Berlinie, lecz jest malarzem brytyjskim. Przyjechał z rodziną do Anglii w roku 1933, kilka miesięcy po dojściu Hitlera do władzy.

Ciała i cielska

Dość prędko okazało się, że jego tematem będzie ludzkie ciało traktowane w bardzo specyficzny sposób. Najchętniej i najczęściej maluje osoby bliskie: przyjaciół, rodzinę. Portrety powstają miesiącami. Konsternację wywołały nagie i jak zawsze u Freu-

„After
Cézanne”,
2000

da drastyczne portrety jego córek. Na pytanie, czy nie ma w tym czegoś niewłaściwego, malarz odpowiadał: „Maluję wyłącznie ludzi, którzy są mi bliscy. A kto może być mi bliższy niż moje dzieci? Gdybym uważał, że malowanie ich jest niewłaściwe, nigdy bym tego nie robił. Dla mnie malowanie nagich ludzi, niezależnie od tego, czy są to kochanki, dzieci czy przyjaciele, nigdy nie jest sytuacją erotyczną. Model i ja uprawiamy malarstwo, a nie seks”.

Gdy zmarł jego ojciec, matka postanowiła popełnić samobójstwo. Odratowana popadła w głęboką depresję. Malarz uznał, że to czyni ją idealną modelką. Leżała nie-

ruchoma, ubrana czasem we wzorzyste, czasem w gładkie suknie, a syn z równym zainteresowaniem odmalowywał zarówno rysy twarzy, jak i fakturę stroju. Portretował ją latami, aż do jej śmierci. Trudno uznać te wielomiesięczne sesje malarskie za coś zwyczajnego. Ale też efekty tej pracy są absolutnie nieporównywalne z cymkolwiek innym we współczesnym malarstwie.

Farba narasta, krzepnie, tężeje, staje się cielesnym reliefem powstałym z czasu oraz podwójnej obecności malarza i modela. Obrazy zmieniają się ze zwykłych portretów w przedziwne egzystencjalne hybrydy, które dręczą widzów swoją intensywnością. To realizm spotęgowany do granic wytrzymałości – wytrzymałości wszystkich uczestników owych spotkań – malarza, malowanych i oglą-

„Reflection
with Two
Children
(Self-
Portrait)”,
1965

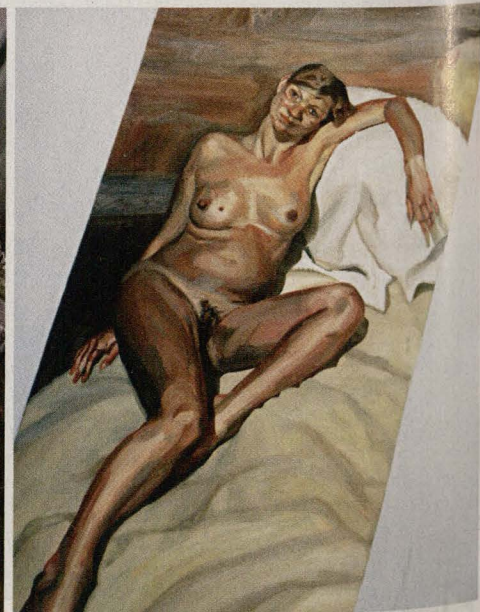
dających. Nie są to spotkania przyjemne. Ale też Freud nie spotyka się w celu odbycia towarzyskiej pogawędki. Przyznał kiedyś, „że zmęczenie jego modeli dodaje mu energii”. Malarskie seanse mają odcisnąć na płótnie ciężar ludzkiego bytu. Oczywiście, że tę brzemienność silniej odczuwamy, oglądając monstrualnie przeskalowane, tłuste kobiety z wielkimi piersiami, a takie chyba najchętniej maluje Freud, niż w portretach dzieci.





„Naked Admirer”
w obiektywie
Davida
Dawsona

PRACOWNI W ŻYCIU FREUDA BYŁO KILKA, ALE OSTATNIA JEST PRAWDZIWĄ ESENCJĄ JEGO OSOBOWOŚCI. **OSOBOWOŚCI KOMPLETNIE NEUROTYCZNEJ**



Od lewej: Najdroższe płótno Freuda „Benefits Supervisor Sleeping”, 1995, oraz „Naked Portrait 2002” przedstawiający Kate Moss



Z lewej:
„Leigh
under the
Skylight”,
1994.
U dołu:
**Portret
Elżbiety II**
na okładce
albumu
wydawnictwa
Taschen



NAKED ADMIRER, 2004 © DAVID DAWSON, COURTESY OF HAZLITT HOLLAND-HIBBERT, LONDRES,
LEIGH UNDER THE SKYLIGHT, 1994 FOT. © RD © LUCIAN FREUD, TASCHEN, NATIONAL PICTURES/TOP FOTO/MEDIUM, GETTY/FPM

→ Ale jest to tylko zewnętrzny pozór, intensywność jest w istocie ta sama. Znaczenie mają także formaty jego obrazów. Sposób malowania, owa intensywna, gruba faktura farby każą myśleć o nich jako o dziełach monumentalnych. Jednak nie zawsze tak jest. Sławny „Portret Jej Wysokości Królowej Elżbiety II” (2000/01) robiący wrażenie dzieła znacznych rozmiarów w istocie jest malarską miniaturą 23,5×15,2 centymetra. A zatem twarz modelki została pomniejszona, a jej rysy zintensyfikowane. Tak jak u stosujących optyczne sztuczki dawnych mistrzów twarz zdaje się wychodzić z obrazu. A swoją drogą, godna podziwu była decyzja królowej, by dać się sportretować największemu spośród angielskich ekscentryków.

Pracownia jako świat

Lucian Freud nie lubi opuszczać własnej pracowni. Powstaje w niej większość jego obrazów. Na paryskiej wystawie owo nieprawdopodobne wnętrze staje się motywem przewodnim całej ekspozycji. Obrazom towarzyszą zdjęcia tego wnętrza. Pokazują

zupełnie niezwykle sceny, choćby tę z malarzem przy pracy. Półnagi, wychudły, z obwisłą skórą upodobił się całkowicie do ciała ze swoich obrazów. Życie dogoniło sztukę.

Pracowni w życiu Freuda było kilka, ale ostatnia jest prawdziwą esencją jego osobowości. Osobowości, powiedzmy to otwarcie, kompletnie neurotycznej. A zatem: nigdy niczego się tu nie sprząta. Ściany, podłoga i wszystkie sprzęty są pokryte farbami. Malarz używa tradycyjnej palety, ale paletą stają się zarazem mury pracowni. Nadmiar farby z pędzla wyciera o ściany. Wszystkie powierzchnie w zasięgu ramienia malarza zamazane są farbą. Podłogę z kolei zasnuwają kłęby białego płótna. Płótna też jest dużo. Dużo za dużo, bo nigdy się go nie wyrzucało.

„Moja idea podróży to podróż w głąb. Poznać lepiej miejsce, w którym się jest, zgłębić uczucia, które się zna”. Tym właśnie są obrazy Luciana Freuda – poznawaniem człowieka w sposób tak intensywny, jakiego dotąd sztuka nie знаła.

Lucian Freud „Atelier”,
Centre Pompidou w Paryżu, do 19 lipca

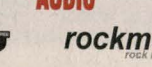
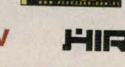
REKLAMA



BEHEMOTH • EPICA • THE CULT • OBITUARY • RIVERSIDE
THE 69 EYES • ILL NINO • STRACHY NA LACHY • LAO CHE
CZESŁAW ŚPIEWA • HAPPYSAD • NOSFELL • ACID DRINKERS • I INNI

POLE NAMIOTOWE • WARSZTATY MUZYCZNE • MARATONY FILMOWE • WARSZTATY FOTOGRAFICZNE • KĄCIK DLA DZIECI
KARNETY DO KUPIENIA W SIECI EVENTIM

12-14 SIERPNIA 2010 • STADION WSPÓI • SZCZYTNO
SZCZEGÓŁY NA WWW.OMFESTIVAL.PL



ROZMAITOŚCI

W tym tygodniu:

KURKIEWICZ ZASTANAWIA SIĘ, CZY MOŻNA UFAĆ POLICJI, PAN SZARY SZUKA NOWEJ ZIEMI OBIECANEJ, A KRZYŻÓWKA JEST NIEZWYKLE SENTENCJONALNA

Wymyślił i narysował Marek Raczkowski



FUNDACJA POMOCY DZIECIOM SŁUCHAN?

TAK, POMAGAMY TYLKO DZIECIOM

NIE, PROSZĘ PANA, NIE ROBIMY WYJĄTKÓW.

Szary wiruje pył

MARCIN PIESZCZYK

Ziemia obiecana, czyli ład pożądany nie tylko na powódź

KAŻDY CHYBA PAMIĘTA scenę, gdy maszyna obcina robotnikowi rękę, a filmowa farba chlusta na wszystkie strony, wieńcząc dzieło aktualne do dziś. „Aktualne, ale dlaczego?” – Szara pytała samą siebie. Przecież nie ma już krwiożerczego kapitalizmu (cokolwiek by mówił Piotr Ikonowicz), a w dawnych fabrykach Łodzi, które kiedyś wyciskały z najemników ostatnie soki, a teraz zamieniły się w centra handlowe, studenci i matki na urlopie wychowaw-

czym piją świeżo wyciskane soki z pomarańczy. Lecz może i oni o czymś marzą, mają jakąś swoją ziemię obiecaną? Ta bez wątpienia leży 134 kilometrów w linii prostej od CH Manufaktura. Gdy się do Ziemi Obiecanej (ZO) nieco zbliżyć, na horyzoncie majaczy most Świętokrzyski, który powinien dostać największe tantiemy za występy w komediach romantycznych à la varsoviensis. Lecz to nie most i centrum są obiektem pożądania. Wystar-

czy pojechać rano metrem („metro, ach!” – myśla miłośnicy ZO), by wiedzieć, gdzie wysiada zbita gromada i ku bramie jakiej fabryki zdąży. Stacja nazywa się Wierzbno i niech was nie zmyli tłum kroczący ku babilońskiej wieży TVP; on tylko szuka tramwaju, by w dalszą wyruszyć podróż. Tam, gdzie go czeka kraina openspace’owej szczęśliwości, wspólnych lodówek, międzybiurowych ciągów pieszych i wspólnych kanałów dystrybucji air condition. Tam, gdzie wspomnienia po fabrykach nie istnieją – jak same fabryki, bo teraz burzy się biurowce powstałe w latach 90. Tam, gdzie piaskowice na nowych fasadach wydają się luksusowy, lecz gdy przyjrzeć mu się bliżej, wykazuje tendencje do na-

tychmiastowej nietrwałości i przekonuje, że za lat sto żadne centrum Manufaktura tu nie powstanie. Służewiec, bo o nim mowa, zachwyca, ale tylko tych z zewnątrz, tak jak figurka Kozaka na wystawie sklepu Mincla zachwycała małego Rzeckiego. Gdy został u Mincla subiektem, Kozak już mu nie był tak miły. Mimo bagażu mądrości ludźmi wciąż rządzi niemądra zasada „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma”, a tuż za nią podąża jej siostra – „wszędzie źle, gdzie jesteśmy”. Pamiętacie te wszystkie sztuki i scenariusze pisane na początku lat 90. przez copywriterów, którzy cierpieli, że miast oddać się Wysokiej Twórczości, muszą pisać teksty do reklam keczupu? Ale ci, co narzekają na swoją kor-

porację, pozbawieni jej dopominają się od niekorupcyjnego pracodawcy opieki niczym dziecię pierśi matki. Zaprzysięgli liberałowie nagle chcą zakładowego mydła. Łańcuch zależności się zapętla, już nie wiadomo, kto na kim żeruje. Szarzy wychodzą z metra na stacji Wierzbno. Cierpią, a pół Polski im zazdrości. Są pewni, że wszystko wokół porośnie trawą, gdy tylko ZO przeniesie się w nowe miejsce. Gdzie ono będzie? To wiedzą chyba tylko ci, którzy lecieli tunelem z wielką jasnością na końcu, lecz w ostatniej chwili jakiś głos zawrócił ich słowami „jeszcze nie teraz”. Gdyby znali położenie przyszłej Łodzi, Służewca albo Doliny Krzemowej, wiedzieliby przecież, w jakim kierunku pójdzie WSZYSTKO.

JOLKA NR 22

AUTOR: JERZY BUCZEK



WYRAZY 10-LITEROWE:

• ŚREDNIOWIECZNY ATLAS ZWIERZĄT
• W PODZIAŁE GODZIN MA GŁÓWNIĘ ŁĄKOZNAWSTWO
• WIĘCEJ NIŻ WKŁĘJANIE ZDJĘĆ DO ALBUMU • NA ROSŁŁ Z USZKAMI

WYRAZY 8-LITEROWE:

• PODZWONNE DLA PROKURATORA
• GŁOWY KUCHNI

WYRAZY 7-LITEROWE:

• KREDO NA ŁAŃCUSZKU
• CELUJĄCY BARYTON

WYRAZY 6-LITEROWE:

• SĄSIADKA SOKRATESA
• NOSI SEJSMIKA
• BUDYNEK, KTÓRY NIEŻŁE SIĘ URZĄDZIŁ
• NA BIURKU MIRIAMA
• LEPIJ NIECH NIKOMU NIE UCIERA NOSA
• HORDA NA TROPIE
H. FORDA

WYRAZY 5-LITEROWE:

• GODNA ODPOWIEDŹ LA CIOTAT NA LIOŃSKIE WYJŚCIE • NA CEPRA SPOZIERA

WYRAZY 4-LITEROWE:

• POTRWA I RYKNIE
• POD URODZINOWYM LUKREM • CZEKAJĄCY NA TEN LIST WUJ
• TAK NA TARCZY
• TO JUŻ, PTASZKU
• Z PRAWDZIWA EOLA NIE KOJARZ

Określenia podano w innym szyku niż kolejność wyrazów w diagramie. W diagramie ujawniono niektóre litery. Po wypełnieniu diagramu należy rozszyfrować następujące hasło:

E12_H2_G4_J9_B10_C7_C3_ / J2_E7_K8_G6_F3_G8_A12_ / A4_I6_B6_C12_E10_ / I3_ / B9_G3_A1_H4_G11_K10_E2_D10_.

LAUREACI Z NR. 18

KRZYŻÓWKA:

Jacek Bielecki, Piszczac; Filip Chojnacki, Moszczenica; Danuta Konieczna, Piła; Małgorzata Skrzecińska, Warszawa; Katarzyna Trzosińska, Białobrzegi

JOLKA:

Zofia Bryndza-Boć, Lublin; Elżbieta Chudowska, Kwidzyn; Magdalena Peterson, Kraków; Wiesław Pyżewicz, Zielona Góra; Hanna Szymańska, Wrocław

PAN I PANI KILLER

WYSTĘPUJĄ:

DZIENNIKARZ – luźno związany z Radiem TOK FM

PAN I PANI KILLER – luźno związani z ogólnie przyjętymi wzorcami dobrego wychowania

DZIENNIKARZ (przez ty): – Gratuluję. Oboje czynni zawodowo. I jacy szczęśliwi.

PAN KILLER (przez zęby): – A żebyś pan wiedział.

PANI KILLER (przez pomyłkę): – Jak ja pana nie lubię, panie Figurski!

KURTYNA zapada błyskawicznie. Rzęzenie. Reklamy. Koniec.

Ufam tobie, policjo?

Polski policjant zastrzelił Nigeryjczyka. Ale czy na pewno Nigeryjczyka, czy po prostu czarnego?

ROMAN KURKIEWICZ



POLICJA CIESZY SIĘ W POLSCE SPO-rym zaufaniem. Tak zwanym społecznym. W społeczeństwie, w którym zaufanie jest raczej w solidnym niedoborze, brakuje go, nie występuje w przyrodzie, ot, uczucie okresowe, na które przyszła susza. A policję ten niedobór omija. Ufam tobie, policjo, mógłby wyglądać plakat reklamujący nabór...

Jakiś czas wcześniej bez specjalnego powodu policjanci z tej samej grupy zatrzymali pewnego mężczyznę. Kiedy transportowali w kajdanach obywatela do aresztu (następnego dnia oczywiście go zwolniono, bo nie było żadnych podstaw do zatrzymania), dialogowali sobie:

– Ze też, kurwa, zajmujemy się takim tu, byśmy podjechali na stadion...
– Za czarnymi pobiegać?
– No...
– Pogoniłbyś za czarnym?
– No, a co miałbym nie pogonić, he, he...

– Każdy to albo nielegał, albo handluje czymś...
– Tylko trzeba się ruszyć.

I chyba właśnie dlatego należy się policji przyglądać, żądać wyjaśnień, nie odpuszczać, dopytywać, wiercić dziurę w brzuchu, po prostu kontrolować. Czy zostanie wyjaśniona dziwna śmierć na gruzach stadionowego miniglobu handlowego? Czy zostanie wyjaśniona forma interwencji oddziału prewencji, który wyłapywał osoby do zatrzymania, kierując się kolorem skóry? Czy polska policja przechodzi jakiegokolwiek szkolenia antyrasistowskie? Czy ten oddział przechodził ta-

kie szkolenie? Czy policjanci w cywilu z wydziału przestępczości gospodarczej, którzy zastrzelili osobę handlującą skarpetkami...

Oczywiście, można postawić krzywdzącą tezę, że wystarczyłoby przestępców, recydywę, podejrzanych, wcześniej skazanych, tych z poprawczaków pomalować na jakiś kolor rozpoznawalny przez większość policjantów. Mogłyby to być różne kolory, wtedy na przykład byłby dzień łapania różowych, beżowych, żółtych lub czerwonych...

To by ułatwiało robotę policjantów. W nocy niech fluorescencją. Niech noszą specjalne czapki odbłaskowe, kurtki, buty. Niech się odróżniają, niech będą widoczni jak Nigeryjczycy o 10 rano na stadionie. W ostatnich miesiącach słyszeliśmy o atakach na funkcjonariuszy policji, kilku zginęło, inni zostali pobici. Nie strzelali do agresorów... Wiś w powietrzu pytanie... Bo byli biali? Bo mówili polską polszczyzną? A gdyby mieli inny kolor skóry?

Tak na poważnie jednak pojawiają się dość oczywiste tezy, że wśród policjantów można spotkać niekryjących się z tym zwolenników skrajnie prawicowych, faszystujących ugrupowań. Że zdarza się, iż te kręgi przecinają się towarzysko. Może dobrze to wiedzieć. Zanim kolejny Dominikańczyk, Ugandyjczyk czy Korsykanin zostanie ujęty po błyskotliwym pościgu.

Policji należą się brawa, kiedy się należą. Kiedy się nie należą – to musimy dopytywać. Dopytujemy zatem. Bo możemy przeoczyć coś na prawdę groźnego.

MYŚLNIK

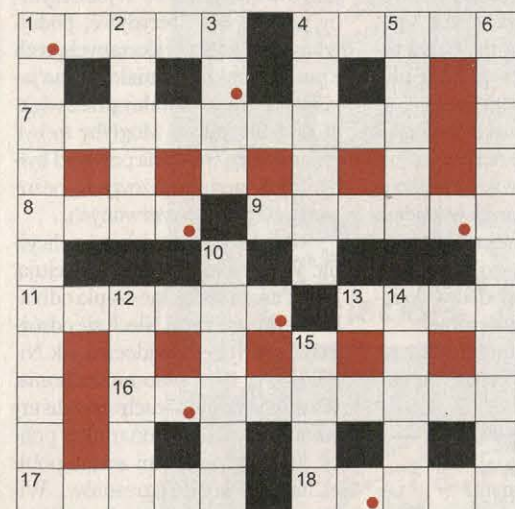
Mężczyźni to dzieci.
Do ich wychowywania najlepiej nadają się kobiety.

Krzysztof Bilica



JĘSZCZE RAZ RACZKOWSKI

KRZYŻÓWKA NR 22



Nagrodą za rozwiązanie krzyżówki jest książka Pierre'a Bottero „Granice lodu” wydana nakładem Wydawnictwa W.A.B. Więcej informacji na www.wab.com.pl.

Litery z oznaczonych pól czytane poziomo tworzą wyraz-rozwiązanie.

POZIOMO:

1. TRZYMANY W LODÓWCE
4. PRZYSTANEK NA ŻĄDANIE
7. Z NIEJEDNEGO PIECA
8. LUBI WALENIE
9. PRZEMYSŁ ZAKŁADOWY
11. ŚCIGAŁANIE MAJTEK Z KUBY
13. PRZYKŁAD Z GÓRY
16. MAKSYMA GORKIEGO
17. KIJOWA ROBOTA
18. RYJE W ZIEMI

PIONOWO:

1. KOBIETA NIE Z TEJ ZIEMI
2. GAZ Z ROSJI
3. PENETRUJE LOCHY
4. BLISKOARMAT
5. GNA ZA GNU
6. IDZIE Z PRADEM
10. CZARNY WŁOCH
12. 41 LUB 49 METRÓW
14. CZĘŚĆ FUNTA KŁAKÓW
15. O NICZYM



Wygraj jedną z 10 książek Pierre'a Bottero „Granice lodu”. Rozwiąż krzyżówkę lub jolkę i prześlij do nas hasło. Wyślij SMS o treści PRZEKROJ.HASLO JOLKI lub PRZEKROJ.HASLO KRZYZOWKI na numer 7243. Rozwiązania możesz także przysłać na kartce pocztowej (decyduje data stempla) na adres: „Przekrój”, ul. Nowogrodzka 47 A, 00-695 Warszawa, z dopiskiem: „jolka 22” lub „krzyżówka 22”. Na prawidłowe rozwiązanie czekamy do 7 czerwca 2010. Koszt SMS-a: 2 zł netto/2,44 zł brutto.

Dane osobowe uczestników konkursu w zakresie: imię i nazwisko, adres zamieszkania, numer telefonu stacjonarnego lub komórkowego, będą przetwarzane przez organizatora konkursu, tj. Wydawnictwo Przekrój sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie przy ul. Nowogrodzkiej 47 A, w celu realizacji umowy przystąpienia do konkursu i jego prawidłowego przeprowadzenia lub marketingu własnych produktów bądź usług organizatora konkursu. Gwarantujemy prawo wglądu do swoich danych osobowych oraz ich poprawiania, jak również żądania zaprzestania ich przetwarzania. Podanie danych jest dobrowolne. Dane osobowe nie będą udostępniane innym podmiotom. Regulamin konkursu został wyłożony do wglądu w siedzibie organizatora konkursu.

Co robi reporter w sytuacji takiej jak powódź? Nie zastanawia się, nie czeka na zlecenie, tylko pakuje się i jedzie na miejsce akcji. Takie wydarzenia to sprawdzian zawodowego powołania

ANDRZEJ IWAŃCZUK

KUBA DĄBROWSKI

Chleb i woda

Fotograficznych ikon mamy w polskiej fotografii raptem kilka. Zdjęcie Andrzeja Iwańczuka niezaprzeczalnie jest jedną z nich

LIPIEC 1997 ROKU. „POWÓDŹ TYSIĄCLECIA” pustoszy południową Polskę. Wylewają Nysa Kłodzka i Odra, woda przebijają się przez wały we Wrocławiu. Do stolicy Dolnego Śląska przyjeżdża fotograf Andrzej Iwańczuk. Drugi dzień swojego pobytu w mieście zaczyna od wizyty w punkcie, gdzie rozdzielana jest pomoc dla powodzian. W teren właśnie wyrusza wojskowa amfibia z żywnością. Żołnierze nie mają nic przeciwko zabraniu ze sobą kilku dziennikarzy. Na pokład ładuje się całkiem spory korpus prasowy, przede wszystkim fotografowie. – W takich sytuacjach wszystko jest bardzo fotogeniczne, ale powtarzalne – opowiada Iwańczuk. – Zdjęcia ludzi wyciągających ręce po cukier i świeżą wodę automatycznie są dramatyczne i na swój sposób piękne. Problem polega na tym, że przy kolejnym przystanku ciężko zrobić kadr inny niż pół godziny wcześniej. W czasach cyfry strzelałoby się tak czy owak, w czasach analogu szkoda było kliszy na powtórki.

Fotografowie rozluźniają się, zaczynają palić papierosy i gawędzić z żołnierzami. – Oczywiście ja również paliłem i uczestniczyłem w pogawędkach, wiedziałem jednak, że właśnie teraz jest moment, kiedy mogę zrobić zdjęcie inne niż reszta i muszę być wyjątkowo uważny. Kiedy przy amfibii pojawia się znany dziś wszystkim pan z wąsami, Iwańczuk intuicyjnie podrywa się z miejsca i robi trzy klatki. Za plecami słyszy trzask innej migawki. – Okazało się, że widząc, co robię, wstał za mną jeden z kolegów. Po jednej klatce skończyła mu się jednak klisza. Popatrzyliśmy sobie znacząco w oczy, to załatwiło sprawę.

Tegoroczną powódź Iwańczuk oglądał w telewizji i na zdjęciach fotografów agencji Reporter, której jest współwłaścicielem. – Obrazy w telewizji płyną, nie sposób się na nich zatrzymać. Zdjęcia zostają, zmuszają do zastanowienia – podsumowuje swoje wrażenia



ŁADNE RZECZY!



Nasze małe buju-buju, czyli zakręcona huśtawka Oli Mireckiej. Można szybować na niej w wielu kierunkach

OLA SALWA

Lecimy w powietrze

Huśtawki, czyli zrobimy sobie jakąś frajdę na 1 czerwca

NATURALNIE MOŻNA TEŻ IŚĆ NA LODY, choć pełne konsumpcyjnych przyjemności współczesne życie oferuje codziennie takie atrakcje. Już lepiej zjeść wate cukrową (czy ktoś ją jeszcze kręci?!), przynajmniej będzie trochę węglowodanowej egzotyki. A może by tak polatać? Nie namawiam na kilkugodzinny wypad do Kolonii, Mediolanu czy Wiednia, choć w tym ostatnim miejscu jest słynne wesołe miasteczko, czyli Prater. Może po prostu wybierzmy się na lokalny plac zabaw i poszybujmy w niebo huśtawką.

Jeśli jest duża i jest komu ją rozpedzać, to być może pocujemy motyle w brzuchu? Choć to ostatnie uczucie odsłania już w inne, mniej dziecinne rejony.



Kompromis między rowerem a huśtawką, czyli interesująca zabawka projektu Bena Wilsona. Także do użytkowania domowego



Ukochane przyjaciółki każdego intelektualisty też chcą się pohuścić. Możliwość taką daje projekt BCXSY



Niemo podziwiałem Joschkę Fischera, co mówię – podziwiałem! Zawidziałem mu zawistnie, gdy stanął za katedrą i z głowy odjechał perfekcyjną angielszczyzną bez akcentu półgodzinny spicz na wskroś europejski. Bez akcentu! Niemiec bez akcentu! Wmyślcie się w tę frazę! Przecież „Niemiec bez akcentu” to jest klasyczne wyrażenie oksymoroniczne!

JERZY PILCH

16 MAJA

7. PRZYKAZANIE PRAWDZIWEGO EUROPEJCZYKA. Miej absolutną pewność, że kraj twój władany przez obce i ciemne siły, niewolony przez zaborców i okupantów, okradany przez złodziei, oszukiwany przez – zwłaszcza medialnych – oszustów, zdradzany przez zdrajców, okupowany przez Moskwę, Brukselę i „Gazetę Wyborczą”, opleciony szczelną pajęczyną obecnych i byłych agentów etc., etc. jest zarazem krajem wybranym przez Pana Boga, niezliczonymi – nie tak niezliczonymi, jak byli ubecy, ale licznymi – łaskami przezeń obsypany; krajem, którego specjalną opiekunką i Królową jest – nie tak wpływowa jak królujący u nas Mossad, ale wpływowa – Matka Boska; krajem, o którego dobro wszyscy święci, aniołowie i inni niebiescy funkcjonariusze dzień w dzień z powodzeniem (i to jakim!) dbają. Ciekawą problematyką teologiczną, która z tego połączenia wynika, nie turbuj się wcale – jakby cię kto do muru nadto zaczął przypierać – zawsze możesz dać mu po ryju.

17 MAJA

DZIEŃ Z GŁOWY – WIECZOREM DEBATA NA UW. Rafał Dutkiewicz, Joschka Fischer, Aleksander Hall, jako prowadzący Krzysztof Michalski i Marcin Król. Nie przybył – zatrzymanym sprawami wagi państwowej – Aleksander Kwaśniewski. Temat: „Europa ojczyzn” – czyli nieco z serii: Europa jako taka, a jak nie taka, to jaka i dlaczego? W najmniejszej mierze nie ironizuję – w końcu to, że mówiąc o Europie, można mówić o wszystkim, nie jest ani głównym problemem Europy, ani jej pierwszą wadą. Może nawet jest przywilejem. Skwapliwie z tej dowolności korzystam i czytam „Siedem przykazań prawdziwego Europejczyka”.

Może trochę imprezę ubarwiam, może trochę ją rujnuję. Jakiegokolwiek starania bym czynił – jestem z innej – nie politycznej, lecz literackiej – parafii. Nic złego oczywiście. To z kolei, że może zbyt konsekwentnie się tej parafii trzymam, jest nieuniknione. Na udawanie, a zwłaszcza na naukę innych ról ani chęci, ani czasu. Wzmagając udęcającą autoanalizę, dodać jeszcze muszę, iż najwyraźniej na starość ze specjalnym bezwstydem wyłazi ze mnie natura lutersko-kujońska i w gruncie rzeczy nigdzie nie jestem w stanie wystąpić nieprzygotowany. Ma to wady swoich zalet – w pewnych sytuacjach należy umieć mówić z głowy.

Niemo podziwiałem Joschkę Fischera, co mówię – podziwiałem! Zawidziałem mu zawistnie, gdy stanął za katedrą i z głowy odjechał perfekcyjną angielszczyzną bez akcentu półgodzinny spicz na wskroś europejski. Bez akcentu! Niemiec bez akcentu! Wmyślcie się w tę frazę! Przecież „Niemiec bez akcentu” to jest klasyczne wyrażenie oksymoroniczne! Chyba że jest się Albrechtem Lemppem albo Karlem Dedecusem – mnie chodzi jednak o normalnych Niemców.

Tak czy tak, ludzie na poziomie potrafią – jakkolwiek to brzmi – ciągnąć z głowy; ja, nawet, a może zwłaszcza, w obecności takich wirtuozów wyjmuję z chlebaka roztrzęsionymi łapami plik wymiętych kartek i zaczynam dukać.

Uskarżam się obłudnie? Kryguję faryzej-sko? Wręcz przeciwnie: z prostotą tryumfuję. Uwielbiam – powiem szczerze – gromki śmiech i burzliwe oklaski. Ktoś tego nie uwielbia? Pan Bóg ma różnych stołowników.

Potem piechotą do domu przez półmgliste i ćwierćdeszczowe miasto. Kiedyś, oczadziały warszawskimi początkami, robiłem takie tury codziennie, teraz małe pętle wokół Ho-żej – regularne za to. „Bez pośpiechu, ale i bez odpoczynku” – na pozycję autora tej maksymy Aleksego Aleksandrowicza Karenina przechodzimy nie do końca, ale do stronictwa jej prawdziwego twórcy – Lwa Nikolajewicza Tolstoja – zdajemy się zmierzać bezpowrotnie.

19 MAJA

JAKŻE BOSKA – TYLKO GENIUSZOWI DANA – NIE- nawiść do świata! Zawsze się słyszało: Tolstoj obiektywny – Dostojewski ciemny. No gdzie tam! Dostojewski jasny, bo swych najbardziej nawet zbrodniczych bohaterów kocha! Ten z Jasnej Polany prawdziwie mroczny i bezli-tosny – wszystkie swe postaci ma za kompletnych debili w istocie. Ale jakże te prezentacje pustoty są przeprowadzone!

22 MAJA

CIĄGLE SŁYSZĘ, ŻE TERAZ POLSKA BĘDZIE INNA. Zmieni się. Pod każdym względem się zmieni; wszystko się zmieni, polityka będzie inna, kultura będzie inna, wybory będą inne, obyczaje inne, ludzie inni i tak do inności nieskończonoj. Albo do nieskończoności innej. Pięknie, ale, po pierwsze, monotonnie, po drugie, fikcyjnie.

„Inna Polska” to jest nic nowego, to jest nasza stała dziejowa, to jest nasz sen odwieczny, nasza równie wiekuista, co wyniszczająca fa-tamorgana. Marzenie o innej Polsce, kiedyś piękne, obróciło się we frazes i karykaturę tak dojmującą, że i swe początkowe piękno zjudło.

A jakaż miała, na ten przykład, być Polska w zaraniu swych dziejów, po przyjęciu miano-wicie chrztu chrześcijańskiego? No inna, całkiem inna. Już wtedy miała być inna. I była in-na, z tym że nie do końca. Potem weźmy na ko-lejny dowód Polskę – dajmy na to – dzielnicową – tu już nie ma co grymasić, była ona inna, inna w sensie ścisłym. Do tego stopnia inna, że wszyscy rychło i silnie jęli marzyć o innej.

Po bitwie pod Grunwaldem, której cudowną rocznicę właśnie obchodzimy, jaka miała być Polska, jak nie inna? I była inna, ty-le że inaczej, niż się zdawało, że będzie inna. Po wiktorii wiedeńskiej jakaż inność miała się szerzyć tryumfalna? I szerzyła się, z tym że kle-skowa. Przed zaborami Polska miała być in-na – nie byłoby zaborów; ponieważ była inna – były. Po zaborach miało być inaczej, ale by-ło różnie. Po objęciu władzy przez Marszałka, a zwłaszcza po jego pogrzebie, kraj miał być inny. We wrześniu miało być inaczej, a po woj-nie całkiem co innego.

Po wyborze polskiego Papieża Polska faktycznie zaczęła się zmieniać, najpierw tu i ów-dzie i od czasu do czasu – w 1989 roku całko-wicie. Prędko jednak się pokazało, że ta zmie-niona Polska jest zasadniczo taka sama i po-trzebuje zmian. Po śmierci Papieża było prawie pewne: Polska będzie inna. Generalnie znówu nici. Co najwyżej w samą rocznicę. Jeden dzień w roku? Mimo wszystko biednie.

Teraz z wiadomej przyczyny Polska ma być naprawdę inna, inna już na zicher. Wiado-mość jest absolutnie pewna. Chętnie wie-rzę, tym bardziej że są przesłanki. Teraz zano-si się nie tylko na prawdziwą, ale i rozległą in-ność! Teraz wygląda, że nie tylko raz do roku, 2 kwietnia, ale i każdego 10. dnia miesiąca Pol-ska będzie inna! Przynajmniej na Krakowskim Przedmieściu! To już nie jest byle co! Jeśli do-łożyć rocznicę urodzin i śmierci Pana Jezusa plus – dajmy na to – 15 sierpnia i 11 listopada, wychodzą rocznie równe dwa tygodnie innej Polski. Pozostaje 350 dni do obsadzenia i bę-dziemy wreszcie całkowicie innym krajem. Też – ma się rozumieć – normalnym. Jeszcze jeden wysiłek, rodacy!

Już w sprzedaży!



**Przewodnik po wszystkich letnich festiwalach
W POLSCE**



Nowa Škoda Fabia

NAPĘDZANA TECHNOLOGIĄ



Tylko teraz!
Już od **16 250 zł***

SILNIKI TSI – MNIEJSZE SPALANIE, WIĘKSZA MOC

DSG – NOWOCZESNA, AUTOMATYCZNA, DWUSPRZĘGŁOWA, 7-STOPNIOWA PRZEKŁADNIA

SILNIKI TDI CR – DYNAMIKA, OSZCZĘDNOŚĆ I KULTURA PRACY

KREDYT 50/50 – WYGODA, BEZPIECZEŃSTWO, DODATKOWE KORZYŚCI:

0% prowizji, dodatkowy, trzeci rok ochrony gwarancyjnej i ubezpieczenie komunikacyjne AC/OC/NW w pakiecie

O szczegóły zapytaj Sprzedawcę.

UMÓW SIĘ NA JAZDĘ PRÓBNĄ!

www.skoda-auto.pl/jazdaprobna



*Podana cena stanowi 50% ceny wersji Fabia Junior o wartości 32 500 zł. RRSO wyliczone od całkowitego kosztu kredytu w rozumieniu Ustawy o kredycie konsumenckim, wkład własny 50%, okres kredytu 12 miesięcy, rata 17,09%. Podana cena samochodu nie zawiera kosztów dodatkowej ochrony gwarancyjnej i ubezpieczenia komunikacyjnego AC/OC/NW. OFERTA LIMITOWANA. O szczegóły spytaj Sprzedawcę. Średnia wartość zużycia paliwa i emisji CO₂: Škoda Fabia 1.2 TSI 105 KM/77 kW – 5,3 l/100 km, 124 g/km. Informacje na temat przydatności do odzysku i recyklingu są dostępne na www.skoda-auto.pl.